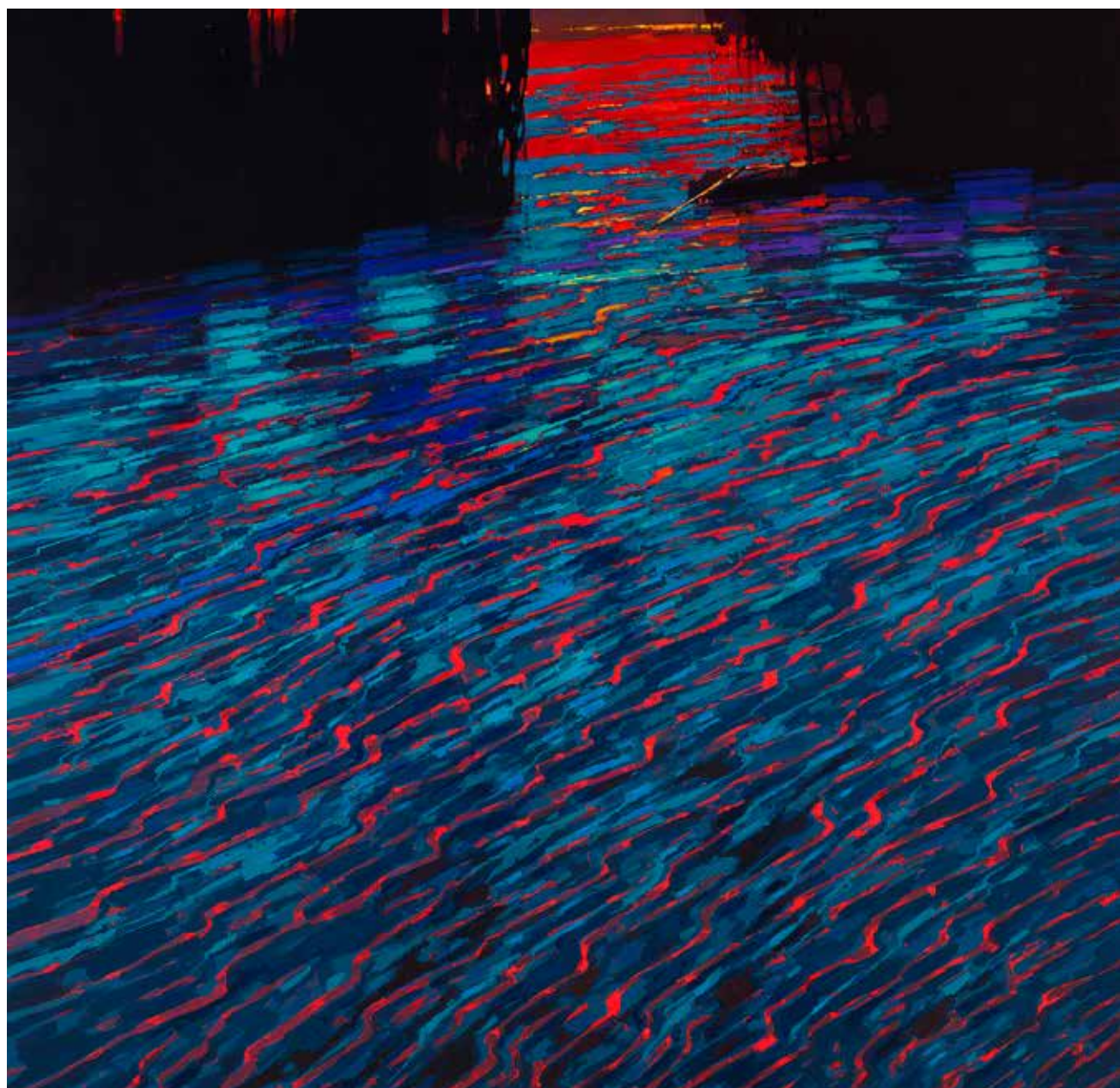


MIEŚCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 7 (310) • ROK XXVI • LIPIEC 2021



LETNIE
SZLAKI

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



Lipiec należałby do miesięcy „mniej ważnych” w polskiej historiografii, gdyby nie... bitwa pod Grunwaldem. 500 lat po tym zwycięstwie, by utrwalić pamięć o spotkaniu Władysława Jagiełły z rycerstwem, w Niepołomicach zaczęto wznosić pamiątkowy kopiec. O niezwykłym udziale Ślązaków w tym – charakterystycznym dla schyłku epoki zaborów – przedsięwzięciu pisze Tadeusz Loster.

Szczegóły str. 22



Zalewajka – pyszna choć prosta zupa zyskuje wciąż na popularności jako danie z tzw. menu regionalnego. Obecnie o prawa do przepisu na tą potrawę, choć to walka pozbawiona sensu, rywalizuje kilka regionów Polski. Tymczasem historyczne wątki stojące za zalewajką związane z Częstochową przybliży Jarosław Kapsa.

Szczegóły str. 24



W egzotyczny świat Ameryki Łacińskiej, pachnące przygodą i wyzwaniem uniwersum pełne kontrastów i dziwnej mieszanki różnych religii, w czasie przyjazny, a czasem niebezpieczny świat wypełniony zapachem lokalnych bazarów, straganów, uliczek i miejscowych knajp zabiera nas pisarka i podróżniczka Ivona Żelazowska, która zna tamtejsze szlaki z własnego doświadczenia.

Szczegół str. 43



Wśród licznych w naszym regionie zabytków architektury sakralnej osobną kategorię stanowią sięgające swoją historią minionych wieków wybudowane z niesłychaną pieczołowitością drewniane kościoły i kaplice. W świat tych miejsc kultu, zaskakujący niesamowitą ornamentyką oraz pomysłowością dawnych projektantów, zabiera nas Edward Wieczorek. Na zdjęciu drewniana świątynia w miejscowości Bojszów.

Szczegóły str. 50

Nr 7 (310). Rok XXVI. LIPIEC 2021

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztukaStali współpracownicy:
EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSA
WIEŚŁAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLEK
JOANNA WARONSKA
EDWARD WIECZOREK
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1700 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 4 *Michał Spurgiasz* PRZESILENIE LETNIE W KULTURACH PRZEDCHRZEŚCIJAŃSKIEJ EUROPY
6 Ks. *Henryk Pyka* ŚWIĘCISZEK. O ADAMIE BUNSCHU
8 *Zygmunt Woźniczka* LOS WOJCIECHA KORFANTEGO
10 *Paweł Parys* FRANCUZI I BELGWIE W SZEREGACH III POWSTANIA ŚLĄSKIEGO
12 *Maciej Kalarus* RDZAWY ŚWIAT
18 *Marian Kisiel* POETA DOCTUS NA SIEDEMDZIESIĘCIOLECIE DEBIUTU ADAMA CZERNAWSKIEGO
21 *Agnieszka Zielińska* JAK TO Z KIBLEM (NIE TYLKO GÓRNICZYM) BYWAŁO
22 *Tadeusz Loster* KARAMI Z ZABRZA NA KOPIEC GRUNWALDZKI
24 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* ZALEWAJKA
26 *Marian Uherek* PÓŁ WIEKU HARCERSKIEJ PRZYGODY
27 *Alojzy Czech* JURAJSKIE ZAUCROCZENIE ANDRZEJA WIERZBICKIEGO
31 *Małgorzata Lichecka* TROPICALNY RAJ W GLIWICACH
34 *Zbigniew Lubowski* ZADYMKA JAZZOWA BEZ ŚNIEGU
40 *Henryk Szczepański* KONRAD SWINARSKI. CZY MOGŁO BYĆ INACZEJ?
48 *Jakub Cieszyński* W HOŁDZIE LEKARZOWI I WYNAŁAZCY
50 *Edward Wieczorek* KRAINA DREWNIANYCH CUDENIEK
54 *Wojciech Lipowski* DOMOSTWO MINIONEGO ŻYCIA
56 *Wiesława Konopelska* IMPONUJĄCA SÓL ZIEMI CZARNEJ W BYTOMSKIEJ OPERZE
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* O GRZE W KLASY JULIO CORTÁZARA
68 *Stanisław Baj* MAGNETYCZNA POTRZEBA WĘDRÓWKI

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: TADEUSZ KRÓL – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Lesław Nowara* SHINICHI T.
16 *Lesław Nowara* WIERSZE
43 *Iwona Żelazowska* GWATEMALA. MIEJSCE, GDZIE NARODZIŁA SIĘ TĘCZA (FRAGMENTY KSIĄŻKI KRAINA WIELU BOGÓW)
46 *Jan Strządala* WIERSZE
66 *Władimir Azow* SZKŁA KOLOROWE. HUMORESKI (przełożył *Marian Kisiel*)
74 *Peter Wiescholek* ODSZCZEPINIENIEC

FELIETONY

- 30 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* NIY FIKSYRUJ SIĘ, DEKUJ FARORZA!
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* LECZ CÓŻ TO ZA MODLITWA? W TEN SPOŚÓB MOŻNA WIĘCEJ ZGRZESZYĆ
38 BŁYSKI i ZAPATRZENIA *Marian Sworzeń* JONATHAN LITTELL, „ŁASKAWE”
58 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* „SŁYSZCIEŻ WIERNI NARODOWIE”. O POCZĄTKACH DZIENNIKARSTWA ZAWODOWEGO
59 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* MUZYCZNY FESTIWAL W ŁAŃCUCIE
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* MIĘDZY CISZĄ A KRZYKIEM

KSIĄŻKI

- 62 *Andrzej Juchniewicz* PRÓBA JASNEGO
63 *Piotr Skowronek* ROZWIDLAJĄCE SIĘ POSZLAKI
64 *Jan Cofałka* DWIE CENNE POZYCJE „ENCYKLOPEDII WIEDZY O ŚLĄSKU”
80 KSIĄŻKI NADESLANE

78 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:
Tadeusz Król, „Rzeka”, 140x140 cm, akryl, 2020Tylne wewnętrzne strony okładki:
Zdjęcia z baletu na kanwie filmu *Sól ziemi czarnej*, Opera Śląska w Bytomiu, fot. Krzysztof Bieliński



fol. Lestat

Shinichi T.

Nie było Czterech Jeźdźców
był tylko jeden:
Mały Chłopiec
który zstąpił z nieba pozabijać innych

Był sierpień lecz wakacji nie było
zamiast wakacji była wojna
a Shinichi miał osiem lat
i w poniedziałek wraz z całą klasą
miał pomagać szykować do obrony miasto
przynosić płócienne worki a potem je trzymać
gdy starsi koledzy wypełniali je piaskiem

Był poniedziałek godzina 8.16
kiedy Shinichi wychodząc z domu
nie zamienił się w popiół
ani się w proch nie obrócił
lecz wyparował

Jego ścięgna i kości i cała krew
wyparowały przez otwarte usta
jak para ze stojącego na gazie czajnika
Nie było słycać żadnego krzyku
żadnego jęku ani skowytu
bo wszystkie dźwięki wyparowały
wraz z całym powietrzem

Jedyny ślad po Shinichim
to cień na chodniku
wypalony od żaru i błysku
Jedyny ślad
po którym mogła rozpoznać go matka
gdy przedarła się przez gruzy i zgliszcza

Matka która miała wyparować wraz z synem
gdyby nie to że wczesnym rankiem
pojechała po świeże warzywa
do mieszkającej na przedmieściach siostry

Lecz ona żyła i nic jej nie było
tylko sukienka na niej całkiem się spaliła
a paznokcie i włosy trochę się zwęgliły
lecz przecież żyła i nic jej nie było

A teraz jedyne co mogła
to swoim cieniem okryć cień syna
gdy zaczął padać czarny deszcz
i krople z łoskotem rozbijały się
na jej ramionach i czaszce
a ona je połykała łapczywie
czując w ustach ich lepki smak

Smak łez
zmieszany
ze smakiem krwi

Przesilenie letnie w kulturach przedchrześcijańskiej Europy

MICHAŁ SPURGIASZ

Przesilenie letnie w kulturach przedchrześcijańskiej Europy było czasem szczególnym – uniwersalnym świętem ognia, słońca i ciepła. Ogień, który w noc przesilenia nabywał mocy oczyszczających i apotropaicznych nie pozostawał sam, zawsze towarzyszyła mu woda, której przypisywano szczególne własności lecznicze. Pomimo względnie dużych różnic terytorialnych ludy zamieszkujące Europę przesilenie świętowały podobnie. Niniejszy artykuł ma charakter przeglądowy. Jego celem jest przybliżenie czytelnikowi zwyczajów związanych ze świętowaniem przesilenia letniego przez kilka wielkich europejskich kultur.

Celtowie

W społeczeństwie celtyckim tradycje związane z obchodami przesilenia letniego przypadają na 23–24 czerwca, czyli w rzeczywistości na okres już po przesileniu. Był to dzień znaczący, choć nie tak hucznie obchodzony, jak cztery główne celtyckie święta: Samhain (noc z 31 października na 1 listopada), Imbolc (1 lutego), Beltaine (noc z 30 kwietnia na 1 maja) i Lughnasad (1 sierpnia). Corocznie rozpalano

ogniska na wzgórzach (zwyczaj praktykowany aż do XVIII wieku. Obecnie znów jest kultywowany ze względu na wzrost zainteresowania młodych ludzi dawnymi ludowymi tradycjami) oraz wyprawiano okazałą ucztę, dla wszystkich członków lokalnej społeczności, połączoną z czuwaniem do samego rana. Celtowie skakali przez rozpalone ognisko, by odkryć swoją przyszłość. Każdy, kto uprawiał ziemię, po wysokości swojego skoku mógł ustalić wielkość przyszłorocznego plonu. Udany skok wysoko nad ogniem oznaczał dobre zbiory, skok ledwo nad płomieniami – głód, upadek w płomień zwiastował nadchodzące nieszczęście. Staczano również płonące koła ze zboczy wzgórz, co z jednej strony symbolizowało powoli skracający się dzień, a z drugiej miało zachęcić i dodać sił słońcu, by wciąż kontynuowało swoją wędrówkę. Kobiety zbierały kwiaty werbeny, róży oraz rutę i koniczynę, ponieważ istniało przekonanie, że tego dnia rośliny nabrały specjalnej magicznej mocy. Należało przygotować z nich bukiet i umieścić pod poduszką. Miał on umożliwić śnienie snów profetycznych – dotyczących bezpośred-

niej przyszłości tego, kto zasnął na ziołach. Wieczorem, jak już słońce powoli chyliło się ku horyzontowi, wokół ognisk prowadzono bydlę zgodnie z kierunkiem ruchu słońca. Czynniono to by zapewnić zwierzętom zdrowie oraz siłę na nadchodzący rok oraz aby odpędzić złe moce, ponieważ ogień miał oczyszczać i spalać kłątwy wraz z chorobami.

Symbolicznie przesilenie letnie postrzegane było za moment najwyższej potęgi Króla Dębu – reprezentanta pierwszej, jasnej połowy roku. Jednakże Król Dębu co roku w noc przesilenia miał przegrywać walkę na śmierć i życie z reprezentantem drugiej, ciemnej połowy roku – Królem Ostrokrzewu (roślina w języku angielskim nazywana jest *holly*, do dziś stanowi jeden z atrybutów świąt Bożego Narodzenia na terenie Wysp Brytyjskich i Irlandii). Triumf Króla Ostrokrzewu nie był wieczny. Władca pory mrocznej ginął w walce z odrodzonym Królem Dębu w noc przesilenia zimowego. Doroczna walka dwóch symbolicznych monarchów zamkniętych w cyklu życia i śmierci reprezentowała zmiany zacho-

fot. archi.



dzące w naturze. Od przesilenia zimowego dzień się wydłużał i temperatury rosły wraz z symboliczną władzą Króla Dębu. Po przegranej walce władzę przejmował Król Ostrokrzewu, dzień stawał się coraz krótszy, a świat chłodniejszy. Co istotne, władcy ci nie byli postrzegani jako dobrzy bądź zli. Stanowili reprezentację sił przyrody, każdy posiadał swoją domenę, a ich walka była postrzegana jako stały element świata naturalnego.

Przesilenie letnie było w percepcji celtyckiej czasem liminalnym. To znaczy „czasem pomiędzy”, momentem, gdy granica między naszą codziennością a światem niezwykłości i nadnaturalnych istot zwanych *fae* ulegała zatarciu, przez co mogły one swobodnie przemieszczać się pomiędzy swoim światem a światem ludzi. Stąd należało zachować szczególną ostrożność. W noc przesilenia nigdy nie było pewności, że nieznamy, z którym się rozmawia, jest w rzeczywistości człowiekiem, zawsze mogła to być jakaś *fae* jedynie udająca człowieka. Tym samym względem nieznamych należało zachować przezorną zyczliwość. *Fae* opisywane były jako kapryśne i drażliwe, a niektóre z nich miały być niebezpieczne i złośliwe. Narażenie się jakiegokolwiek typu istot, zdecydowanie mogło nieść ze sobą ryzyko nadnaturalnych problemów przesładujących nieszczęsna przez cały rok, a nawet, w najgorszym przypadku, nawet ryzyko śmierci. Pewnym echem celtyckiego obrazu świata jest sztuka Szekspira „Sen nocy letniej”, której akcja, przesycona wydarzeniami tajemniczymi i niezwykłymi, nieprzypadkowo rozgrywała się w noc przesilenia letniego.

Dla Celtów miejscem o szczególnym znaczeniu w trakcie przesilenia letniego były kamienne kręgi oraz dolmeny. Wedle wierzeń służyły one za punkty przejścia, szczeliny między światami, poprzez które istoty z zewnątrz mogły się przedostać na nasz świat (ale również odważni podróżnicy z naszego świata mogli odwiedzić świat zamieszkały przez *fae*). Ze względu na funkcję bramy, stare, megalityczne struktury miały dawać doskonałą szansę na zdobycie mocy magicznych spragnionym potęgi śmiałkom. Istniało przekonanie, że spędzenie nocy przesilenia przy megalitach mogło poskutkować spotkaniem z wędrowcem z innego świata, który jeśli okazałby się zycielski, to podzieliłby się wiedzą tajemną. Z czuwaniem przy bramie łączyło się też wielkie ryzyko – wędrowiec, zamiast przychylnego, zawsze mógł okazać się okrutny, bądź po prostu zły. Tym samym noc można było przypłacić szaleństwem, a nawet życiem.

Nie tylko *fae* były w stanie skorzystać z zatartej granicy rzeczywistości. Przesilenia i równonoc były uważane za momenty, kiedy dusze zmarłych mogły również powracać na świat i pod postacią widziadeł pokazywać się członkom swoich

rodzin, a nawet dołączać do całonocnych uczt i bawić się wraz z żywymi.

Ludy Nordyckie

Członkowie społeczności nordyckich, podobnie jak Celtowie, przygotowywali stopy i wystawiali sute całonocne uczty w dzień przesilenia. Panowała jednak zdecydowanie większa dowolność przy doborze miejsca – ogniska rozpalano na otwartych przestrzeniach, wzdłuż rzek i również na wzgórzach. Skakano przez ogień, przy czym czyniono to nie tyle, by próbować określić wielkość przyszłych plonów, ile by oczyścić się z choroby, przywrócić ciało sprawność i uwolnić się od złych wpływów. Ogień w noc przesilenia miał mieć potężne moce apotropaiczne – chronił przed złem, a nawet odwracał klątwy czy choroby, pod warunkiem wejścia weń w interakcję. Przez dogasający nad ranem ogień skakały, trzymając się za ręce, pary. Po skoku starano się odgadnąć, jaka czeka ich wspólna przyszłość. Udany skok miał zwiastować szczęśliwe życie rodzinne, a potknięcie się, bądź upadek w żar możliwy rozpad związku lub przyszłe życie w biedzie.

Dla ludów nordyckich dzień przesilenia był świętem poświęconym bogu piękna i mądrości Baldurowi oraz bogini słońca – Sunnie. Ze względu na radosny charakter święta z ludźmi mieli się w najdłuższą noc w roku mieszać mieszkańcy innych światów – elfy, krasnoludy, giganci, a nawet bogowie, by razem świętować. Gościnność, szczególnie wobec nieznamych, była zwyczajowo wskazana.

Woda w dzień, jak i noc przesilenia wedle przekonań nabierała specjalnych leczniczych właściwości. Członkowie społeczności nordyckich odbywali odświeżające kąpiele w strumieniach, o których sądzono, że przywracały witalność i siłę każdemu, kto zdecydował się na kąpiel. Nad ranem, po nocy przesilenia, gdy na roślinach zbierała się poranna rosa, młode kobiety nago tarzały się na łąkach. Rosa miała pobudzać płodność, dopomóc zająście w ciąży i zapewnić późniejsze narodziny zdrowego dziecka.

Zbierano rośliny i układano z nich bukiety, które później suszono i wieszano w domach pod dachem. Prym wiodły kompozycje z chabrów, liści dębu i paproci, lilii oraz maku. Roślinom zebranych w przesilenie przypisywano magiczną moc podobną do ognisk – miały odganiać zło od domu, zabezpieczać przed pożarem i chorobą oraz rozpraszać klątwy rzucone na domostwo przez ludzi zawiistnych.

Słowianie

Noc przesilenia między Słowianami była znana jako Noc Kupały, choć w niektórych miejscach, jak na Śląsku, zwano ją Sobótką. Słowo *sobótka* oznaczało wielkie ognisko, natomiast nazwa „Noc Kupały” mogła mieć związek albo z pewnym bóstwem słowiańskim, albo mogła wywodzić się od terminu związanego z gromadzeniem się, zbieraniem. Nie jest wykluczone, że Noc Kupały była kulminacją słowiańskiego kilkudnio-

wego święta Stado, ponieważ oba te święta miały bardzo podobny wydźwięk. Przy czym Stado po chrystianizacji prawdopodobnie zostało przeniesione na maj i stało się ruchomymi Zielonymi Świątkami.

Noc Kupały była świętem ognia, słońca i miłości. W jego trakcie, podobnie jak w przypadku innych opisywanych w artykule kultur, rozpalano wielkie ogniska, którym towarzyszyły uczty, śpiewy, tańce i skoki przez ogień. Niewykluczonym jest również, że w trakcie obchodów przesilenia letniego odbywały się rytuały inicjacji młodych mężczyzn w społeczność dorosłych. Zwyczajowo świętowano na wzgórzach i wzdłuż rzek, a do ognia dorzucano aromatycznych ziół. Istniała również preferencja dotycząca rodzaju drewna, z jakiego należało zbudować ognisko. Korzystano z drewna brzozy, jesionu i dębu.

Ogień należało rozpaść rytualnie. W tym celu brano brzozowy kołek, wbijano w ziemię i nakładano nań koło owinięte słomą zmieszana z smołą. Kołem kręcono tak długo, aż nie następował zapłon, po czym toczono je w stronę uprzednio przygotowanego stosu tak, aby ten zajął się ogniem. Podobne smolne koła wznoszono na palach wokół miejsc obchodów przesilenia, po czym przymocowywano do nich liny i energicznie tańcząc w koło, wzniesano ognie.

W trakcie obchodów przesilenia osłabieniu ulegały zazwyczaj restrykcyjne zasady dotyczące doboru partnerów oraz aranżacji małżeństw. Młode kobiety przygotowywały z roślin i kwiatów specjalne strojone wianki, które następnie puszczały wodą nad brzegami rzek. Kawaler, który wianek odnalazł, mógł zgłosić się do wybranki, po czym dozwolonym było, aby sami udali się na przechadzkę po lesie. Można zakładać, że kobiety wtajemniczały mężczyzn, którymi były zainteresowane w to, jaki wianek zamierzają przygotować, tak aby ich wybraniec od samego początku wiedział, czego wypatrywać.

Las w noc przesilenia w przypadku Słowian również jawił się jako przestrzeń pogranicza. W tę jedyną noc w roku miał zakwitać mityczny kwiat paproci. Każdemu, kto udając się do lasu i odnalazłby roślinę, zwiastowane było powodzenie, bogactwo i zdrowie.

Istnieją również pewne przesłanki (np. uwagi poczynione przez Sakso Gramatyka), że Słowianie w trakcie obchodów przesilenia letniego wykorzystywali maski reprezentujące różne zwierzęta, w szczególności wilki, niedźwiedzie oraz ptaki, a w trakcie uczt zakładali na siebie skóry zwierzęce.

Pomimo różnic we wszystkich opisanych powyżej zwyczajach dominuje element ognia, któremu zazwyczaj towarzyszy poczucie niezwykłości i uczucie radości. Ludy przedchrześcijańskiej Europy w najdłuższy dzień roku powszechnie radowały się, a święto, które obchodzono, było wielkim festiwalem zycia.

Wojna Powszechna za wolność ludów, o którą modlił się Mickiewicz, nie tylko zakończyła ową „la belle époque”, jaką były lata przełomu XIX i XX wieku, ale i dała początek nowym nadziejom i możliwościom. W wojnie zginęło wielu młodych mężczyzn. Każdy jednak talent ukryty w człowieku, który wyszedł żywy z okopów, był nadzieją na pomnożenie tego, co wojna zmarnowała.

Krzysztof Kamil Baczyński od Adama Bunscha jest młodszy o jedno pokolenie. Kiedy w roku 1914 wybuchła Wielka Wojna Adam Bunsch maturę kończy w Krakowie gimnazjalną edukację. Baczyński składa maturę w Warszawie w maju 1939 roku. Wojny, która za trzy miesiące się rozpocznie nie przeżył. Jaka dzisiaj byłaby Polska, gdyby spełniły się nadzieje i możliwości utalentowanych Polaków, którym odebrano szansę rozwoju ich umiejętności? Są szkody wojenne, których nie usuną żadne wojenne reparacje. Dobrze rozumiał to Hitler, który niszcząc polską inteligencję chronił najbardziej utalentowanych spośród swego narodu wyróżniając ich przywilejami, jakie należały się wybrańcom bogów (Gottbegnadeten).

Adam Bunsch (1896–1969) przeżył Wielką Wojnę. Przed stu laty, w maju 1921 roku przyjechał z Krakowa do Bielska. Tu założył rodzinę. Tu urodziła się czwórka jego dzieci, które dożyły wieku dojrzałego. Bielsko było miastem, z którego emanował talent Bunscha na Górny Śląsk jako artysty malarza, dramaturga, krytyka. Znany w kręgach elity artystycznej całej Polski opuścił Bielsko 2 września 1939 roku z 21 Dywizją Piechoty Górskiej generała Józefa Kustrońa, by już więcej do niego nie wrócić.

Oszczędziła go także i druga wojna światowa. W Szkocji, gdzie odnalazł się jako artysta i oficer oświatowy w 10. Brygadzie Kawalerii Pancerniej w Forfar trawiła go nostalgia za Krajem i tęsknota za rodziną. Pisał listy do żony, których nigdy nie wysłał. Portretował lotników polskiego dywizjonu. Projektował witraże dla polskich kościołów. Po zakończeniu wojny wrócił do Krakowa, gdzie ogarnęła go już inna rzeczywistość. Tak bardzo inna od tej, w którą wpisał się przed wojną jako pedagog i twórca.

Adam Bunsch, jak wielu innych, przyjechał na Śląsk, bo Śląsk potrzebował ludzi zdolnych wypełnić tę lukę, jaką pozostawiła po sobie niemiecka inteligencja, kiedy po Plebiscybie przeniosła się za niemiecką granicę. Potrzebował nauczycieli, inżynierów, ludzi wykształconych zdolnych przejąć funkcje kierownicze. W roku 1921 Bunsch miał zaledwie dwadzieścia pięć lat i jak na tak młodego człowieka duże doświadczenie życiowe. Wojna pisała ludziom bogate życiorysy. Na początku Wielkiej Wojny wyjechał wraz z rodziną do Wiednia, gdzie w roku 1915 rozpoczął studia w Uniwersy-



Stanisław Ignacy Witkiewicz, „Święciszek” – portret Adama Bunscha

Święciszek

KS. HENRYK PYKA

tecie Wiedeńskim oraz krótko uczęszczał na Akademię Sztuk Pięknych. Już w marcu roku 1915 został powołany do armii austriackiej, ukończył szkołę oficerów rezerwy artylerii (1915) i do roku 1918 odbywał służbę garnizonową początkowo w Sopron, a później w Krakowie. Pobyt w Krakowie pozwolił mu na podjęcie studiów w Akademii Sztuk Pięknych w pracowni Józefa Mehoffera i równocześnie studiów filozoficznych w Uniwersytecie Jagiellońskim. Obydwa kierunki ukończył już po zakończeniu wojny. Złożył także egzamin nauczycielski dla nauczycieli rysunku w szkołach średnich, co pozwoliło mu na podjęcie pracy nauczyciela i zapewniło skromne dochody. W tak krótkim czasie po odzyskaniu przez Polskę Niepodległości, bo zaledwie w ciągu dwóch lat, otrzymał absolutorium kończące studia i za udział w walkach o niepodległość Ojczyzny dwa odznaczenia: odznakę „Orlęta Lwowskie” za obronę Lwowa i medal „Polska swemu obrońcy” za służbę frontową na Kresach wschodnich podczas wojny polsko-bolszewickiej.

Tęsknota za dziewczyną pozostawioną w stronach rodzinnych i ukryte pragnienie założenia własnej rodziny nie tylko było tematem legionowej piosenki. Było marzeniem każdego młodego mężczyzny zawleczonego przez wojnę do okopów – często nie spełnionym: *bagnet mnie ukuje, śmierć mnie pocałuje, ale nie ty.*

Dziewczyna czekała na Adama Bunscha. Pobrali się w rok po otrzymaniu przez niego pracy nauczyciela w Szkole Przemysłowej w Bielsku przy ulicy Sixta. Po-

wojenna stabilizacja pozwoliła na założenie rodziny. Ślub z Ludwiką Kunaszewską młodszą od Adama o dwa lata odbył się jak przystało w domu panny młodej na Podolu w Bucnowie pod Tarnopolem. Bunschowie w Bielsku do wybuchu wojny w roku 1939 trzykrotnie zmieniali swoje mieszkanie. Rodziły się dzieci i miejsca brakowało, a i pozycja artysty w Bielsku rosła.

Bunschowie prowadzili dom otwarty i wiele osób o znanych nazwiskach ten dom odwiedzało. Bywali w tym domu Gustaw Morcinek i Stanisław Ligoń. Kazimiera i Stanisław Alberti często tu gościli. On, starosta bielski, doktor prawa, historii sztuki, filozofii, ona poetka, powieściopisarka, krytyk sztuki, animatorka życia kulturalnego w Bielsku i Białej Krakowskiej gdzie mieszkali. Przyjaźnili się z Witkacym. Witkacy odwiedzał dom Bunschów, podobnie i Osterwa, bo teatr był pasją Adama Bunscha. Napisał kilkanaście sztuk teatralnych, które wystawiano w wielu teatrach Rzeczypospolitej przed II wojną, także „Reduta” Juliusza Osterwy zainteresowała się jego twórczością, bo nowatorskie, miejscami futurystyczne dramaty Bunscha („Koń Parowy”) przylegały do programu „Reduty”, którego dewizą była służba Prawdzie. Pełnił tę służbę aktor nie tylko grą sceniczną, ale i własnym życiem. Akto- rzy Juliusza Osterwy karmili publiczność tym, czym sami żyli. Jako pedagog Bunsch „zarażał” młodzież miłością do tego z czym sami identyfikowali się na scenie jako młodzi aktorzy. Teatr Miej-

ski w Bielsku zamknięty początkowo dla polskiej publiczności (opcja niemiecka w Bielsku przed wojną była bardzo silna) był miejscem, w którym Bunsch aranżował scenę polską z udziałem młodzieży szkolnej, którą uczył rysunku. W ten sposób zrodził się „Teatr Grzechu” Adama Bunscha. Był to teatr, który kreował młode talenty z założeniem scenicznej ryzyka, które trzeba podjąć, by wypromować – nie tylko na scenie – młode pokolenie. Zajmując się krytyką literacką i teatralną, pisząc teksty sceniczne Bunsch w jednej ze swoich wypowiedzi w roku 1934 zauważył, że tekst wygłaszany na scenie to zaledwie jedna trzecia spektaklu. Siła sugestii teatralnej płynie także z innych źródeł. Jest to scenografia, ruch sceniczny, światło, indywidualna gra aktorska. W tej wypowiedzi artysta zbliżył się do tego, co było jego największą pasją, do malarstwa. Ale jakie to było malarstwo? Podobnie jak teatr Osterwy na scenie, tak malarstwo Bunscha było sztuką głębi. Bunsch nie tylko był malarzem, ale i filozofem.

Malarstwo Bunscha w części jego twórczości dotknięte jest traumą wojenną. Traumatyczne doświadczenia artysty projektują na malarstwo Grottgera, Gieryskich, Jacka Malczewskiego. Źródłem tej traumy jest Polska okuta w kajdany zaborczej niewoli. Traumatyczne doświadczenia młodego człowieka wyniesione z okopów, refleksja nad bezsenssem wojny i demoralizacja, którą wojna powoduje, to temat wczesnych obrazów Bunscha. Wielu okaleczonych przez wojnę przesiadywało na ławkach krakowskich plant. Zbierano datki, kolportowano widokówki. Na jednej z nich student bez nogi, o kulach, prezentowany na tle krakowskiego Collegium Maius. Społeczeństwo organizowało pomoc dla ofiar wojny. A sztuka miała budzić refleksję i uwrażliwiać. Za obraz „Kula Karabina” prezentowany w roku 1930 na wystawie „Rok 1920” w warszawskiej „Zachęcie” nagrodzono Bunscha srebrnym medalem. Obraz jest wizyjną interpretacją legionowej piosenki „O mój rozmarny...” Dziewczyna w rozwianych szatach, która podbiega do wychodzącego z okopów żołnierza, by go naznaczyć dotykem to śmierć. Naznaczyła go w porze kwitnących jabłoni, kiedy wszystko wyrzywa się ku życiu. Żołnierz zachwiany w równowadze na chwilę się przeży jakby chciał oddać ostatni żołnierski salut. Jeden z pierwszych obrazów artysty inspirowany tematyką wojenną powstał w roku 1921 i nosi tytuł „Do zwycięstwa”. Prezentowany po raz pierwszy na wystawie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie w roku 1922 daje początek tematyce wojennej w twórczości artysty, która powtarzać się będzie w jego obrazach przez całe dziesięciolecie. Obraz skłaniający do refleksji nad bezsenssem wojny i jej skutkami przed-

stawia żołnierzy podążających skrajem okopów przedzielonych drogą, którą zmierza na cmentarz kondukt pogrzebowy. Artysta szuka winowajców. Przedstawia ich na jednym z kartonów wykonanych w roku 1937 dla polichromii mającej zdobić kaplicę Serca Jezusowego w kościele Mariackim w Katowicach. Tematem kartonu – w zbiorach Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach – jest biblijna scena obrazująca przypowieść o Synu Marnotrawnym. Ci, którzy pośpiesznie, obładowani walizkami wypchanymi dolarami mijają poranionego na polu żołnierza, to sprawcy jego cierpienia i śmierci. To bankierzy, finansjści, właściciele koncernów, zachłanni politycy, którzy wojnę wywołali i na niej dorobili się majątków. „Dolary Pana Signac” to tytuł jednego z komediowych utworów teatralnych Adama Bunscha. Przy rannym zostaje tylko Miłosierny Samarytanin. To żołnierz frontowy. Zbiedzony towarzysz żołnierskiej niedoli.

Trauma wojenna, która nawiedza artystę, właściwie przez całe międzywojenne dwudziestolecie nie może mu jednak przesłonić radości życia. Ma rodzinę i związane z nią radości i smutki. Są i smutki. W 1924 roku powstaje obraz „Czarne myśli o białych kwiatach” nagrodzony srebrnym medalem w roku 1930 na dorocznym Salonie warszawskiej „Zachęty”: Czarne myśli snują się po atelier artysty przedstawionym w obrazie po utracie zmarłych córeczek.

Dziecko to wdzięczny temat malarstwa Adama Bunscha. Podobnie jak Wyspiański, który jest idolem artysty, Bunsch maluje dzieci w wielu pozach i wieku ich dorastania: śpiące, po przebudzeniu, kąpiące się w rzece małe golaski, zajęte kuchennymi czynnościami. Pastel naznacza te obrazy miękką fakturą. Autoportret z żoną w różowej sukience powstał po śmierci córek. Czuję się ciepłe oddechy obojga, bo ciepła jest materia obrazu, który wyraża głęboką więź małżonków tak potrzebną w chwili bolesnego doświadczenia. Artysta był świetnym portrecistą. Zachwycają walory zieleni i światło różnicujące fałdy jedwabnego szala w portrecie żony, namalowanym w roku 1938.

W wielu domach znajdują się wielobarwne grafiki Bunscha. Pojawiają się czasami na rynku antykwarycznym. Szczygły na okwieconych ostach, zimorodki, złote bażanty, dzikie kaczkę zachwycały subtelną kolorystyką nabywców. Ceny tych unikatowych śliczności były na tyle przystępne, że artysta pozyskując klientów, wspomagał w ten sposób skromną z pewnością nauczycielską pensję, wykładaną na utrzymanie rodziny.

Ksiądz Emil Szramek i ksiądz Mariacki w Katowicach to osobny i ważny rozdział w twórczości Adama Bunscha. Nie sposób w tak zwięzłej refleksji nad twórczością artysty przedstawić jego bogatą spuściznę artystyczną związa-

ną z aranżacją wnętrz sakralnych w postaci realizowanych polichromii, witraży, projektów elementów wyposażenia kościoła. Ksiądz Szramek zainteresował się twórczością Bunscha po wystawie sztuki religijnej w Katowicach, która miała miejsce w Urzędzie Wojewódzkim w roku 1931. Artysta posiadał już wtedy na Śląsku ustaloną renomę, co wyraziło się nadaniem mu rok wcześniej przez wojewodę Michała Grażyńskiego Medalu Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości.

Na wystawie sztuki religijnej w Katowicach Bunsch zaciekał Szramka całkowicie nowym sposobem interpretacji przekazu biblijnego. Zaprezentował wówczas cztery obrazy. W obrazie „Kielich Goryczy”, stanowiącym obecnie własność biskupa katowickiego, temat Ogrojca przedstawił formą nokturnu ewokującego nastrój Edgara Poe, mistrza opisywania niezwykłości. Pozostałe obrazy, jak „Łazarz”, „Przebaczenie”, „Niewiasty u grobu” burzyły ustalone przyzwyczajenia w zakresie sztuki religijnej. Bunsch ustaloną ikonografią chrześcijańską ubierał w kostium czasu, w którym tworzył. Łazarz w jego obrazie (własność Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach) wychodzi z grobu we fraku. Niewiasty u grobu prezentują się w sukniach lansowanych w katalogach Paula Poireta. Jawnogrzesznica to wywołana przez ówczesną modę i obyczaje kobieta-wamp. Komentarzem do tych przedstawień mogą być słowa Wacława Grymowskiego, krytyka sztuki, który omawiając wystawę artysty w warszawskiej „Zachęcie” pisał o odwadze Bunscha, która została nagrodzona powstaniem dzieł wnoszących nowy powiew w sztukę kościelną od kilku dziesięcioleci trwającą w stagnacji.

W zbiorach rodziny znajduje się portret Adama Bunscha wykonany w Firmie Portretowej S. I. Witkiewicza w Zakopanem. Autor nadał portretowi tytuł „Święciszek”. Adam Bunsch był człowiekiem rozsądnym i głęboko religijnym. Takim też poznałem jego syna Adama, kiedy w roku 1992 organizowałem wystawę Bunscha w Muzeum Diecezjalnym w Katowicach.

Po zakończeniu wojny, kiedy artysta wrócił z Anglii do Krakowa utracił pracę w szkole, a sztuka religijna stała się jego jedynym zajęciem. Otrzymywał wiele zleceń kościelnych inwestorów. Zarzucał też tematykę wojenną.

Myślę, że Witkacy nie testował religijności Bunscha bo sam uważał się za człowieka całkowicie areligijnego. Jak w przypadku księdza Henryka Kazimierowicza, z którym Witkacy się przyjaźnił i w Bunschu dostrzegł pozytywną zaletę jego osobowości, do której warto się zbliżyć. Ponieważ uznał ją za bliską duchowości świętego Franciszka, dlatego „ochrzcił” Bunscha Święciszkiem.



Instytut Myśli Polskiej
Wojciecha Korfantego

Los Wojciecha Korfantego

ZYGMUNT WOŹNICZKA

Wojciech Korfanty już za życia był przedstawiony w Polsce z jednej strony jako narodowy heros i mąż opatrnościowy, a z drugiej szkodnik interesów narodowych, rzecznik sił obcych polskiej racji stanu, typ politycznego awanturnika bez zasad, a także zdrajca – poświęcający innych w imię osobistej kariery i egoistycznych interesów. Istniała jeszcze niemiecka legenda Korfantego, przedstawiającego go jako siłę demoniczną, która sprawiła, że Niemcy stracili znaczną część Górnego Śląska.

Po wojnie na wychodźstwie wspomniano o Korfantym niewiele i dopiero w latach siedemdziesiątych emigracyjne wydawnictwo „Odnowa” w Londynie wydało jedną z najbardziej udokumentowanych prac na temat roli Korfantego w czasie plebiscytu i III Powstania Śląskiego. Była to praca dr. Włodzimierza Dąbrowskiego, osobistego sekretarza dyktatora III Powstania Śląskiego. Przedmowę do niej napisał syn dyktatora, Zbigniew W. Korfanty. Zawarte w pracy dokumenty, wówczas często po raz pierwszy publikowane, pozwalały bardziej obiektywnie spojrzeć na III Powstanie Śląskie i docenić rolę, jaką odegrał w nim Wojciech Korfanty.

W pierwszych powojennych latach Korfantemu uwagę poświęcili: Mieczysław Tobiasz i Kazimierz Piwarski. Godna przypomnienia jest następująca opinia Tobiasza: „Dziełem Korfantego było dopełnienie działalności wszystkich tych, którzy w XIX wieku pracowali na niwie śląskiej. Rozwinął go do pełnej dojrzałości i co najważniejsze poprzez plebiscyt i powstania śląskie doprowadził lud śląski do Polski”. Mimo że uroczystości obchodzone powstańcze rocznice, to nie eksponowano postaci Wojciecha Korfantego, chociaż w Encyklopedii PWN z 1965 roku zamieszczono jego duży biogram.

Po wydarzeniach grudniowych w 1970 roku nastąpiła liberalizacja życia politycznego i kulturalnego. W tej atmosferze doszło do opracowania i wydania w Instytucie Śląskim w Opolu „Encyklopedii Powstań Śląskich”. Nieco wcześniej ukazała się rozprawa Wacława Ryżewskiego.

Najważniejsza była jednak wydana kilka lat wcześniej, bo w 1975 roku książka Mariana Orzechowskiego: „Wojciech Korfanty. Biografia polityczna”. Była to pierwsza w Polsce tak szeroko udokumentowana praca naukowa o Korfantym. Kontynuacją zainteresowań badawczych postacią Wojciecha Korfantego była sesja naukowa zorganizowana

we wrześniu 1989 roku przez Muzeum Historii Katowic.

Dużo dla poznania poglądów i koncepcji Wojciecha Korfantego wniosła praca Edwarda Balawajdera oraz opracowania dokumentów z nim związanych i publicystyki. Ważne było opracowanie i opublikowanie przez Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” w 2012 roku przemówień: *Wojciecha Korfantego w Reichstagu i Landtagu z lat 1904–1918* z przedmową Zygmunta Woźniczki. Ich analiza pozwoli poznać obraz Górnego Śląska jaki prezentował Korfanty na forum niemieckiego parlamentu.

Prawie pół wieku po naukowym opracowaniu M. Orzechowskiego i dekadę od popularnej opowieści biograficznej pióra Jana F. Lewandowskiego, Korfanty doczekał się ciekawej biografii, napisanej z reporterskim zacięciem przez Józefa Krzyka i Barbarę Szmatoch. Jest to publicystyczny opis postaci historycznej, w której autorzy nie stronią od poszukiwania sensacji.

Wojciech Korfanty pochodził z górniczej rodziny (syn sztygara z Siemianowic) i dzięki wykształceniu oraz cechom osobowościowym z trudem przebił się do elit. Był przykładem awansu społecznego i przebudzenia narodowego części synów śląskiej ziemi. W wyniku masowej edukacji, spowodowanej przede wszystkim rewolucją przemysłową, odnalazł swoje związki z narodem polskim. Początkowo Korfanty czytając polskie książki korzystał ze słownika niemiecko-polskiego, ale już niedługo stał się rzecznikiem sprawy polskiej w niemieckiej szkole, do której uczęszczał. W czasie studiów w Berlinie i we Wrocławiu związał się z liczną Polonią wywodzącą się z Wielkopolski. Ukształtowało to jego poglądy i doprowadziło do aktywności politycznej. W czasie kampanii wyborczych do ogólnoniemieckiego Reichstagu i pruskiego Landtagu porywał za sobą tłumy ludzi zarówno płomiennymi przemówieniami, skutecznością, jak i ujmującą aparycją. W związku z tym Niemcy określili go mianem „Die Blonde Bestie”.

Zakończenie I wojny światowej oraz powstanie Niepodległej dały Korfantemu nowe możliwości działania. Stał się jednym z ojców odtwarzającej się Rzeczypospolitej. Jako jeden z przywódców zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego (1918/1919) cieszył się tam wówczas tak ogromną estymą i popularnością, że mawiano o nim: „Wielki Książę Poznański”. Kiedy jesienią 1918

roku przybył do Warszawy, przywitały go entuzjastycznie tłumy mieszkańców. W stolicy, jako kandydat na premiera, był jednym z czołowych graczy na ówczesnej scenie politycznej, miał znaczący wpływ na kształt Sejmu Ustawodawczego. Był wtedy obok Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego, Jana Ignacego Paderewskiego czy Wincentego Witosa najważniejszym polskim politykiem.

Z rodzinnym Górnym Śląskiem w latach 1919–1922 związane były najważniejsze dni chwały Korfantego. Tutaj jako Polski Komisarz Plebiscytowy, a potem dyktator III Powstania, odegrał on decydującą rolę w rywalizacji polsko-niemieckiej w tym regionie. To dzięki jego talentom i konsekwencji – po nierozstrzygniętym z punktu widzenia polskich interesów narodowych plebiscycie i III Powstaniu, doprowadził do sukcesu politycznego, który zaowocował powrotem części Górnego Śląska do Macierzy.

Przez pierwsze lata II Rzeczypospolitej Korfanty pozostawał niekwestionowanym przywódcą w posiadającym autonomię województwie śląskim i czołowym działaczem chrześcijańskiej demokracji. Korfanty był wieloletnim posłem do Sejmu Śląskiego w Katowicach, Sejmu RP i Senatu RP w Warszawie oraz dwukrotnie (1923 i 1926) wicepremierem w drugim i trzecim rządzie Wincentego Witosa. Umiejętnie łączył politykę z biznesem zasiadając w radach nadzorczych wielu przedsiębiorstw i będąc właścicielem koncernu prasowego „Polonia”. Mimo tak silnej pozycji nie mógł jednak na stałe skutecznie bronić interesów tego regionu w Warszawie. Jego koncepcje polityczne i gospodarcze nie znalazły zrozumienia wśród części stołecznych elit, w tym Józefa Piłsudskiego. Spór między nimi, trwający już od 1918 r., nasilił się po zamachu majowym w 1926 roku, kiedy wojewodą śląskim został piłsudczyk – dr Michał Grażyński. Spowodowało to kolejne napięcia, gdyż kilka lat wcześniej Korfanty udaremnił inspirowany przez Grażyńskiego w czasie III Powstania, tzw. buntu w grupie „Wschód”.

Determinowało to trudne relacje Korfantego z obozem rządzącym. Stąd, w drugiej połowie lat dwudziestych, represjonowany go jako jednego z czołowych przywódców opozycji antysanacyjnej, stawiając przed sądem marszałkowskim w 1927 roku. Starano mu się nieskutecznie udowodnić malwersacje finansowe. Podważano też zasługi Korfantego jako przywódcy III Powstania.

Sanacja szukała najbardziej czulego i słabego miejsca, gdzie mogłaby zaatakować Wojciecha Korfanteo. Jak pisał Marian Orzechowski: „Kierunek ten przywódcy sanacji określili niezwykle trafnie i precyzyjnie. Było nim rozwianie legendy o polityku nieprzejednanym wobec Niemców, zawsze i wszędzie działającym jedynie w obronie polskich interesów narodowych, bezkompromisowym, kierującym się stałymi zasadami ideowo-moralnymi trybunie ludowym, polityku «czy-tych rąk»”.

Prowadzono przeciwko Korfantom ostrą kampanię prasową. Przykładem stylu i metod był „List otwarty do p. Korfanteo” opublikowany przez Rudolfa Kornkego, przewodniczącego Zarządu Głównego Związku Powstańców Śląskich w dniu 1 IV 1927 roku w „Polsce Zachodniej”. Pisał on, że Korfanty dawne zaufanie „przehandlował z odwiecznymi wrogami ludu śląskiego na swój wstyd i upadek” [tamże] 30 maja 1927 r. „Polska Zachodnia” opublikowała „Pieśń o sojuszu Korfanteo z Niemcami”. Była ona napisana na wzór pieśni „O cześć wam, panowie magnaci” i pokazywała byłego dyktatora III Powstania Śląskiego jako szkoldnika interesów narodowych. Jedna ze zwrotek brzmiała:

*Gdy naród swą wolą o sobie stanowi,
W swe siły i w Polskę uwierzył,
Korfanty na Sejmie przeciwko ludowi
Z Niemcami się podle sprzymierzył
O cześć, wam panowie z prawicy
Że chcecie zaprzędać nam dusze,
O cześć ci – Korfanty i twój stronnicy.
Za wasze z Niemcami sojusze*

Korfantego oskarżono o branie pieniędzy od niemieckich przemysłowców i po wielu staraniach postawiono go przed Sądem Marszałkowskim w końcu 1927 roku. Sprzyjał też temu fakt, że niemieccy przemysłowcy porzucili Korfanteo i szukali dróg porozumienia z sanacją. Korfanteo bronili posłowie opozycji, a atakowali posłowie sanacji. Ostatecznie Sąd Marszałkowski stwierdził, że „pobieranie subsydiów od Górnośląskiego Związku Górniczo-Hutniczego przez posła Wojciecha Korfanteo w okolicznościach, w jakich to uczynił, nie licowało z godnością posła i publicysty”. Sanacja uznała ten wyrok za swój sukces i atakowała Korfanteo na łamach prasy sądząc, że jego kariera polityczna jest pogrzebana.

ODEZWA WOJCIECHA KORFANTEGO

DO
LUDU ŚLĄSKIEGO



Odezwa Wojciecha Korfanteo do ludu Śląskiego. Wydawcy: Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo, „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021

Korfanty jednak się nie dał zniszczyć i pozostał na scenie politycznej. Był nadal przewodniczącym Chrześcijańskiej Demokracji w Województwie Śląskim i czołowym działaczem chadecji na forum ogólnopolskim. Mimo to nie udało mu się powstrzymać spadku własnej popularności, ani procesów dezintegracyjnych w łonie śląskiej chadecji.

W tej skomplikowanej dla niego sytuacji politycznej jak i osobistej Korfanty przygotował i opublikował w grudniu 1927 roku „Odezwę do ludu śląskiego”. Opisał tam swoją młodość oraz drogę polityczną, poczynawszy od posłowania w Reichstagu, lata I wojny światowej, działalność w czasie plebiscytu i III Powstania Śląskiego, a potem działalność polityczną i gospodarczą oraz publicystyczną w wolnej Polsce. Dużo uwagi zwrócił na współpracę ze śląskim przemysłem, gdzie był m.in. prezesem Rady Nadzorczej Spółki Dzierżawczej Państwowych Kopalń Skarbowych. Pisał też Korfanty o drenażu przez władze centralne środków z górnośląskiego przemysłu między innymi przez nakładanie na niego podatku majątkowego i dochodowego. Korfanty bronili we wspomnianej odezwie swoich zasług jako działacza polskiego i Komisarza Plebiscytowego oraz przywódcy III Powstania Śląskiego. Ten spór o tradycje Powstań Śląskich rozgorzał już zaraz po zama-

chu majowym w 1926 roku i trwał wiele lat, ale główne starcie nastąpiło w 1931 roku, w dziesiątą rocznicę III Powstania Śląskiego. W tym czasie ma łamach prasy sanacyjnej, w tym głównie w „Polsce Zachodniej”, ukazały się liczne artykuły gloryfikujące przede wszystkim Michała Grażyńskiego – powstańca, oficera grupy „Wschód”, który przewodził buntowi przeciwko dyktatorowi powstania i został za to postawiony przed sądem polowym. Wspomnienie opublikował też dowódca powstania Maciej Mielżyński oraz Michał Grażyński (*Walka o Śląsk. Fragmenty wspomnień sierpień 1920 – czerwiec 1921.*) Jednoznacznie wskazywał w niej, wbrew prawdzie, że był tym, który wymógł na Korfantom decyzję o rozpoczęciu III Powstania Śląskiego. Z Grażyńskim polemizował na łamach „Polonii” Wojciech Korfanty. Ukazał się cały cykl 25 artykułów mających wspólny tytuł „Marzenia i Zdarzenia”. Korfanty we wspomnianej publikacji zakwestionował i obalił większość tez swoich adwersarzy.

Korfanty nadal był obiektem ataków ze strony sanacji, co doprowadziło do tego, że w 1935 roku został zmuszony do udania się na emigrację do Czechosłowacji. Utrzymywał jednak ciągle kontakty z krajem. Korespondencyjnie i przez łączników kierował „Polonią”, oddziaływał na prace Chrześcijańskiej Demokracji. Odegrał też ważną rolę w powstaniu tzw. Frontu Morgesa w 1937 roku doprowadzając do połączenia Chrześcijańskiej Demokracji i Narodowej Partii Robotniczej w Stronnictwo Pracy. Była to jedna z liczących się antysanacyjnych sił na polskiej scenie politycznej tamtych lat. Po zajęciu przez Niemców Czechosłowacji w marcu 1939 zagrożony aresztowaniem wyjechał do Paryża, skąd w kwietniu 1939 roku wrócił do kraju. Został aresztowany i osadzony w więzieniu mokotowskim. W lipcu został zwolniony ze względu na zły stan zdrowia, zmarł 17 sierpnia 1939 w Warszawie. Jego pogrzeb w Katowicach był wielką demonstracją patriotyczną na kilka dni przed wybuchem wojny. ■

(Fragmenty *Wstępu* do reprintsu „Odezwy Wojciecha Korfanteo do ludu śląskiego” opublikowanego przez Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo i Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” w Katowicach.)

Nie tylko Henri Pautex

Francuzi i Belgowie w szeregach III powstania śląskiego

PAWEŁ PARYS

W III powstaniu wzięło udział blisko 60 tys. osób. W zdecydowanej mierze byli to Górnoszlązacy. Odsetek ochotników spoza Śląska szacuje się mniej więcej na 10–12 procent. Czasem podaje się nawet liczby sięgające 8–9 tysięcy. Głównie byli to Polacy z różnych dzielnic Polski, lecz wśród nich znaleźli się również Francuzi i Belgowie. Najbardziej spośród nich znany jest Henri Jean Pautex. Posiada swoje hasło biograficzne w „Encyklopedii Powstań Śląskich”, „Chorzowskim Słowniku Biograficznym”, a materiały archiwalne jego żony, jako podopiecznej ZBoWiD-u znajdują się w Archiwum Państwowym w Katowicach.

Urodził się 11 listopada w Machilly w Departamencie Haute Savoie w Górnej Sabaudii jako syn rolnika Jacquesa, plantatora winorośli. Uzyskał dyplom agronoma. W latach 1917–1918 walczył w I wojnie światowej (według innej wersji od 5 kwietnia do 1 lipca 1918 roku w 22 baonie strzelców alpejskich, później 6 baonie strzelców alpejskich). W latach 1920–1922 przebywał w Gliwicach, gdzie pełnił funkcje sierżanta sztabowego. Od 1 sierpnia 1920 do 31 sierpnia 1921 roku w POW. Za zgodą gen. Henri Le Ronda zaciągnął się ochotniczo w szeregi powstańcze. Na samym początku szkolił oddziały 7. pułku gliwickiego, później przydzielono go do 7. kompanii II baonu w 2 pp zabrzkim. Wziął udział w walkach pod Gliwicami, Sławięciami i Starym Koźlem. Zdaniem baonowego Feliksa Sojki „jako jeden z najlepszych Francuzów, który w czasie plebiscytu nadzwyczaj przychylnie współpracował

z Polakami”, a także otrzymywał od niego „wiele broni i amunicji od organizacji niemieckich, które zostały przez władze francuskie skonfiskowane”. W dniu 2 grudnia 1922 roku ożenił się z Franciszką Kneifel (urodzona 27 lutego 1898 roku w Gliwicach), działaczką kulturalno-oświatową. Z końcem tego roku przeniósł się do Królewskiej Huty (obecnie Chorzowa). W latach 1923–1933 pracował w „Skarbofermie”, Spółce Akcyjnej, w dziale Statystyki Gruntów i Lasów, natomiast w okresie 1926–1929 zarządzał majątkiem rolnym gminy Chorzów (obecnie dzielnica miasta). Na przełomie lat 1929/1930 rozpoczął budowę ośrodka rekreacyjno-wypoczynkowego „Dolina Szwajcarska”, która obecnie stanowi część Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. W tym miejscu prowadził restaurację. Należał do Związku Obrony Kresów Zachodnich, Stowarzyszenia byłej Armii Polskiej we Francji, Związku Powstańców Śląskich i lokalnych stowarzyszeniach o charakterze polityczno-społecznym. W dniu 25 stycznia 1941 roku aresztowany przez gestapo, a następnie wywieziony do obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie otrzymał numer obozowy 9538. Zmarł tamże 6 maja tego samego roku. Miał dwóch synów: René Franciszka (1923–2001) i Henryka Józefa (1925–2005).

W III powstaniu wzięło jeszcze udział kilka osób narodowości francuskiej i belgijskiej. Ich personalia występują w tzw. „Archiwum Powstań Śląskich”. Dane na ten temat ekscerpowane

z materiałów archiwalnych, znajdują się poniżej.

Francuzi

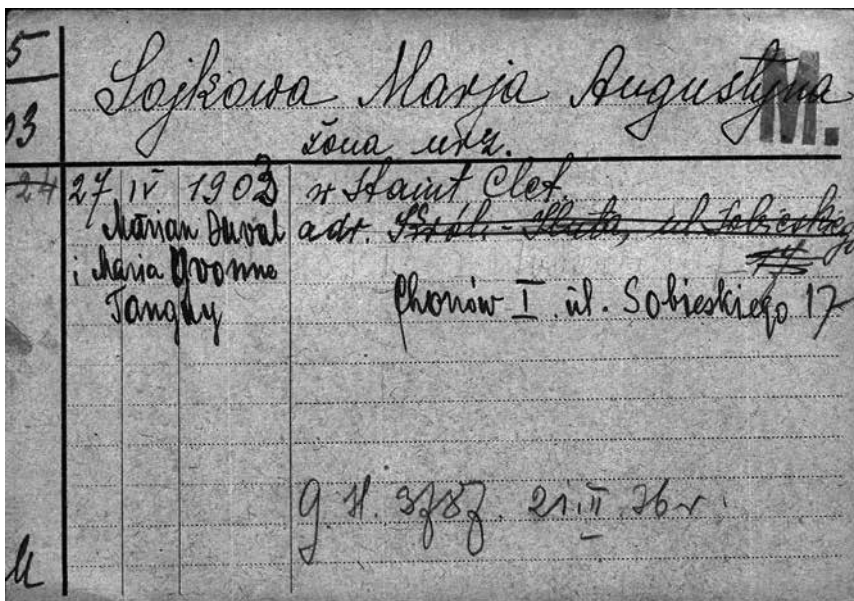
1. Bernard Henri. Do 30 czerwca 1921 roku jako „urzędnik w randze porucznika” w wojskach powstańczych, następnie zwolniony do Krakowa na ulicę Zybkiewicza 10.

2. Forestier Edmond urodził się 21 stycznia 1899 roku w Strasburgu jako syn Guillaume’a i Caroline z domu Huber. Od 13 kwietnia 1911 roku w armii francuskiej, początkowo w Maroku, później w Algierii. W okresie 7 września 1912–6 kwietnia 1916 roku w Maroku, natomiast później, aż do zakończenia I wojny światowej na froncie francuskim. Kilukrotnie odznaczony. W dniu 1 września 1915 roku mianowany kapralem, 1 września 1919 roku sierżantem, 1 stycznia 1921 roku adiutantem. W latach 1918–1919 w okupacji Nadrenii, po zwolnieniu przez krótki czas na terenie Francji. Od 27 stycznia 1920 roku przebywał na Górnym Śląsku. Od 3 maja 1921 roku w Bańgowie (obecnie dzielnica Siemianowic Śląskich) na czele grupy powstańców, od 10 maja odpowiedzialny za prace fortyfikacyjne na froncie, od 26 maja dowódca samochodu pancernego „Górny Śląsk-Alzacja”, natomiast od 6 lipca, czyli już po zakończeniu powstania, w 4 pp gliwickim. Zdaniem Stanisława Mastalerza, dowódcy 7 (4) pp gliwickiego im. Batorego „F[orestier] jako Francuz nie włada językiem polskim. Będąc przy armii okupacyjnej, wstąpił do szeregów powstańczych z sympatji dla Polski, i obecnie wykształca się w języku i literaturze polskiej” oraz „F[orestier] powstaniec z sympatji okazał się jako energiczny d-ca i waleczny żołnierz. Posiadając wysoką inteligencję i dobry talent zasługuje wobec jego czynów na awans. W koszarach dobry instruktor syst[emu] francuskiego”. Rudolf Kwak-Krzewiński stwierdził: „słabo mówi po polsku – ale Polskę kocha bardzo”, a także: „B[ardzo] dobry chorąży – dzielny – ambitny – pilny – jako komdt. auta panc[ernego] był bardzo odważny i zdecydowany”.

3. Gaetrain Edouard urodził się 18 września 1899 w Laval. Z zawodu był handlarzem. Od 3 maja 1921 jako sierżant sztabowy w III baonie 2 pp zabrzkim.

4. Sojkowa Augustyna z d. Duval urodziła się 27 kwietnia 1902 roku w Sa-

25	Pautex Henryk	
19263	Gliwice	
11 XI	1899	ba. w Machilly km. Chortom III, Sabina Szwajcarska
ODRZUCONO		
na podstawie Komisji		
z dn. 26. VI 1938 (protokół)		
posledzenia 131		



int Clet koło Guingamp jako córka Yvesa właściciela dóbr Pen en Crech i Marii Yvonne z d. Tanguy. Po ukończeniu szkoły średniej w Pontrieux, w dniu 17 kwietnia 1919 roku wyszła za mąż za Górnolązaka, rodem z Niepazyc koło Łąbęd, Feliksa Sojkę. Mąż służył w Błękitnej Armii gen. Hallera we Francji. W czasie powstań i plebiscytu uzyskiwała zezwolenie na broń dla członków POW, przewoziła rozkazy, broń i amunicję. Interweniowała u władz francuskich, płk. Lacasagne, płk. Verger, płk. Fournier, płk. Buiret oraz gen. Le Ronda w Opolu w sprawie uwięzionych członków POW z powiatu gliwickiego, a także usunięcia z obszaru plebiscytowego żandarma Zurka z Łąbęd, „który agresywnie występował wobec Polaków i bardzo szkodził sprawie polskiej”. Doprowadziła również do aresztowania adiutanta powiatowej komendy Sebtschutzu, Imiolczyka. Wzięła udział w „pracy plebiscytowej”. Od 15 sierpnia 1920 roku do 5

lipca (30 września) 1921 roku należała do POW. Jej działalność poświadczali Wilhelm Bobek, Emanuel Prawk, służący w III baonie 2 pp (zabraskiego) i Stanisław Mastalerz, dowódca 4. pułku gliwickiego. W okresie międzywojennym syn Augustyny służył w 4. kompanii Korpusu Kadetów nr 1 im. Marszałka Józefa Piłsudskiego we Lwowie, natomiast córka uczyła się w gimnazjum w Chorzowie. Augustyna angażowała się społecznie w prace Związku Peowiaków, Stowarzyszenia Rodziny Urzędniczej i Związku Polek. Za działalność odznaczono ją Medalem Niepodległości. Nie wiadomo kiedy zmarła. W dniu 12 listopada 1950 Feliks Sojka jako wdowiec ożenił się повторно z Marią Kögel.

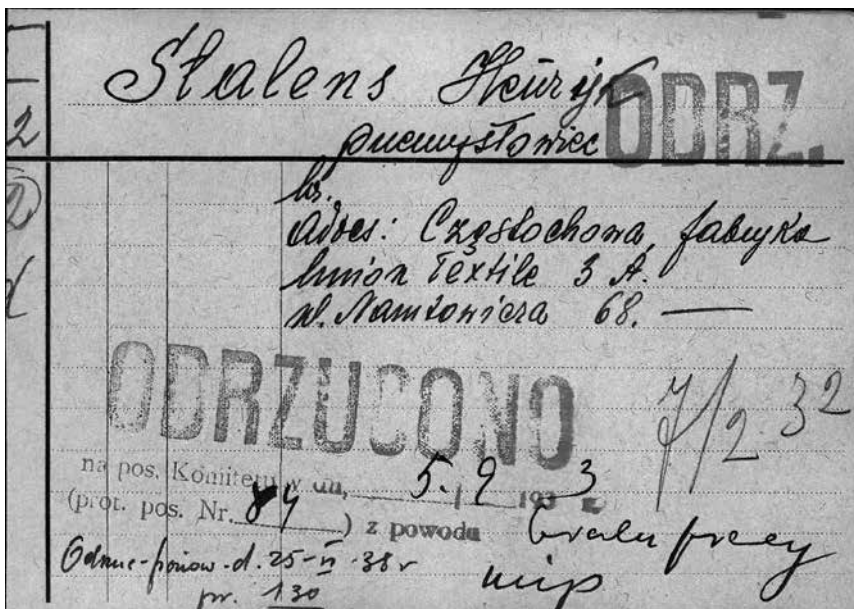
5. **Ozanne Henri** urodził się 11 lutego 1898 roku. Od 2 czerwca 1915 roku służył jako lotnik w wojsku francuskim. Od 28 grudnia 1918 roku jako podporucznik w polskim lotnictwie. W dniu 28 czerwca 1921 roku „zwol-

niony z górnoląskich oddziałów powstańczych”.

Belgowie

1. **Fortomie Ludwik** urodził się 3 sierpnia 1891 roku w Lüttich. Służył w belgijskiej kawalerii. Na Górny Śląsk trafił prawdopodobnie jako jeńiec. Mieszkał w Zębowicach w powiecie oleskim. Pracował jako robotnik. Jego żoną była Paulina z d. Gabrys, miał jedno dziecko. W czasie III powstania służył w 4. kompanii zębowskiej 8 pp tarnogórskiego.

2. **Stalens Henri** urodził się 13 lutego 1886 roku (według Wikipedii w 1875 roku) w Waterloo. Pracował w okolicach Roubaix w fabryce włókienniczej należącej do rodzin Motte i Meillasoux. Według Wikipedii w 1895 roku (co nie zgadza się z faktyczną datą urodzenia) wysłano go do Częstochowy, gdzie pracował jako urzędnik z przerwami do 1933 roku. Był również dyrektorem i głównym udziałowcem częstochowskiej fabryki kapeluszy i Wytwórni Wyrobów Trykotowo-Dzianych „Runo”. W latach I wojny światowej Niemcy zarekwirowali fabrykę należąca do Stalensa, a jej mienie częściowo rozkradziono. Udało mu się jednak ukryć i uratować maszyny, za co z czasem odznaczono go Orderem Odrodzenia Polski. Angażował się w działalności społeczną i charytatywną, wspomagał Towarzystwo Dobroczynności dla Chrześcijan, Towarzystwo Opieki nad Bezdomnymi Dziećmi, Schronisko Towarzystwa Ochrony Kobiet i miejscowy PCK. Wziął udział w III powstaniu śląskim. W 1922 roku był członkiem honorowym i jednym z współzałożycieli Klubu Sportowego „Victoria”, a także członkiem zarządu Towarzystwa Budowy i Eksploatacji Teatru i ochotniczej straży ogniowej. W 1936 roku odznaczony Legią Honorową przez rząd francuski. W drugiej połowie lat 30. zweryfikowany jako powstaniec w Związku Powstańców Śląskich. Wraz z wybuchem II wojny światowej razem z rodziną próbował wyjechać do Francji, lecz w Zaleszczykach zatrzymani zostali przez wojsk sowieckie. Przez pół roku więziono ich we lwowskim więzieniu. Ze względu na zły stan zdrowia a także wpłacenie okupu rodzina ostatecznie wyjechała do Francji. Stalens żonaty był z Marie Houze z którą miał syna Andre, który z kolei ożenił się z częstochowską aktorką Julią Młynarczyk. Ich córka, Monique Yvette jest matką Juliette Binoche, francuskiej aktorki. ■



Reprodukcje fiszek, zawierających personalia Francuzów, pochodzących z zasobów Wojskowego Biura Historycznego (dawniej Centralne Archiwum Wojskowe w Warszawie-Rembertowie).

Rdzawy świat

MACIEJ KALARUS

Podróż to przede wszystkim spotkania ludzie. Są i pejzaże, i dzieła architektoniczne – jednak dziś bardzo dużo znajdziemy tego wszystkiego w przestrzeni internetowej. Pustynie. Jeziora. Morza i oceany. Pasma górskie i wszystkie ente cuda świata wpisane na milion list dziedzictwa. Kto to ogarnia? Zdjęcia. Katalogi. Filmy. Wszystko można zobaczyć, o wszystkim przeczytać, niemal dotknąć, wszystkiego dowiedzieć się klikając tu i ówdzie, każdy według swojego klucza, według własnych upodobań. Natomiast prozaicznych spotkań z całkiem przypadkowymi osobami nigdzie nie znajdziemy. Bardzo, bardzo rzadko. Tych anonimowych kilka zdań, czasem godzin przegadanych na podróżniczym szlaku nikt nigdy nie pokaże, ponieważ rządzi nimi żywa tkanka ludzkiego przypadku. Jeśli więc gdzieś jadę, to przede wszystkim po to, by zobaczyć, jak TAM żyją ludzie, jaki wiodą los na każdym końcu świata. Potem coś zanotuję, skreślę notatkę, spiszę na skrawkach zmiętego papieru. Powstaje to przez lata, jak słoje w drzewie. Jak rdza.

Meksyk. Labrador. Wieczorem trafiam do wrót hacjendy. Skalne. Wielkie. Otwarte. Arturo Mazo bierze do siebie i raczy wszystkim. Sędziwy i władczy. Nienawidzi Amerykanów – ale kocha Europejczyków. Ekspresyjny jak Dali. Tequila. Tequilę. Tequilą. Tequili. Jego trzy córki grają w orkiestrach i studiują muzykę w odległej stolicy. W czasie pandemii pracują na plantacjach, a wieczorami sprzedają kukurydziane tacos i grają na dużych *zókalu* swoje i narodowe utwory. Kochają Amerykanów – ale nienawidzą

Europejczyków. Jego żona, Huanita (a jakżeż!), jest w biodrach trzy razy taka jak ja i kiedy idzie po schodach, obija się to o ścianę, to o barierkę. Na noc dostaję pledy i śpię jak w niebie. Urzeka mnie meksykańska gościnność, gdzieś na rozległej prerii pod Chal Tunii.

Madagaskar. Morondava. Przeżywam tak wiele, że nie sposób zebrać myśli. Biskup prosi na obiad. Idę. Poniedziałek. Pytam, co jest najgorsze na świecie. „Polityka, tylko polityka. Gdyby jej nie było, byłoby wszystko. Świat psują nieudolni i słabi politycy”. „Słabi” powtarza z pięć razy. Córka polityki jest korupcja. Ale i tak najgorsza jest polityka. Jak nie ma polityki, jest wszystko. Najgorsza na świecie jest polityka. Potem trafiam do miejscowego szpitala. Trzeszczy we mnie każda kość. O chorych dba rodzina: od państwa dostajesz tylko przycię i zabieg. Nie wiem, gdzie schować oczy.

Ghana. Acra. Poznaję Reginę. Ma dwadzieścia lat, jest najpiękniejsza na świecie i pracuje w przyhotelowej kuchni, na Adabrace. Zarabia w przeliczeniu około sto osiemdziesiąt złotych na miesiąc. Ma starsze rodzeństwo: pięciu braci i cztery siostry. Ma też dwie mamy i dwóch ojców – tak tu jest. Gdy pytam ją o marzenia, mówi szczerze, że chce jak najszybciej wyjść za mąż i mieć dzieci – tylko to się liczy. Nie ma chłopaka, bo wszyscy chcą tylko jednego, a że jest najpiękniejsza na świecie, to tym bardziej. Poznaję jej rodzinę i zostawiam u nich część bagaży, by wszystkiego nie taszczyć do Togo i Beninu – i tak tu wrócę. Regina lubi tańczyć i gdy wieczorem, w polską wigilię, idziemy do restauracji, to, co wyprawia z rówieśnikami, nie mieści się w głowie – nigdy nie widziałem takich tańców.

Liberia. Monrovia. Na taras Mamba Point przyjechałem z ambasadorem, u którego załatwiam wizę do Sierra Leone. Tutaj każdy Biały jest na wagę diamentów. Ambasadador pije dużo piwa i mówi, że na upał jest najlepsze. Garnitur na miarę. Szofer na parkingu. W palcach lewej ręki ciągle trzyma białą chusteczkę w ten sposób, że jeden z jej rogów ma przewleczony przez obrączkę złotego sygnetu – by nie zgubić. Mówi też, że tylko Chiny wyznaczają przyszłość i nikt na tym wybrzeżu nie inwestuje tak rozmyślnie i na taką skalę, jak Chiny. Elektrownie. Kopalnie. Przemysł. Potem szpitale, szkoły i sport. Chińskie inwestycje są globalne i ekspansywne, a europejskie (drogi, wodociągi, pomoc humanitarna) są darem, bez większej korzyści dla Starego Kontynentu – biznes prowadzą tylko drobni przedsiębiorcy i skorumpowane przez urzędników przedsiębiorstwa. Gdy ciemną nocą Massally odwozi mnie do hotelu, zajeżdżamy jeszcze pod wielki gmach hotelu Ducor, w rozbiórce. To tutaj kąpał się w basenie ugandyjski rzeźnik Idi Amin, a przy barze śpiewała afrykańska diva, Miriam Makeba vel Mama Africa. Hotel kupili Chińczycy.

Peru. Cusco. Leje na wszystkie strony. Czytelnia gazet. Odźwiernym jest Miguel. Stary jak morze. Dawna prasa drukarska ucięła mu osiem palców. W zamian ma od miasta dożywotni etat. Wpuszcza i wypuszcza ludzi. Sprawnym hakiem wydaje klucze na dziedziniec. Muzeum Sztuki Przedkolumbijskiej. Potykam się o jakieś garnki sprzed set wieków. Ciągle się o coś potykam. Na mokrych kamieniach słoneczne znaki dawnych właścicieli. Po godzi-

fot. aut.



nie Miguel szarpie mnie hakiem za rękaw i nie wiem, gdzie dać mu drobne. Chce mi sprzedać stare monety. Ciągnie w bok, wprawnie zahacza hak o hak, rozczepia, rozpina i w mig przebiera wszystkimi palcami. Bajkę o prasie drukarskiej wciska namiętym turystom za drobne, których już nie szukam...

Argentyna. Ushuaia. Trawa była mokra. Chmury gnały w Cieśninę Magellana jak oszalałe. Stoisz hardo na tym cyplu jak majtek w orlim gnieździe. Na skromnej i poszarpanej pustce rozbiłem namiot i czekałem na noc – ale tam nie można spać. Gwiazdy zawijają o grzbiet czarnego nieba, a woda mocno bije o skały. Dudni. Bezczy. Brezent tak się ugina, jakby tu właśnie Syzyf opierał całą swoją siłę i rozpoczynał kolejne podejście. Krańce Ziemi. W jakimś sensie podróż zawsze jest na krańce. Krańca świata. Krańce siebie. Krańce opowieści tych, którzy byli wcześniej.

Mercedes Sol zaparzyła herbatę. Krucze włosy, cera zbita mroźnym słońcem, złote inkaskie kolczyki. Mieszkała wysoko, wysoko nad miastem. Ludzie rąbali las, by wyszarpać kolejne metry pod lekkie drewniane szałaszy. Twarde dechy na podłodze. Kilka pleców. Wolny ogień. – Tierra del Fuego jest jak magnes, ściga mieszkańców i nie puszcza. Żeby tu mieszkać musisz chcieć być na zesłaniu, bo wszędzie tak bardzo daleko. To więzienie, rozumiesz? To koniec.

Nazajutrz wzięła mnie do swojego sławnego muzeum: Museo del Fin del Mundo – Muzeum na końcu świata – i wbiła mi do paszportu swoją wielką pieczętkę.

Indie. W chmurach. W samolocie z Delhi do Mumbaju poznaję Sadavira. Jest pracownikiem firmy energetycznej i był w Polsce już trzy razy. Mówi bez zająknięcia „Kra-ków”, „Zakopane”, „na zdrowie” i „ładne masz nogi”. Nie widziałem w Indiach tyle wina, ile on wypił w samolocie.

Peru. Cusco. Siadam pod Złotym Incą. Sam środek Plaza de Armas. W najlepsze trwa drugie zachmurzone południe. Podchodzi chłopak i prosi o monetę z mojego kraju – na pamiątkę. Wyciągam dwa złote, a on obraca w palcach i oddaje. Mówi, że nie chce, bo jest nic nie warta. Siedzę dalej. Podchodzi dziewczyna i zaprasza na masaż. Zimno jak diabli, coś by się przydało. Najpierw chce sto euro, potem pięćdziesiąt, a na koniec dziesięć. Sięgam po pierśówkę i grzeję serce, a ona łapie innego. Żałuję. Siedzę dalej i podchodzi starzec. Ślepy, z twardą laską. Nic mu nie wrzucam. Krąży wokół złotego przodka i co rusz potyka się o wszystkich Anglików, Niemców i Francuzów. Zbiera do kapelusza drobne. Patrzę, jak odchodzi, a za rękaw łapie mnie dziewczynka z lamą – do zdjęcia, czy bym nie chciał? Nie chcę i szukam wzrokiem mojego ślepcy. Siedzi w podcieniach na ławce i czyta gazetę. Złoty Inca patrzy na to wszystko z fontanny. Pachacutec, czyli „Ten który zmienia świat”. Najpotężniejszy z incaskich władców. Myśmy cięli się z Krzyżakami, a on zbudował Machu Picchu. Dowodził największym prekolumbijskim imperium od Ekwadoru do środkowego Chile, z dużą częścią Boliwii i Argentyny. Siedzę dalej i czekam na cud...

Indie. Delhi. Barindra zbiera kupy. Jest zawodowym kupim. Im krowa starsza, tym kupa lepsza – mówi. Zwozi kupy ciężarówką i sprzedaje przy targu. Ciemne placki schodzą na pniu jako podpałki w paleniskach. Zasuszone łajno trzyma w sobie gaz i długo pali się w kozie. Czasem wybucha. Dziesięć kup – pięć rupii. Kupy sprzedaje albo w paczkach, albo na kosze. Najgorzej palą się kupy po kukurydzy, a najlepiej po zwykłych zielonych trawach. Stare kupy długo trzymają ciepło – nowe są idealne na duży



Katar

for aut

ogień. Z kupy ludzie robią też klepisko w wiejskich chatkach: układają podłogę i zalewają tłuszczem, a na to wysypują drobne kamyczki. Ale najlepsze są kupy na opał. Kupa kupie nie równa, jak widać.

ZEA. Oaza Liwa. Abul Kalam Azad niesie drabinę, trochę przed południem. Pytam o forty. Do jednego prowadzi za rękę, a do drugiego objaśnia dojazd. Bliźniacze stare twierdze. Zanim plemię Bani Jas odnalazło słodką wodę na wyspie Abu Zabi, tutaj prowadziło półkoczownicze życie. Abul pomagał przy rekonstrukcji. Za chwilę ciągnie do swoich wielbłądów. Rozrodcze. Pustynne krowy. Kilka trzyma w drucianym zamknięciu, a resztę trzy córki pilnują gdzieś na piachach. Tłumaczy i tłumaczy. Gada i gada. Pracuje przy nawadnianiu farm daktylowych. I znów ciągnie – do reszty swoich dzieci. Żona wiesz pranie, ale ucieka w podskokach na mój widok. Bogobojni. Tradycyjni. Ukryci za ścianą czasu.

Madagaskar. Morondava. Spotykam starego znajomego – Grzegorz Janiak, misjonarz. Prawie dwadzieścia lat na wyspie. Pokazuje wszystko od podszewki. Wozi dziećmi w piachy buszu. Opowiada – książkę można byłoby napisać. Pozytywistyczna robota. Oblat. Pytam go o cierpliwość. – Trzeba mieć anielską, a i tej mi czasem brakuje. Malgasz potrafi prostą sprawę skomplikować do kwadratu. Punktualność u nich nie istnieje, plus minus godzina – no będę jak będę! Pokazuje tyle co zbudowaną szkołę i kawałek karczowanego ścierniska, gdzie planują kolejną misję edukacyjną. Życ się chce – naprawdę.

Morze Kaspijskie. Dziarski kapitan tlił starą fajkę na ruskim tytoniu. Miał dwa różne buty i same złote zęby. Słońce paliło do cna i jedynie przy kominach stał cień. Ale tam ani hałas, ani niemiłosierny smród od spalin nie pozwalał na nic. Wieźliśmy węgiel i zboża. Wszędzie wewnątrz było tak duszno, że jedynie na najwyższym pokładzie można było złapać resztki tlenu. Buchało żarem i statek trzeszczał w szwach. Myślałem, że pęknie. W ubikacji nie wiedziałem jak to zrobić.

Nocą gwiazdy układały się w sny. Chciałem spać i zapomnieć. Było mi wszystko jedno – byle do brzegu, byle na piach. Czasem jakaś gwiazda powoli szyla niebo na wskroś. Byle do rana. Marynarze z kucharkami kładli się pokotem obok. Częstowali winem i suchą rybą. Leżysz na swoich dwóch metrach i sam już nie wiesz, czy to piekło, czy to raj. Tniesz czarne fale: ani ptaków, ani świateł, ani nic. Potem od rana gotowano obiad, ale bałem się jeść. Parzyłem ręce o każdą poręcz i najładniejszej kucharki zostawiłem mój nożyk do obierania wszystkiego.

ZEA. Oaza Liwa. Ibtisam poznaję w podcieniach. Imię znaczy „Uśmiechnięta” – ale nie godzi się na zdjęcia. Sto bia-



Paragwaj

łych jak kry zębów. Czarne oczy. Czarne wszystko. Trochę oprowadza, trochę sprząta. Przetawia strzelby pamiętające wyprawę Bertrama. Wciska mi w rękę starą podróżniczą epopeję Arabian Sands. – Bierz, to o nas. Chodzimy po wąskich korytarzach. Na ścianach dzidy, prochownice. Wielkie kamienne stągwie sterczą w kątach jak beduińscy wartownicy. Arabski zegar słoneczny. Biblioteka. Irytuje ją moje zainteresowanie i każe przyjść pojutrze.

Przychodzę. Oplątana w delikatny jak wiatr jedwabny chimar, ciągnie na zapleczu kuchni. – Tego nikt nigdy nie widzi, nikogo tutaj nie przyprowadzamy. Masz szczęście. Jest ciemno, ale twoje oczy zaraz się przyzwyczają. Patrz i wachaj – mówi wszystko szybkim półgłosem. Półki uginają się od worków z anyżem, kardamonem i zaatarem. Dziesiątki małych słoiczków: harrisa, kumin, sumak. Dodatki do herbat, zioła, misy pełne sezamu. Niczego nie znam i wszystko widzę pierwszy raz. Zapachy pustyni. Posiekane kory cynamonu. Żółty kurkum – jakby ktoś pomalował mak. Imbir, imbir, imbir. Pod ścianą suche daktyle, płyty karmelu i ukryte przez słońcem banany. Nazw suszonych liści nie pamiętam.

Ibtisam mieszka naprzeciw. Pokazuje palcem wtopione w piach domostwa. Al Sarab ma sześć lat i wybudowano go w rok. Perła emira. Ponad miliard dolarów – tyle co gwiazd na niebie. Nocą, daleko za wydmami, bije w górę wielka czerwień – szyby naftowe. Próbuje podjechać za dnia, ale ogrodzone i pozamykane. Wtapiam się w wielkich piach. To nie góry. To nie morze. Czasem tak nawieje na ubitą drogę, jakby nagle zastygły morskie fale. Gdybym miał agal, założyłbym. Gdybym miał kandurę, założyłbym. Siadasz i nie ma nic. Nic nie istnieje, nic poza grzbietem piaskowych bryz. Jeżeli szukasz cizy, znajdziesz ją tylko na pustyni.

Wybrzeże Kości Słoniowej. Abidżan. Najczęściej zaczepiają mnie smarkacze. Na plaży. Na ulicach. W barach. Najbardziej zadziorni. Krzykliwi smarkacze. Starzy podają rękę, witają się, pozdrawiają. Kłaniają się w pas. Smarkacze szukają zaczepki: przekrzykują się, fikają, chojrakują – ich boję się najbardziej.

Indie. Agra. Saura siedzi na białych marmurach. Ma dwadzieścia lat i dziesiątkę rodzeństwa. Chwilę rozmawiamy. Skąd? Jak? Ile? Kiedy? Dlaczego? Gdzie? Spacerujemy w baśni. W podróży spotkasz kogoś tylko raz i już nigdy więcej, tylko ten

jeden jedyny raz – może dlatego te spotkania są zawsze tak serdeczne, bo każdy wie, że za chwilę koniec. Chodzimy po słonecznych krążgankach. Czasem jedno z jej młodszego rodzeństwa podbiegnie, coś pokrzyczy w hindi i schowa się za ciężkimi filarami świątyni.

Kapuściński w „Podróżach z Herodotem”: „W miarę tej podróży nabierałem przeświadczenia o deprymującej beznadziei tego, co robię, o niemożliwości poznania i zrozumienia kraju, w którym jestem. Indie są takie wielkie! Jak opisać coś, co, jak mi się wydawało, nie ma granic, nie ma końca?”

Niger. Agadez. Gdy w eskorcie wojsko dostarczyło mnie do miasta, zaraz potem trafiłem na policję, a tam dostałem do ochrony dwóch tajniaków – i nie zrobiłem bez nich już kroku. Miało to ten plus, że wszystko mi pokazali, wszędzie zaprowadzili i wszystkiego mogłem się dowiedzieć – również tego, że wiedziano tutaj o moim przyjeździe od momentu, gdy dwa dni wcześniej kupiłem bilet autobusowy w Niamey, w stolicy Nigru.

Wieczorem siadam na tarasie de l'Air. Szybko następuje mrok. Kiedyś był to pałac sułtana – dziś jeden z tańszych hotelików. Gdy jest już całkiem ciemno, przychodzi Arim i mówi, że coś mi pokaże. Boję się, ale Arim ma spluwę. Jedziemy na motorku za miasto, na próg Sahary. Wchodzimy na wydmę i gdy oczy przyzwyczajają się do nocy, Arim pokazuje na odległy piach. Zaczynamy dostrzegać ludzi, którzy idą w stronę Europy. Idzie się chłodną nocą, która kryje. Tu ktoś, tam kilka osób, tam dwie. Potem, po omacku jedzie jakiś pojazd. Potem znów ludzie. Cicho syczy piach. Widzimy to w lunie, ale z biegiem czasu ruch ustaje i koło północy wszyscy, którzy mieli wyjść, są już w drodze.

Rano pakuję się do autobusu i ruszam w drogę powrotną. Na odchodne Arim wciska mi w dłoń stary, tuareski krzyż i mówi, bym kiedyś wrócił, bo on stąd nigdy nie wyjedzie. „Bako ido gareshi amma ba na gari ba – Odwiedzający ma oczy, ale nie po to, by zwiedzać miasto”, dodaje w rodzimym hausa. Zbigniew Herbert: „Wracałem z Lascaux tą samą drogą, jaką przybyłem. Mimo że spojrzełem, jak to się mówi, w przeszłość historii, nie miałem wcale uczucia, że wracam z innego świata. Nigdy jeszcze nie utwierdziłem się mocniej w kojącej pewności: jestem obywatelem Ziemi, dziedzicem nie tylko Greków i Rzymian, ale prawie nieskończoności”.



Chile

Burkina Faso. Babo-Dioulasso. Sawadogo bierze mnie do Koumi. To najstarsza część Kibidue, schowana za murem z gliny, gdzie samemu strach wchodzić. Sawadogo tu się urodził i tu wychował. Pokazuje swój świat od ręki, jeden do jeden. Nie ma retuszu, turystycznej ustawki, życia na pokaz. Śmierdzi. Cuchnie. Parzy. Labirynt wąskich przesmyków. Wszystko z czerwonej gliny, jakby obryzane krwią. Tu schody, tu ściek, tu garnki na wolnym ogniu. Osmolone ściany. Poznają jego wujków, ciotki, kuzynki, braci. Każdemu podajemy rękę, kilka grzecznościowych zwrotów. Serdeczność. Od czasu do czasu jakiś malec idzie za nami na nic nie licząc, po prostu patrzy na Białego. Zerka. Ogląda. Taksuje. Gdy przystaję, chowa się za byle czym, a jak nie ma gdzie się ukryć, po prostu zakrywa twarz rękami i stoi. Robię wtedy to samo i jesteśmy w zgodzie. Gdzieś tam wierzę w to, że te pięćset osób, które spotykam, zapamięta mnie, tak jak zobaczy: z uśmiechem, z wyciągniętą ręką, nie szybko, zwyczajnie.

Paul Theroux: „Safari w języku suahili oznacza podróż, nie ma nic wspólnego ze zwierzętami; «człowiek na safari» po prostu wyjechał, jest nieosiągalny. (...) Mojej podróży do Afryki przyświecały najlepsze intencje – jechałem jako odkrywca; a także najniższe – po prostu chciałem zniknąć, rozpląnąć się we mgle, rzucić wyzwanie: tylko spróbujcie mnie znaleźć”.

Senegal. Dakar. Poznają Aminę, która handluje materiałami. Sukna. Obrusy. Narzuty. Co dwa tygodnie przyjeżdża z senegalskiej stolicy na targ i wykłada swoje towary. Czasem sprzedaje coś w autobusie, na przystankach. Czasem nic nie sprzedaje – ale jeździ w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Taszczy te swoje kolorowe beły przez dwa tysiące kilometrów w jedną stronę. Ma dziesiątkę rodzeństwa i nikt jeszcze nie jest samodzielny, wszystko więc jest na jej barkach, bo ojcowie nie żyją, a mama organizuje codzienność rodziny. Amina ma 25 lat i jest stara, bo średnia wieku w Burkinie to około 55 lat (Polska: 78, Monaco: 90, Czad: 49).

Zambia. Livingstone. Przy brzegu wielkiego lasu poznają starego Mudu. Jest typowym pasterzem. Jest tak biedny, że łachmany, które ma na sobie, niczego już nie przypominają. Jest chudy, ma wielkie oczy z iskrami, w których widzę szkło łez, bo znalazł właśnie kogoś, kto może zapłacić za cokolwiek. Mówi, że idzie przez busz do Kazunguli i jeśli chce zobaczyć dzikie lwy, mogę iść za nim. Jest bosy. Urodził się w Beczuanie i od lat sześćdziesiątych nie uznaje Botswany. Jest Bantu Herero.

Idziemy. Daje mi kij i mówi, że lwy są już najedzone i że bym się nie bał. Idziemy. Trochę piachem, trochę po gałęziach, które strzelają i zdradzają. Mudu dużo opowiada, przeskakując z dialektu na dialekt – nie wie, że nie rozumiem. Idziemy, a ja czuję się szczęśliwy. Nawet już nie chodzi o te lwy, ale o sam fakt bycia tu i teraz. Wtedy naprawdę dotykasz świata, czujesz go na barkach, w ręce, widzisz wszystko naprawdę, jeden do jeden – wtedy ci się nie wydaje, wtedy jakby wstępujesz w odwieczny, tajemniczy, święty świat.

Co pewien czas Mudu pokazuje to obgryzione gałęzie, to poszarpane kory, to ślady na piachu. Lwy są tuż tuż. Ich łapy odcisnięte na czerwonym piachu mrowią mokre plecy. Skradamy się wolniej i ciszej – a potem są. Leżą w drzewach, na wilgotnej od Victorii glebie. Boją się jak jasna cholera, ale to inny strach – bardziej trema, paraliż, zimno. Połykasz ślinę i wszystko jest tak bardzo za głośno. Lwy leżą, ubity piach zorany łapami. Patrzę i nie wierzę. Tuż obok, w spo-



Chile

koju i trochę na uboczu, przeciąga się we śnie biały lew: biały jak śnieg, jak kiel, jak muszla. Mudu szepta, że jest święty, mówi „holy, holy”. Mówi, że to młoda lwica. Siadamy na piachu. To bez znaczenia, bo i tak nie ucieklibyśmy.

Nagle zza drzew wysuwa się wielki, rudy łeb króla – króla lwa. Jest grzywa. Jest jęzor. Jest strach. Ani drgnie. Nic. Nic. Lew gapi mi się prosto w oczy, ziewa i odchodzi. Oczywiście robicie zdjęcia. Wtedy chce ci się płakać, wyc, w sumie to dzieje się samo, bo ocierasz się o cud, o niepowtarzalny dar świata, który dzieje się raz, dwa razy w życiu – i masz właśnie to szczęście! Potem wstajemy i idziemy dalej. Patrzę jeszcze przez ramię i mówię w duchu: cześć moje koty, do zobaczenia.

Mudu w lesie jest bardzo obeznany. Tłumaczy po angielsku o wanili, o krzewach i uprawach. Ciągłe coś zrywa, każe wachać i smakować. Na palcu ma pierścień, a jego kij jest starannie obrobiony i nacięty. Rzemienie hamują poślizg potu i czasem wali z całej siły w drzewa, a te wydają różne odgłosy – i to też coś znaczą. Po jakimś czasie, a ten w buszu przestaje istnieć, wchodzimy na dwie młode lwice. Żrą mięso z jakiejś kości. Wchodzimy prosto na nie. Są tak zajęte śniadaniem, że mógłbym je pogłaskać. Szukamy wzrokiem rozszarpanej padliny.

Mija z pół dnia. Gdy dochodzimy do Zambezi, Mudu idzie w lewo, ja w prawo. Nie zapuszczam się już w busz, tylko brzegiem rzeki szukam mostu. Po godzinie trafia się jakaś stara piroga i zaraz czmych na drugą stronę. Dopiero później, wieczorem, gdy w spokoju oglądasz zdjęcia, dociera do ciebie, gdzie byłeś i co widziałeś – i że było warto narobić w gacie. Prawie.

Iran. Teheran. Gdy ktoś mnie pyta, gdzie bym najchętniej wrócił – wróciłbym do Iranu. Tam zawsze na początku jest strach, a potem wszystko się zmienia. Cień Chomeiniego gaśnie. Im więcej paradoksów, tym bliżej końca dyktatury. Chodzę tu i ówdzie. Rytm islamu. Taksówkarz, który mówi, że nic nie jest tak jak powinno być, jak obiecywali. Opuszczona amerykańska ambasada. Drugi obieg wszyściego: od telewizji satelitarnej po prostytutki na Placu Rewolucji. Jak to działa? Najpierw płacisz. Potem bierzesz z nią szybki cichy ślub, konsumujesz i przy wyjściu bierzesz szybki cichy rozwód. Fryzjer, który goli tylko brzytwą, ostrząc ją na skórze wielbłąda. Teheran z ostatnią stroną Szachinszacha Kapuścińskiego – odnajduję sklep pana Ferdousi, który już nie żyje. Od jego syna dostaję kilka dywanów. Stary kupiec mówił, że najważniejszy w życiu jest smak, dobry smak, że wszystko jest kwestią smaku. Tam wróciłbym jutro.

Anzelm z St. G.

Gdyby nie opat, to umarłby z głodu, co zapewne i tak było lepsze,
niż konanie od czarnej zarazy, na którą pomarli i matka i ojciec, dwie siostry i pięcioro
braci.

Gdyby nie opat, to by go zatłukli, gdy został pojmany w klasztorным ogrodzie,
mając usta pełne powyrywanych z grządek nadgniłych marchewek.

Gdyby nie opat, obcięto by mu ręce, a tak to tylko plecy obito
namoczonymi w wodzie rzemieniami. To prawie nie bolało, bo to przecież chwała,
aby móc doświadczyć choć jednej chrystusowej męki.

Nie został wygnany, choć niejedyn taki błąkał się przez lata w okolicznych lasach,
odbierając pokarm dzikom i wiewiórkom, żywiąc się padliną, którą pogardziły niedźwiedzie
czy wilki.

A jego przyjęto do pomocy w kuchni, nosić miał wodę czerpaną ze studni,
dokładać drewno do paleniska i wnosić popiół. I pewnie by tak trwało, dopóki dnia któregoś,
kiedy sam był w kuchni, na blacie kuchennym wymalował kurę,
dokładnie taką jaką raz zobaczył w klasztorным kurniku,
gdy zakonny kucharz go posłał, by pozbiarał jajka, na odświętny, wielkanocny posiłek.
Z resztek krwi wołowej i z garstki popiołu, z odrobiny zwęglonego chrustu
dobytego z paleniska i garsteczki piasku, na mosiężnym blacie uformował kurę,
tak bardzo udatną, że gdyby ktoś zechciał, to pewnie usłyszeć mógłby nawet jej gdakanie.

W taki sposób właśnie, mając lat dwanaście, za sprawą opata, Anzelm został skrybą.

I przez lat pięćdziesiąt miał kopiować księgi. Ze słów po łacinie znał „amen” i „gloria”
choć jeszcze nie wiedział, że to po łacinie i zupełnie nie znał także ich znaczenia.
Choć czytać nie umiał i pisać nie umiał, ale rękę zręczną miał do malowania,
więc z księgi na pergamin kopiować miał znaczki, zwane literami,
z których słowa można tworzyć i układać zdania.
Tak więc gęstym piórem, czarnym atramentem, litera po literze, kopiował je z księgi,
dopóki całkiem nie zappełnił karty pergaminu i wówczas cierpliwie sięgał po następną.

Choć nie sadił warzyw i nie plenił chwastów, nie nosił już wody, drewno na palenisko,
pracował tak ciężko, jak bracia zakonnicy ściskający radło,
ciągnięte po gliniastej glebie przez strudzone woły.
Bo całe ciało się trudzi, choć piszą jedynie trzy palce.

Nigdy nie nauczył się żadnej modlitwy ani żadnej pieśni, bo one – jak księgi – były po
łacinnie, ale razem z braćmi, w klasztornej kaplicy, starał się powtarzać takie same dźwięki,
takie same ruchy, klękać, gdy klękali, siadać, gdy siadali, wstawać, gdy wstawali
i tak samo palcami dotykać swych ramion i piersi i czoła.

O Bogu myślał z pokorą i lękiem, ale się nie modlił, bo znał tylko takie nieprzydatne słowa
jak „jajko” czy „groszek”, które przydać by się mogły w ogródku lub w kuchni,
ale z nich ułożyć nie da się modlitwy, zwłaszcza, że z nich żadne nie jest po łacinie.

Marta K.

Nigdy nie chciała być Beatą, ale chciała mieć chłopaka, który by przyjeżdżał po nią w soboty
i zabierał na dancingi piaskowo-żółtym wartburgiem. Nie chciała być Magdą,
ale dobrze by było mieć mamę pracującą w cukierniczym sklepie i zawsze mieć w domu
michałki, kukułki i krówki. Agatą też być nie chciała, ale chętnie by jeździła na święta
do ciotki do Niemiec, albo do wujka w Wiedniu na ferie.

W dzieciństwie, ale i później: w szkole i na studiach, nieraz zamieniały się z koleżankami, pożyczając sobie wzajemnie sukienki
i torebki, a na potańcówki zamieniały się czasem
nawet i butami. Więc można było pozamieniać się też paznokciami i włosami,
wymienić kształtem uszu i nosa, można było zamienić się na podbródki, usta i policzki.
Dlaczego wówczas tego nie zrobiły?



Maryna Szaburk. Podróż. Inny

Gdy budziła się wcześniej, nieraz słyszała wyraźnie swój głos dochodzący z kuchni, popiskiwanie czajnika, dźwięczenie szklanek i sztucze stukające w talerze. Zdarzało się czasem, że słyszała zza ściany głośno wypowiedane swoje imię, lecz nikt jej nie wołał, raczej mówił o niej do kogoś, albo o niej rozmawiał, choć tego drugiego głosu nigdy nie słyszała.

Nigdy nie była zamężna, ale za każdym razem, gdy wspominała tych kilku mężczyzn, z którymi, no prawie, rzecz można nawet: o mało co, to na jej palcu serdecznym od razu pojawiał się odcisk jak po zdjętej niedawno obrączce.

Wypatrując z okna widywała czasem swój cień na schodach przed gankiem, który o poranku miał głowę zwróconą na zachód, a przed nadejściem zmierzchu skierowaną już ku wschodowi. Ten cień, jak zegar słoneczny, udawał, że czas się porusza, przesuając za sobą po żwirowej alejce, minuty, kwadranse, godziny.

Ale od zmierzchu do świtu, kiedy cień ukrywał się w cieniu, czas się nie poruszał, choć wcale nie znikał. Tylko filmy w telewizorze zatrzymywały się jak stopklatka, muzyka w radiu zawieszała się na jednym i tym samym dźwięku, nawet tekst w książce, którą Marta czytała w łóżku, zatrzymywał się nagle na jednej literze. Wówczas i ona sama wstrzymywała oddech, a nawet mrugnięcie, dotyk sam jej się oddzielał od palców i wracał do przedmiotów, a każdy zapach zastygł w powietrzu, jak w bryle lodu.

Gdyby była Beatą, Magdą lub Agatą, nic takiego jej na pewno by się nie zdarzyło, więc by nic takiego jej się nie zdarzyło, może wystarczyłoby jedynie skreślić, tylko jedno słowo: „*gdymy*”?

Lesław Nowara, urodził się 16 marca 1963 w Gliwicach. Prawnik z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Poeta, aforysta, felietonista, recenzent literacki. Debiutował na łamach prasy literackiej w 1983 roku. Opublikował osiem tomów wierszy: *Zielona miłość*, *Dom o zielonych oknach*, *Trzecie oko*, *Rosyjska ruletka*, *Kokon*, *Cichociemno*, *Ciemna strona światła* (wybór wierszy), *Ość wieloryba* oraz kilka tomów aforyzmów i epigramatów. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Gliwicach. Prezentowane wiersze pochodzą z cyklu *Portrety trumienne*.

Poeta doctus

Na siedemdziesięciolecie debiutu Adama Czerniawskiego

MARIAN KISIEL

W roku 1951 niespełna siedemnastoletni uczeń Ranelagh Grammar School w Bracknell, Adam Czerniawski, zadebiutował w szkolnym piśmie jako tłumacz wolnym przekładem *W Weronie* Cypriana Kamilla Norwida. Rok później także tutaj zaprezentował się jako poeta wierszem *Eastern Legend*. Tak rozpoczęła się droga twórcza przyszłego poety, prozaika, eseisty i tłumacza polskiej literatury.

Niestaranne bibliografie mogą jednak wprowadzić w błąd niewyrobionego czytelnika, dlatego konieczne są dopowiedzenia biograficzne. Trzeba więc wiedzieć, że wiersz *Legenda wschodnia* nie został napisany po angielsku, lecz przez Czerniawskiego na angielski przetłumaczony. Poeta wielokrotnie później podkreślał, że swoje wiersze pisze wyłącznie w języku rodzimym i nie interesuje go pozycja „poety dwujęzycznego”. Dlatego wszystkie swoje tomiki wydaje po polsku, jakkolwiek po angielsku pisze również eseje i prozę wspomnieniową.

Jeżeli łączę tutaj poetę i tłumacza, to dlatego, by przypomnieć, że – zdaniem autora *Polowania na jednoróżca* – wybór tłumacza winien być jednocześnie decyzją poety, czyli poszukiwaniem „poezji dobrej”. Przy-

swajając taką poezję kulturze obcej, trzeba ją oceniać także pod kątem „przekładalności”. O tym wyznaczniku wspominał Czerniawski we wstępie do antologii *The Burning Forest*.

Napisał tam, że tekst przekładu trzeba rozpatrywać w kategoriach językowych: treść oryginału powinna odpowiadać treści przekładu, a sposób wyrażania odsyłać do innego systemu języka, różniącego się od języka oryginału. Adekwatność przekładu zbiec się powinna z kryterium semantycznej dokładności i wierności, dopełnionymi stylistyczną ekwiwalencją. Takie podejście tłumackie pozwoli ochronić „poezję dobrą” przed jej zniekształceniem w procesie przekładu, ponieważ „próba oddania pełnej semantycznej różnorodności oryginału jest daremna i nieproduktywna”.

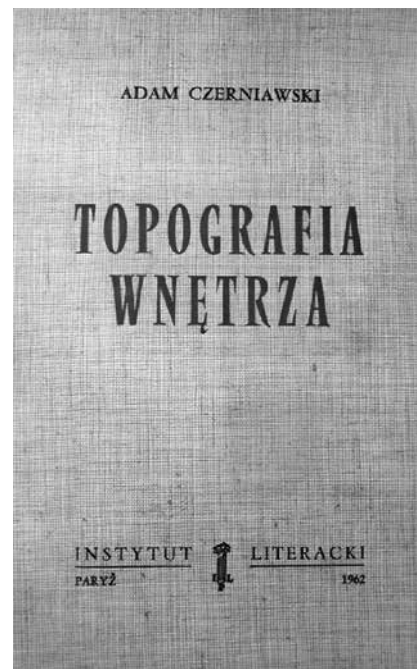
W eseju *Architekt, czy też koń* Czerniawski napisał: „Wiersz składa się ze słów”, a w *De amicitia*, nawiązując do swoich lat gimnazjalnych: „Wiersz należało traktować jako przedmiot autonomiczny. Należało go czytać i badać w izolacji, w zupełnym oderwaniu nie tylko od życiorysu autora, ale również często w oderwaniu od całokształtu jego dorobku”. W tych wzajemnie uzupełniających się sformułowaniach kryje się klucz do zrozumienia postawy lekturowej poety. Jest on uczniem szkoły New Criticism i wyznawcą Workshop Criticism. Dlatego w swoich opiniach na temat poezji jest drobiazgowy i bezwzględny. Pyta o wiersz w jego stanie tworzenia i kontekst w jego prawdziwości. W eseju *Pro domo sua* napisał jednak: „Mamy dowody na to, że wbrew powszechnym mniemaniom, dzieło niełatwo tłumaczy się warunkami, w jakich powstało. [...] Nie od dziś i nie tylko przy ocenie poezji teoria idzie swoją drogą, a kapryśna, nieokielzana ludzkość, swoją”.

Mimo to jest platonikiem, a nie arystotelikiem. Wierzy w obiektywną wartość dzieła i do tej wartości dąży. Zastanawia go nawet tak wtórny, zdawałoby się, czynnik wierszotwórczy jak interpunkcja. Powiada w eseju *Interpunkcja i strofy*: „Bardziej przekonują poeci, którzy [...] strukturę wiersza traktują jako rzecz otwartą. Decyzji w sprawie dużych liter, interpunkcji i rymów nie należy podej-

mować apriorycznie: wszystko musi być podporządkowane naczelnemu celowi, mianowicie stworzeniu zharmonizowanego dzieła sztuki”.

Czerniawski stoi po stronie liryki trudnej, stronie Norwida, Eliota, Pounda, choć potrafi docenić także poetów sobie obcych: np. Jana Lechonia czy Jana Rostworowskiego. U podstaw jego koncepcji poetyckiej, jego akceptacji i odrzucenia poszczególnych wierszy, tkwi przekonanie, że – jak czytamy w eseju *Poemat dla niepalących* – „żaden poeta nie chce, by wartość jego utworu była kwestionowana”. Jeżeli tak, to należy dołożyć wszelkich starań, by możliwie najdokładniej wnikać w sens wiersza. Możemy na drodze dochodzenia do prawdy, obiektywizmu, pewności myśli się, błędzić, spierać się z sobą samym. Tego nie uda się uniknąć. „Wiersz – napisał Czerniawski w eseju *Dziś, tylko cokolwiek dalej* – nie jest składnikiem chemicznym, który można ująć w formułę wykluczającą wszelką wieloznaczność. Dwie nawet sprzeczne interpretacje mogą okazać się równie wartościowe”.

W czym tkwi zatem tajemnica wiersza i dlaczego staramy się do niej dotrzeć? Tkwi ona, naturalnie, w słowach i we właściwym, dokładnym ich odczytywaniu. Poetę-krytyka dener-



wuje nonszalancja, z jaką czytelnicy (także krytycy) podchodzą do tej niewielkiej – i ostatecznie skróconej – formy wyrazu, wybierając z niej tylko fragment i nie zważając na całość. Tu ujawnia się radykalizm interpretacyjny Adama Czerniawskiego.

Dokładność czytania pozwala na tłumaczenie sensów ukrytych, odkrywa w wierszu pola istniejące w nim również potencjalnie, lokalizuje tekst w przestrzeni literatury i sztuk pokrewnych. Poeta-krytyk bardzo zwraca uwagę na tę kwestię, ponieważ – dowodzi – wiersz, który nie jest zakorzeniony w sztuce traci coś niezwykłego, mianowicie uodpornia się, by tak rzec, na dialog tworzywa. W eseju *Światy umowne* czytamy: „Właśnie sztuka jest od tego, by tworzyć światy, które poznajemy tylko w snach i marzeniach”. Sztuka, czyli wszystkie formy artystycznej ekspresji człowieka; nie tylko poezja, lecz także muzyka i malarstwo.

Jeżeli zacząłem od skróconego zdefiniowania postawy poety jako krytyka poezji, to dlatego, by pokazać jak wielką przykładą on wagę do aktu tworzenia i aktu oceny. Odnosząc te kryteria do niego samego, postaramy się zobaczyć w dziele, które jest od ponad lat sześćdziesięciu tworzone to, co ważne i nieoczywiste. Myślę tutaj głównie o poezji, ponieważ ona tworzy wizerunek Adama Czerniawskiego, jakkolwiek jego eseistyka i przekłady pokazują, że mamy do czynienia z pisarzem wielowymiarowym – nieugiętym i niepokornym w ocenach, apodyktycznym i repetycyjnym w argumentacji, ale też dowcipnym i wiernym w przyjaźni. Niełatwo jest spuentować taką biografię, może nie ma nawet potrzeby kusić się o upraszczające wnioski.

W *Selected Poems*, zbiorze wierszy przełożonych przez Iaina Higginsa, Adam Czerniawski został pokazany jako poeta metafizyczny i autotematyczny. Wybór jest interpretacją, widzimy tu autora *Jesieni* tworzącego swoje wiersze nie bacząc na czas, wiernego refleksji o sztuce i metafizyce. Metafizyka jest najważniejsza, bo dotyczy pytania o człowieka w świecie; sztuka – pytając o człowieka w kulturze – określa zarazem miejsce samego poety. Jako metafizyk, Czerniawski pyta więc o sens, odwołując się do rozmaitych systemów naukowych i filozofii; jako poeta – zakorzenia się w tradycjach polskiego i angielskiego wiersza, przywołując na sojuszników Norwida i Różewicza, Eliota i Pounda.

Zobaczmy jednak poetę inaczej. Jeden z jego wczesnych wierszy nosi tytuł *Dom* i jest przypomnieniem wołyńskiego „drewnianego dworu”, mi-



Adam Czerniawski

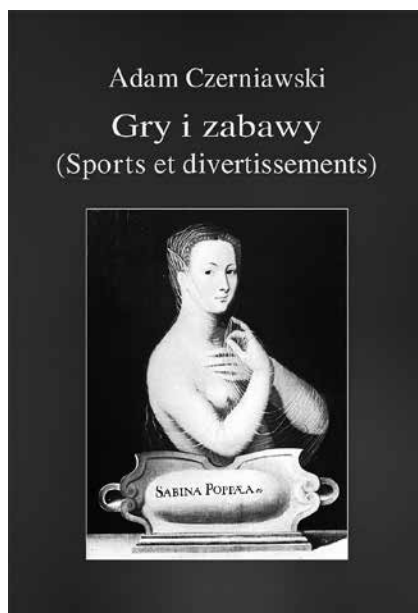
mowolnie stylizowanego na gniazdo w Soplicowie. Tutaj mieszkała w dzieciństwie matka poety, Maria z Tynickich. Syn poświęcił jej jeszcze *Pamiętkę*, natomiast ojcu Emilowi Jerzemu – *W ładzie angielskiego krajobrazu*. Te wiersze to elegie rodzinne, nie jedyne w dorobku poety, ale ważne dla niego z trzech co najmniej powodów. „Korzenie głęboko w przeszłość – / gałęzie rozwidlone / jak w parafialnym kościele”, o których czytamy w *Domu*, i które odnajdujemy również w innych utworach dedykowanych, pozwalają – po pierwsze – zachować pamięć o rodowodzie („Rodzina matki pochodzi z województwa sandomierskiego i jest skoligacona z Kochanowskimi” – czytamy we *Fragmentach niepokojnego dzieciństwa*); po drugie – zakotwiczyć w języku przodków, w polszczyźnie; po trzecie – przenoszą utracone dzieciństwo i pol-

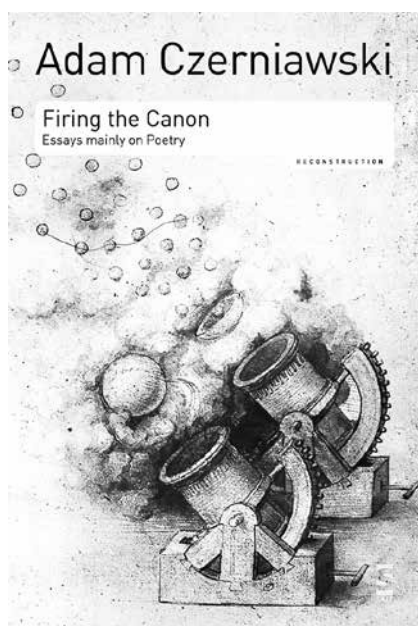
ską przeszłość, lecz nieutracony język, „w ład angielskiego krajobrazu”.

W wierszu dla ojca czytamy: „Ludzie, których świat i świt / nagle ucięte, mają chyba prawo / cieszyć się wszystkim, co uniknęło / powszechnej konflagracji”. Z wojennej pożogi ocalało trochę książek, garść przypadkowych przedmiotów, jakiś brelok, „w którym staramy się dojrzeć postać człowieka” (*Pamiętka*). Ów, doświadczając „pętli czasu” („pętla czasu dana tylko tym / co przeżyli”), uświadamia nam, „jak niewiele potrzeba by ludzie do siebie mówili / jak trudno przewyciężyć milczenie najbliższych” (*Pętla*). Mowa i milczenie są znakami konkretnego istnienia: jego biografią, umiejscowieniem w kulturze, pamięcią.

Pytając o człowieka, staramy się go ocalić w języku pierwszym. Jak to jednakże uczynić, kiedy jest się zanurzonym w języku obcym? W *Wieczorze albo polu widzenia* przeczytamy: „Czym więcej obcych języków poznaję / tym głośniej przewiduję / jak w gardle mi staje bezdźwięczna końcówka”. Pamięć nie może zaprzeczać kulturze, w której się przebywa. Nie można być „tu” i „tam” jednocześnie, albo wskrzeszać „tam”, będąc gdzie indziej.

Kiedy Czerniawski pyta o człowieka, to w jakim języku? W polszczyźnie, naturalnie. Nie jest to jednak język przodków, w którym skumulowały się pamięć i dziedzictwo, jasna i ciemna przeszłość. „My widzimy kulturę polską przez oczy kultury zachodnioeuropejskiej, w przeciwieństwie do starszego pokolenia, które widziało kulturę zachodnią przez oczy kultury polskiej” – dowodził Janusz A. Ichnatowicz. Słowa te stały się programowym wyznaniem generacji Czerniawskiego.





Kiedy wydał swój pierwszy zbiór esejów *Liryka i druk*, znów zadedykował go rodzicom, jak gdyby chciał wraz z elegiami rodzinnymi stworzyć wyraźny kontekst dla swojej twórczości. Tytuł jest odniesieniem do wiersza Norwida; w tej książce są pomieszczone także dwa eseje o T.S. Eliocie. Przeczytajmy takie wyznania: „Dwóch ludzi uczyło mnie rozumieć i doceniać poezję: jednym był Norwid, a drugim właśnie Eliot”. „Łatwiej nieraz oddać klimat poezji Eliota przy pomocy cytat z Norwida niż drogą tłumaczeń”. To – wyrażone nie wprost, lecz pełne powagi – poetyckie *confessio fidei* Czerniawskiego.

Jego zdaniem, polskość nie wyklucza europejskości, dwie rzeczywistości mogą się do siebie zbliżyć. Pierwsza – polska – nie musi tracić się w mgłach mesjanizmu i cierpiętnictwa, i stale rozdrapywać ran; druga – angielska – nie musi przemawiać z wyżyn i z dystansem, tracić się w prawdach i dystansach arystokratycznego kolonializmu. Obie mogą się połączyć w tym, co leży u podstawy ich rodzimych kultur, to znaczy w próbie zrozumienia człowieka w środku wszechświata. A nadto: w zmierzaniu się z filozofią, jaką człowiek przez wieki zgłębiał i na wieczność zamknął w tworach sztuki.

Norwid i Eliot byli poetami cywilizacji, każdy w swoim czasie i na własną miarę. Jeżeli można ich było z sobą skoligacić, to na płaszczyźnie uczuć i myśli. Poezja jest poznawaniem. Wychodząc z doświadczenia osobistego, włącza się w rzeczywistość kultury i historii. W świecie kultury partnerem w poznawaniu jest sztuka (poezja, malarstwo, muzyka, architektura), w świecie historii są nim losy państw i ludzi, „którzy

nie zaznali / spokoju, których rwno do krwi, rzucano / o mur, których popioły nocą pokrywają / trawniki, werandy i klomby” (*Władzie angielskiego krajobrazu*).

Poezja Adama Czerniawskiego ma wymiar autobiograficzny i kulturowy. Dyskretna autobiografia uwiarygadnia tu poetyckie obrazy, a choć – jak czytamy w jednym eseju – „prawdziwa poezja nie zajmuje się prawdą”, to jednak szuka tej miary, która jest – wedle słów Waltera Hilsbechera – „celem duchowego wysiłku”. Czy ją znajduje?

Autor *Topografii wnętrza* sięga po dziwiące się sobie gatunki. Formy poematowe sąsiadują z krótkimi wierszami, nieobce są poecie liryki prozą, mikroesej czy narracją typu *mixtum compositum*. Gatunek oddaje naturę świata, jest z nim w zgodzie lub spięciu. Światy poetyckie rzadko nakładają się na światy rzeczywiste. To są „światy umowne”. „Właśnie sztuka jest od tego, by tworzyć światy, które poznajemy w snach i marzeniach” – pisał poeta. Winny one istnieć w korespondencji, a nie w rozdzielaniu; w interferencji, a nie w redukcji.

Dlatego, zdaniem Czerniawskiego, ważna jest nie tyle różnorodność form, ile ich świadoma kompozycja. Jak gdyby ponowne układanie różnojęzycznej rzeczywistości. Ponieważ w jeden dyskurs nie może się ona stopić, niech przemówi wielością. W wierszu *W sprawie sprzeczności wewnętrznych klasycznej geometrii przestrzennej* przeczytamy: „wyobraża sobie jeszcze trzeci świat / który stałby się realny / gdyby go umiał odegrać na flecie”. Realne i zmyślone, i ów „świat trzeci” – domagają się nowych wyśłowień. Są one dostępne w znanych nam gatunkach mowy.

Wypowiadać świat, to próbować wypowiedzieć własne doświadczenie świata. Czerniawski – pisał kiedyś Michał Chmielowiec – pragnie zamknąć świat „w łupinie orzecha”. Ten maksymalistyczny apetyt odnajdujemy zazwyczaj u debiutantów. W wierszu *Lingua adamica* jest mowa o chęci stworzenia „języka bezwzględnie lakonicznego jednoznacznie stalowego / aby usunąć na zawsze / krwawe ambiwalencje i dymne zasłony wyobraźni”.

Doświadczenie podpowiedziało, że nigdy nie jest to możliwe. Słowa zawsze „są bezwstydnym zwierciadłem / naszych przewidyzeń zauroczeń klątw obelg marzeń i łgarstw”. Jacek Łukasiewicz napisał w przedmowie do jednego z wyborów: „Wiersze Czerniawskiego są skondensowane, wyrażają skupienie – nie ekstazę

dionizyjską, ale i nie chłodną harmonię proporcji, tylko skupienie się na opowieści, która musi być interesująca i staranna, odpowiednio dawać rzeczom słowa”.

To Norwidowskie zalecenie zostało przetrawione przez lekturę różnych awangard poetyckich: angielskich (Eliot i Pound) i polskich (Przyboś i Różewicz). Zdumiewające jest to, że postulaty awangardowe najszybciej klasyczej, jak gdyby reguła rozbijania ustalonych miar miała stać się dogmatem programu. Autor *Sądu Ostatecznego* jest poetą odwołującym się do pojęć klasycyzmu poetyckiego XX wieku. Jeżeli jest reprezentantem nowoczesności, to w tym rozumieniu, że nad wzruszenie przedkłada myśl, ta zaś – jak wiemy od Przybosia – umyka spod „toczydła” i staje się metaforą. Jest uścisłem w mit. Przystaje być tylko poetycka, a staje się filozoficzna.

Autor *Topografii wnętrza* jest poetą filozoficznym w znaczeniu, jakie nadaje poezji – nie wiem czy lubiany przez niego – Martin Heidegger. Powiada on mianowicie, że każda poezja jest myślą, ale nie każda myśl jest poezją. Być może tę logikę zależności miał na myśli Krzysztof Karasek, kiedy zanotował zdanie, że „Adam Czerniawski jest jednym z najbardziej świadomych poetów we współczesnej poezji polskiej, świadomym środków i ograniczeń sztuki poetyckiej”.

Na koniec wspomnienie: był rok 1985, kiedy mój preceptor Włodzimierz Wójcik zaprosił mnie na konferencję naukową, poświęconą poezji emigracyjnej. zaproponował mi, bym napisał esej o Jerzym Niemojowskim. Odmówiłem. Proszę sobie wyobrazić: student przedostatniego roku polonistyki odmawia kierownikowi katedry! Ale Profesor, człowiek wielkiej wyrozumiałości i miękkości wobec mojej apodyktyczności, powiedział: „To pisz, o kim chcesz?”. I napisałem. O Adamie Czerniawskim. Szkic ten, który niebawem stał się też częścią mojej rozprawy doktorskiej, jest chyba najczęściej cytowaną moją rzeczą o nim. Czasami tak się zdarzy, że w młodości więcej widzimy niż w wieku słusznie dojrzałym. ■

Szkic ukazał się po raz pierwszy na łamach londyńskiego rocznika literacko-społecznego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich za Granicą „Ekspresje / Expressions” (2016, tom 6, s. 63–70), z okazji przyznania Poecie nagrody Stowarzyszenia za rok 2015. Obecna wersja różni się nieco od poprzedniej.

Jak to z kibelem (nie tylko górniczym) bywało

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Kibel (z niem. Kübel) był miarą urobku górniczego (wiadro) i rodzajem nocnika. Słowo ze słownika górniczego wyewoluowało do dzisiejszego znaczenia toalety. Obyczajów górniczych, słów zapożyczonych w kulturze i codzienności mamy więcej. Wiele znaczeń oderwało się od pierwotnych skojarzeń i obecnie już ich nawet nie pamiętamy. Np. słowo Zagłębie, to dosłowne tłumaczenie z francuskiego słowa („le bassin” z franc. – basen, zagłębienie w ziemi).

Pomyłki w świecie elit

– W 1904 roku Maria Konopnicka publikuje studium literackie pt. „Hanysek”. Książka powstaje z inspiracji... Zagłębiem – tłumaczy Arkadiusz Rybak, dyrektor Muzeum Miejskiego „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej. Nie Śląskiem. Pisarka mieszkała kilka miesięcy w 1890 r. u swojej córki Zofii i zięcia Bolesława Królikowskiego na terenie dzisiejszej Dąbrowy. Zresztą także znane z lektur szkolnych opowiadanie „Dym” o tragicznym losie młodego pracownika fabryki przedstawia i Śląsk, i Zagłębie. Konopnicka myli regiony ze sobą, co świadczy o tym, że obszary były spójne. Ludzie utrzymywali się z pracy w przemyśle, mieszkając w osiedlach patronackich hut i kopalń. Podobna była kultura, zwyczaje, język.

Przyjrzyjmy się fragmentowi opowiadania Konopnickiej: „Typem rozwijającym się najwcześniej z górniczych typów w Dąbrowie, jest «Synek» albo «Hanysek». Hanysek miewa od 7 do 14 lat, ściśle wprawdzie kontroli wieku nie prowadzi nikt. Czuje za to mocno przynależność swoją do kopalni, przy której na nogi stanął. Jest z Redenu, jest z Mortimeru, jest z Paryża, jest z Koszelewa. Bywał z Cieszkowskiej, póki jej nie zalała woda. I kopalnia poczuwa się do niego, uznaje go w obrębie swoim, i na zmianę z Hanykiem, nazywa go «Synek». Że taki berbec ma prócz tego jakieś imię, a czasem nawet nazwisko co tam ma kogo obchodzić?”

Przed wszystkim z niemieckiego

W języku górniczym Śląska, Zagłębia i Małopolski odnajdziemy dużo naleciałości z niemieckiego. Agrykola w XVI wieku jako jedyną nazwę ze słowem „polski”, związaną z kopalnictwem wymienia: płuczkę polską. Pozostałe nazwy narzędzi i innego słownictwa związanego z górnictwem (także przedmiotów codziennego użytku, ubrań) pochodzą właśnie z niemieckiego. Np. „winkiel” – „róg” (nie używa się słowa staropolskiego „węgiel”); „kupla i pyrliki” to godło górnicze. W kopalniach był obcojęzyczny nadzór, stąd słownictwo z języków obcych trafiało do języka co-

dziennego górników. Górnictwo kruszcowe w XVIII wieku zanikło na obszarze polskim, dlatego robotników do pracy sprowadzano. Co ważne – na czas tegorocznej „Industriady” 11 września br. muzeum przygotowuje dla publiczności stanowisko pracy górnika galmanowego. Na terenie dzisiejszej Dąbrowy Górniczej przebywał Buchbach (w XIX w. przysięgły górniczy działający w okręgu Zabrzeża i Królewskiej Huty – Chorzowa), a nie gościli tu osobiście hrabia Friedrich Wilhelm von Reden (którego imię nosiła kopalnia w Dąbrowie, a dziś jedno z tutejszych osiedli), czy Stanisław Staszic, minister oświaty Królestwa Polskiego, obecnie patron dąbrowskiego Zespołu Szkół „Szttygarka”, choć trzeba przyznać, że Staszic często tędy przejeżdżał, podróżując między Krakowem i Wrocławiem. Franciszek Ksawery Drucki-Lubecki, minister skarbu Królestwa Polskiego dokonywał inspekcji kopalni „Reden”, osiedla kopalni „Ksawery”. Zresztą dzisiejsza dzielnica Będzina – Ksawera niekoniecznie mogła nawiązywać do imienia Druckiego-Lubeckiego, ale do żony Stanisława Cieszkowskiego, twórcy pojęcia „Zagłębie Dąbrowskie”, która miała na imię Ksawera. Także do Szkoły Akademicko-Górnicy w Kielcach sprowadzono wielu wykładowców z Niemiec. Pierwszy plan Dąbrowy Górniczej, geologiczno-planistyczny wykonał mierniczy z Saksonii Fryderyk Krumpel, gdy pracował na terenie Śląska i Zagłębia – mieszkał w Gołonogu, dziś dzielnica Dąbrowy. Plan w bardzo dokładny sposób pokazuje osady i miejscowości dzisiejszego regionu, ale też miejsca występowania kopalni.

Wydobycie oceniano w garncach i w kiblach

Oddajmy tu głos Hieronimowi Łabęckiemu, który w I tomie publikacji „Górnictwo w Polsce. Opis kopalnictwa i hutnictwa polskiego pod względem technicznym, historyczno-statystycznym i prawnym” tak je opisuje:

„Na Szląsku wyższym próbowano w roku 1808 z pomyślnym skutkiem wytopienie cynku z galmanu, tak obficie w górutworze Szląsko-Polskim znajdującego się. Od tego czasu szybkim krokiem i wydobywanie galmanu, i wytopienie z niego cynku wzrastać zaczęło zwłaszcza, że popyt na niego ciągle się powiększa i użytki z niego nowe przebywały mianowicie przez robenie blas cynkowych. (...) Po wystawieniu hut cynkowych w Dąbrowie rząd pozwolił mieszkańcom Olkusza zbierać grudy w gruntach naokoło tego miasta. W 1823 r. Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych stała ceny stosow-

nie do cen targowych cynku na tak zbierany galman wprowadziła. W czasie od 1823 do 1830 r. kilkunastu mieszczan wybieraniem trudniących się dostarczało około 10 tys. kibli galmanu. Po kilkuletniej przerwie od 1833 r. dostarczono znowu z tychże dawnych warpii, corocznie około 2 do 4 tys. kibli?”

I dalej Hieronim Łabęcki opisuje:

„Roboty idzie kilofem i prochem, kopalnia «Józef» w Olkuszu od roku 1814 do 1838 miała wydobyć 11 korcy galmanu, ale w roku 1838 wydała tylko 5200 kibli galmanu. Jeden łatr kwadratowy wyciętej warstwy wydaje w przecięciu 7 kibli galmanu od 15 do 16 proc., którego kibiel waży 500 funtów?”

Generalnie przyjmowano takie miary – 35 garnców oznaczało 1 kibiel; 32 garnce – 1 korzec; 48 garnców stanowiło jedną beczkę. Termin kibiel używany też był w roli nocnika i w takim ujęciu znamy go dziś. Jeden kibiel mieścił w sobie 5,596 stóp sześciennych (0,14 m sześć.). Garniec to jednostka objętości stosowana w Europie od średniowiecza, podstawowa jednostka objętościowa późnego okresu wieków średnich, która nazwę wzięła od glinianego naczynia. W Polsce przedrozbiorowej jako miara ciał sypkich stanowił 1:32 korca i dzielił się na 4 kwarty. W zależności od regionu i okresu było to od 2,1 do 3,9 litra. Z kolei – łatr (od niem. Lachter lub Klachter) to dawna miara górnicza, równa 2,016 m. W zależności od ośrodka górniczego łatr mógł posiadać różne wymiary, np.: 1 łatr śląski stanowił 1,919 m; 1 łatr olkuski było to 1,936 m; 1 łatr saski równał się 1,977 m (później tzw. nowy łatr saski zaokrąglono do 2,000 m); a z kolei 1 łatr polski było to 2,016 m.

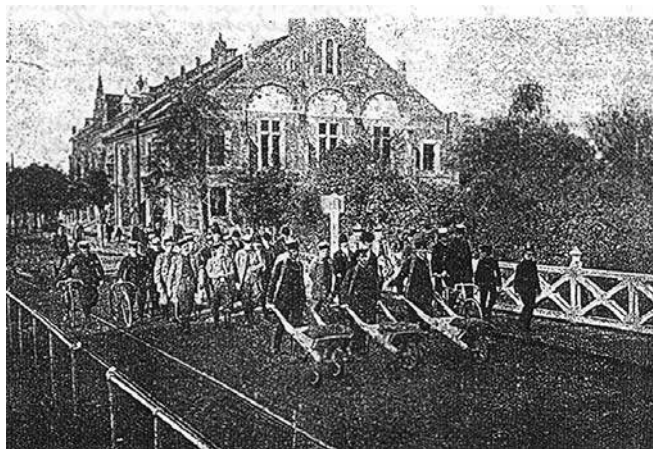
Słowa oderwane od znaczeń

– Podobnie słowo „szttygar”, to kalka niemieckiego słowa „Steiger” oznaczającego pracownika dozoru technicznego. Pochodzące od niego słowo „Szttygarka”, oderwało się już od swojego znaczenia. Ludzie młodzi nie kojarzą jego korzeni. Jedna z rozmówczyń zapytała mnie, czy „Szttygarka” pochodzi od imienia, któregoś z fundatorów szkoły górniczej „Szttygarki”, działającej w Dąbrowie Górniczej – dodaje Arkadiusz Rybak.

W dzisiejszym języku Zagłębia mamy też słowa z języków francuskiego, czy rosyjskiego. „Zagłębie” to dosłowne tłumaczenie francuskiego „le bassin” – oznaczającego basen, zagłębienie w ziemi. Z rosyjskiego pochodzi sposób mówienia „Idę na kopalnię”, „Idę na hutę”, lub też „pracuję na kopalni, na hucie”. Zamiast: „idę do kopalni, do huty”. Lub po prostu: „pracuję w kopalni”, w „hucie”.

Karami z Zabrze na Kopiec Grunwaldzki

TADEUSZ LOSTER



Trzej górnicy z Zabrze.

Po zwycięskiej bitwie pod Grunwaldem (15 lipca 1410) król Władysław Jagiełło wyjechał na Litwę. Swojemu rycerstwu polecił stawić się za rok, 11 listopada, w Niepołomicach. Król odpoczywał na Litwie, następnie pojechał na Białoruś, skąd Dnieprem popłynął do Kijowa. Orszak królewski, z Kijowa przez Lwów, jesienią 1411 roku, w dzień św. Marcina, przybył do Niepołomic. Tutaj król bawił piętnaście dni.

25 listopada pod Wężową Górą dokonał przeglądu wojska przed tryumfalnym wkroczeniem do Krakowa. Król szedł pieszo, otoczony licznym gronem duchownych i rycerzy, niosących przed nim rozwinięte chorągwie zdobyte w wielkiej bitwie pod Grunwaldem. Jeszcze w dniu św. Katarzyny przybył do Kazimierza, a stąd udał się na Skałkę, aby odwiedzić grób św. Stanisława.

Wybór Niepołomic jako miejsca spotkania przed wkroczeniem zwycięskich wojsk do Krakowa nie był przypadkowy. Niepołomice leżały blisko Krakowa.

wa. Kiedy Jagiełło rezydował w Małopolsce, zamieszkiwał w zamku niepołomickim. Tam odbywały się doroczne spotkania króla i jego rady, a także wielkie polowania w Puszczy Niepołomickiej, która przypominała mu rodzime litewskie bory.

Od 1411 roku Wężowa Góra stała się symbolem Grunwaldzkiego zwycięstwa. W roku 1902 usypano tu dwumetrowej wysokości kopczyk, zwieńczony krzyżem, dla uczczenia dzieci z Wrześni, prześladowanych przez Prusaków. Z biegiem lat kopczyk uległ zniszczeniu. Nadchodząca rocznica bitwy pod Grunwaldem, nasunęła pomysł prezesowi niepołomickiego „Sokoła” – M. Reichenbergowi oraz druhowi W. Kowalskiemu, usypania nowego okazałego Kopca Grunwaldzkiego (nie wszystkie imiona wspomnianych tu osób udało się odtworzyć).

W lutym 1910 na zamku niepołomickim odbyło się posiedzenie komitetu obywatelskiego, który uzyskał ze-

zwolenie od władz na sypanie kopca. 3 marca 1910, w niedzielę po nieszpodarach, druh W. Kowalski wykreślił obwód podstawy oraz zatknął 6-metrową żerdź, która miała wyznaczać wysokość kopca. Prace nad sypaniem odbywały się w każdą niedzielę za specjalną zgodą miejscowego proboszcza. Pracującym przygrywała orkiestra Ochotniczej Straży Pożarnej, a organizatorami pracy byli członkowie komitetu oraz gniazda „Sokoła”. Fundusz organizatorów, dzięki miejscowej ludności, gminie oraz Kasom Pożyczkowym wynosił 300 koron. Wieść o rozpoczęciu sypania kopca spowodowała społeczny oddźwięk nie tylko w Galicji.

W następnym posiedzeniu komitetu, 27 maja 1910, wzięli udział przedstawiciele „Straży Polskiej” z Krakowa, którzy zadeklarowali pomoc. Z uwagi na inicjatywę włączenia się do sypania kopca Ślązaków, Amerykanów polskiego pochodzenia oraz społeczności różnych regionów, uchwalono aby powięk-





szyć go do średnicy 30 metrów i wysokości 14 metrów.

Główne uroczystości obchodów pięćsetnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem miały odbyć się w Krakowie w dniach 15, 16 i 17 lipca 1910. Przygotowywano święto, jakiego Kraków jeszcze nie widział. Głównym punktem uroczystości miało być odsłonięcie (na Placu Matejki) Pomnika Grunwaldzkiego autorstwa młodego rzeźbiarza Antoniego Wiwulskiego. Sponsorem pomnika był okryty międzynarodową sławą polski pianista Ignacy Paderewski.

W czasie obchodów krakowskich „Straż Polska” urządziła kilka tłumnych wycieczek do Niepołomic, popularyzując akcję sypania kopca. Po uroczystościach wycieczki takie urządzało także Towarzystwo Szkoły Ludowej. Zjeżdżali tam Polacy nie tylko z Galicji, ale ze wszystkich zakątków Polski, jak również z zagranicy. Przez pięć lat od pamiętnych uroczystości Grunwaldzkich do 1915 roku, sypanie kopca stało się symbolem jedności podzielonego zaborami narodu.

W roku 1914 kopiec zwiedził Książę Adam Stefan Sapieha – arcybiskup Krakowa. W tymże roku ze Stanów Zjednoczonych przybyła delegacja Polonii, przywożąc 500 woreczków z ziemią pobraną z mogił Polaków zmarłych w USA.

Jeszcze w roku 1920 na kopcu złożony został woreczek ziemi, który przywiózł Książę Lubecki z pielgrzymki do Ziemi Świętej, organizowanej przez Krakowskie Towarzystwo Kulturalne i Straż Polską. Wiadomości te można było odczytać w „Pamiętkowej księdze sypania kopca w Niepołomicach”.



Ta duża księga, oprawna w skórę, oprócz przytoczonej nazwy ma wytłoczone herby Polski i Litwy. W księdze znajdują się tysiące wpisów i podpisów, wiersze patriotyczne i rysunki. Są zapiski Polaków z Wilna, Lwowa, Tarnopola, Warszawy i Poznania oraz informacja o przywiezionej na kopiec ziemi ze słynnych pól bitewnych. Nie zabrakło także ziemi przywiezionej z pola grunwaldzkiego.

W książce znalazł się też wzruszający wpis trzech górników, którzy piechotą, taczkami z Zabrza, przywieźli w workach ziemię na Kopiec Grunwaldzki. Szli z Zabrza, pchając taczki w stronę Mikołowa, tutaj przekroczyli granice pod Brzezinką i udali się przez Jaworzno, Chrzanów, Krzeszowice do Krakowa. Blisko stukilometrową trasę przebyli w ciągu czterech dni, wszędzie entuzjastycznie witani.

W Krakowie dotarli pod gmach „Sokoła”, skąd w asyście cyklistów oraz członków „Sokoła” wyruszyli do Niepołomic. W Wyciążu czekała na nich niepołomicka orkiestra, wraz z którą udali się, by wysypać dowiezioną trzema taczkami ziemię na niemały już Kopiec Grunwaldzki.

Dla Ślązaków obchody grunwaldzkie w Krakowie miały wielkie znaczenie. Z ziemi śląskiej do Krakowa przyjechała kilkusetosobowa grupa kobiet z Piekar i Brzezina, ubrana w regionalne stroje. Dla wielu kontakt z Krakowem był bodźcem do podjęcia studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przykładem tego jest wybitny Ślązak – Józef Piernikarczyk z Wie-

szowej, który pod silnym wrażeniem krakowskiej uroczystości podjął zamiar i ukończył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Należy przypuszczać, że trzej górnicy demonstracyjnie wiozący ziemię z Zabrza, przez pruski Górny Śląsk oraz austriacką Galicję, byli na uroczystości w Krakowie i na Kopcu Grunwaldzkim. Wtedy prawdopodobnie wpadli na pomysł przywiezienia zabrzańskiej ziemi taczkami. Ziemię na niepołomiczki kopiec zsypani 8 października 1910, czyli już kilka miesięcy po uroczystości. Kim byli...?

Z dostępnej autorowi literatury dowiadujemy się, że nazwiska ich brzmiały: „Maks Czyżewski, J. Hohensee oraz Kaz. Lubojański”. Niektóre źródła mówią, że byli studentami pochodzącymi z Górnego Śląska. Inne, że górnikami z Zabrza.

Po wybuchu II wojny światowej, naczelnik niepołomiczkiego „Sokoła”, dh Franciszek Ziemia, postanowił ukryć przed Niemcami „Pamiętkową księgę”. Zakopał ją na swoim podwórzu. Zaraz po wojnie zmarł na zawał serca i nie wtajemniczył nawet najbliższych w miejsce ukrycia „skarbu”. Po kilku latach Franciszek Setner, mąż Heleny Ziembianki, kopiąc dół do gaszenia wapna wykopał skrzynię, w której była ukryta książka. Pomimo że książka była owinięta w papę i znajdowała się w skrzynce, uległa poważnemu uszkodzeniu. W takim stanie przez długie lata była w posiadaniu Heleny Setnerowej. Właścicielka pamiętki jeszcze przed śmiercią (1999) przekazała „Pamiętkową księgę” do Muzeum Narodowego w Krakowie.

Niepołomiczki Kopiec jest jedynym w Polsce, usypanym na cześć *victorii* grunwaldzkiej. W 1915 roku, po ukończeniu prac, jego szczyt zwieńczył krzyż z napisem: „Grunwald 1410–1910”.

Publikowane tu zdjęcia archiwalne pochodzą ze zbiorów Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Niepołomiczkiej.



Kopiec Grunwaldzki w Niepołomicach, stan aktualny

for. Mieczysław Janusz Jagła

Zalewajka

JAROSŁAW KAPSA

Czechom świat zawdzięcza może nie-
czbyt wiele, ale jednak. Wyliczyć moż-
na: dolar (od talara bitego w Kutnej Ho-
rze), prysznic (od Vincenta Priessnitza,
hydroterapeuty z Jesiennika) oraz pilzner
(tu nie trzeba wyjaśniać). Częstochowa
dumna jest także z trzech rzeczy: najlep-
szej na świecie wody pitnej z wodociągów,
najlepszego na świecie pieczywa oraz naj-
lepszej na świecie zalewajki.

Są to oczywistości, zwłaszcza dla czę-
stochowiaków w wieku dojrzałym. Pierwsze
to efekt wizjonerstwa firmy Ulem, która
w latach 30. XX w. zasiliała Częstochowę wo-
dami z ujęć głębinowych (pierwsze polskie
miasto zasilane w ten sposób), z wyśmien-
itych jakościowo wód piętura jurajskiego.
Drugie – to efekt przetrwania przez czasy
PRL konkurencji między prywatnymi pie-
karniami. Z trzecim jest problem, bo róż-
ne, że tak powiem, łachudry rejestrują na-
szą zalewajkę jako swoją radomszczańską,
łódzką, świętokrzyską, a nawet podkarpac-
ką potrawę regionalną.

Kuchnia regionalna robi dziś karie-
rę, kusi egzotyką i swojskością; reklamuje
się, że jest „jak u mamy”, utwierdzając
przekonanie o naszej tubylczej „odzawso-
ści” na tej ziemi. Nie podejmę więc dysku-
sji z mieszkańcem Pyskowic uważającym
się „od zawsze” śląskim; nie będę też dys-
kutował na temat polskich tradycji Karo-
linki z Gogolina. Kuchnia śląska trzyma się
dobrze, bo została za swoją uznana przez
przybyłych na Górny Śląsk częstochowia-
ków, kielczan i innych „goroli” wyżynnych,
szukających potwierdzenia swojej „odzaw-
szości” na „czarnej ziemi”.

Bycie częstochowiakiem to akceptacja
migracji, to łączy nas z Łodzią i Zagłębiem.
Możemy sobie Kazimierza Wielkiego wy-
bierać na „ojca założyciela”, ale w rzeczy-
wistości takimi „ojcami” był Hantke i Mar-
kusfeld, Motte i Peltzer, sprawcy pierwszej
fali wielkiego napływu chłopstwa jurajskie-
go do fabryk na granicy ze Śląskiem. Drugi
wielki napływ to czas Bieruta i huty jego
imienia. Jeśli nawet istniały przed owymi
napływami jakieś miejscowe tradycje
i przyzwyczajenia kulinarne, to zagłuszo-
ne były zwyczajami przybyłych. Przedwo-
jenna kuchnia mieszczan częstochowskich
była kuchnią warszawską, o czym świad-
czyły reklamy restauracji i zapiski o spo-
tkaniach towarzyskich. Wzmocnił ten sto-
leczny snobizm wojenny napływ warsza-
wianów; stąd kwitła nasza produkcja „kró-
wek milanowskich”, nazywanie kremówek
napoleonkami i kawiarniana kariera wu-

zetek. Z warszawska brzmiała opowieść
przedwojennego felietonisty o „krzcinach”
na ul. św. Rocha: „A nie wi paniusia, jak
tam z korytem? Jest tego do cholery i trochę.
Samych śledzi piętnastu wczoraj w wodzie
moczyli. – Schab na własne oczy widzia-
łam. Ma być także samo galareta z nogów
i komput. – No, to i pod względem ochla-
ja będzie przyzwoicie... Bądź pani spoko-
jna, Malinowska potrafi gości przyjąć – bez
mordobicia się nie obejdzie...”. Warsza-
skie menu pojawia się także w innym fe-
lietonie „Słowa częstochowskiego”, ilust-
rując dylemat, jak wyleczyć chłopa, by jak
„świnia w cudze kartofle nie łąził”: „Zie-
le mu odpowiedzialne do żarcia wrzucić,
najlepiej w grochówkę. – Grochówki nie
lubi! – Może być krupnik, czyli też po-
midorowa z kluskamy. Albo czekaj pani.
Mam. My go już teraz przytracim. Jako
człowiek tronkowy lubi barszcz czerwony
na kościach z uszkamy...”

Katolicko-endecka mieszczańska Czę-
stochowa kulinarnie była blisko z miej-
scowymi sferami żydowskimi. Doszło na-
wet do napiętnowania lidera młodej ende-
cji Stefana Niebudka za to, że prowadząc
de facto restaurację „Wir” przy Alejach,
zamiast w prasie narodowej, reklamował
się w żydowskiej. Było rzeczą naturalną,
że Markusfeld, Kohn czy Grossman bie-
siadowali w „Polonii”, kwestia koszerno-
ści nie była problemem, gdy kuchnia była
na wysokim poziomie. Krążył, co praw-
da, dowcip o jakości obiadu: „gdyby zupa
była tak ciepła jak wino, wino równie sta-
re jak gęś, gęś równie tłusta jak gospody-
ni, to obiadek byłby wcale-wcale”; ale nie
mógł on mieć wiele wspólnego z rzeczy-
wistością. Na gęś nie każdego było stać,
ale jak było stać, to nie wypadało jeść byle
gęsi, ale tylko taką pochodzącą z jurajskich
Rodaków, gdzie na podmokłych łąkach wy-
pasano najlepsze sztuki. Dla ogółu taka gęś
była marzeniem, powszechnym za to był
– bez względu na wyznanie – smalec gęsi.
Współistnienie religijne owocowało także
popularnością czerniny (czarnej polewki),
gotowanej z krwi starannie upuszczanej
przez rzeźnika z gęsi lub kaczk. W 1938 r.,
gdy procedowano w Sejmie ustawę o zaka-
zie uboju rytualnego, skrzyżowały się argu-
menty warszawskiego ks. Trzeciaka z czę-
stochowskim rabinem Nachumem Aszem;
wiele chrześcijańskich gospodyń czę-
stochowskich sekundowało Aszowi. Bo nie
tylko była kwestia czerniny, ileż innych
zacznych potraw zmarnowałoby się, gdyby
nie można było tanio kupować „niekoszer-

nych” odpadków na żydowskich jatkach.

Snobizm na Warszawę, współistnienie
kulinarne polsko-żydowskie, to nie były ja-
kieś cechy oryginalne. Lokalne specjalno-
ści, takie jak owe gęsi z jurajskich mokra-
deł (przemycane pracowicie na niemiecką
stronę granicy), zdarzały się przez udane
naśladownictwa. Truskawki zawdzięcza
Częstochowa przedwojennemu posłowi-
-ludowcowi Adamowi Bardzińskiemu,
który do swej rodzinnej wsi Wilkowiec-
ko sprowadził pierwsze sadzonki; do dziś
ta wieś i sąsiednia Walenczów są centrum
upraw, dla prawdziwego częstochowia-
-lepszego truskawek niż stamtąd nie da się
znaleźć. Podobną sławą cieszyły się jabł-
ka z Mstowa, chrzan z okolic Działoszyna,
ziemniaki z Rembielic, ogórki krzepickie.
Ogórki, nie tylko owe krzepickie, stały się
nawet symbolem Częstochowy w oczach
pielgrzymów, choć godziło w dumę na-
szych mieszczan określenie „ogóry spod
Jasnej Góry”. Z faktami jednak trudno po-
lemizować, sam pamiętam, gdy pod klasz-
torem panował wolny rynek kramów i stra-
ganów, stojące przy nich beczki z ogórka-
mi; sprzedawano nawet spragnionym wodę
po ogórkach, skuteczne dla moich ziom-
ków antidotum na kaca.

Wróćmy jednakże do zalewajki. Nie znaj-
dziemy jej w przedwojennych jadłospisach
częstochowskich restauracji, w wspomnie-
niach obiadów „proszonych”, ani nawet
w repertuarze „pokoików śniadaniowych”.
Było to bowiem danie biednych, a zatem
niepiśmiennych, i razem z owymi biedny-
mi przywędrowało ze wsi do miasta. Był
taki obszar w centrum Europy, wyznaczony
miastami Radom-Kielce-Sosnowiec-Czę-
stochowa-Piotrków Trybunalski-Tomaszów
Mazowiecki (niech uczeni się martwią, czy
to Mazowsze, czy północna Małopolska),
będący zalewajki ojczyzną. Była to zupa
śniadaniowa, postna z musu, niezbędna
by ziemniakiem i ciepłą wodą głód zagłu-
szyc. Ziemniak był podstawą, na śniadanie
zjadano go w zalewajce, w postaci tłuczonej
w barszczu lub ugotowanego w mundur-
ku, zamaczanego w śmietanie (wersja bo-
gata) lub oleju konopnym. Różnice cywiliz-
acyjne powodowały, że na Śląsku było już
mięso w garnku przynajmniej w niedzie-
lę, a okrasa ze smalcu na co dzień; na opi-
sanym obszarze „zalewajkowym” okrasa
była w niedzielę, a mięso „od wielkiego
dzwonu”. Na śląskiej wsi rozwijać się mo-
gła sztuka robienia rosółu, rolady, golon-
ki, schabowego; w naszych sztetlach kwit-
ła umiejętność maczania śledzi i sieka-

nia wątróbki z cebulą, a na wsiach było 100 potraw z ziemniaka i drugie tyle z kapusty i grochu.

Zalewajka ze wsi częstochowsko-piotrkowskiej-kieleckiej-radomskiej nie miała jednak nic wspólnego z zupą, królową Częstochowy i Radomska. Kieleckie tradycje w tym względzie sobie darujemy, a na obszar Zagłębia z różnych względów zalewajka nie dotarła. Nie chciałby tu wejść w specjalizację socjologów, ale narodziny częstochowskiej zalewajki łączyły się z czterema czynnikami czasów powojennych. Zatem: 1) budową Huty im. B. Bieruta i napływem klasy chłopskiej przerabianej pośpiesznie w klasę robotniczą; 2) feminizacją, a raczej (choć to brzmi brzydko) uproduktywnieniem kobiet; 3) rewolucją H. Minca, czyli upaństwowieniem gastronomii; 4) inteligentnym nurtem feminizacji, czyli „praktyczną panią domu”. Huta, jak jej nazwa wskazywała, służyć miała głównie produkcji robotników, istotnym było więc przeciwdziałanie zбочeniu masy w kierunku burżuazyjnym. Burżuja rodzi przywiązanie do własności, w tym prywatności domu; robotnik więc miał nie mieć domu, tylko mieszkanie. Mieszkanie było zaprojektowane w sposób „ukolektywizujący” robotnika: żadnych salonów, bo z gośćmi spotkać się można w świetlicach, żadnego większego pokoju dla dzieci, bo dziecko kolektywizować się miało w żłóbkach i przedszkolach; żadnej kuchni – bo są stołówki zakładowe. Pracę kobiet w domu uznano za anachronizm, nowoczesność pogoniła panie do łopaty i taczki. Ten rodzaj nowoczesności szybko się skompromitował, domeną pań stała się praca biurowa i nauczycielska, pozwalająca zachować siły na prowadzenie gospodarstwa domowego. Upaństwowiona gastronomia, gdzie bardziej liczyła się gramatura i kaloryczność niż smak potraw, nie przynosiła wzorców. Migracja i ciasnota kuchni utrudniała proste przenoszenie przepisów kulinarnych od matek do córek. W sukurs przyszła lekceważona i niezauważalna fala pozytywistycznego feminizmu; od kącików domowych w „Przyjaciółce” po obfitość świetlic „Praktycznej pani”; uczono się nawzajem jak dać radę socjalizmowi: przez uszycie sukienki i firanek, poprzez zapełnienie spiżarni wekami i butelkami z sokiem, aż po syty posiłek dla męża i elegancki poczęstunek dla przyjaciół. Sztuką kulinarną było zrobienie czegoś z niczego (czyli z towaru z upaństwowionych sklepów), w niczym (czyli w ciasnej kuchni na dwupalnikowym piecyku). Nie warunki, ale potrzeby kształtują świadomość; z szacunkiem docenić tu należy inwencję naszych matek.

Tak właśnie, w cieniu rozwoju Huty im. B. Bieruta, w dawnym mieście pielgrzymkowym, w blokach Rakowa i Tysiąclecia, zasiedlonych przez migrantów z jurajskich wsi, narodziła się klasyczna częstochowska zalewajka, łącząca przeszłość z teraźniejszością. Zupa, przez swoją sytość, idealna na obiad jednodaniowy; możliwa do przy-

gotowania po południu, a następnego dnia, po powrocie z pracy wystarczyło odgrzać i podać do stołu z pajdą chleba. Nie była to, jak dawniej na wsi, zupa postna; podstawą były wywar z gotowania wędzonego boczku (od święta z szynki). W tym warze gotowano pokrojone w drobną kosteczkę ziemniaki uzupełnione marchwią i innymi warzywami, dla smaku dodawano do tego grzyby oraz pokrojone kawałki kiełbasy i boczku, a gotową potrawę zalewano żurem (zakwasem z żyta). Ten przepis to barbarzyńskie uproszczenie, każda szanująca się gospodyni miała tu własne tajemnice. Przetrawianie prywatnych piekarni, a nawet do lat 60. prywatnych młynów, powodowało, że nawet tego zwykłego żuru (zakwasu) było wiele odmian. Wadzić się też można było o idealny rodzaj grzybów; spór między zwolennikami miękkich maślaków a fanami twardych podgrzybków nigdy nie został rozstrzygnięty. Są też zwolennicy zupy ostro-kwaśnej i miłośnicy łagodzenia obyczajów śmietaną. Zalewajka nie była daniem wykwintnym, niedzielnym, świątecznym królem pozostał rosół. Był to solidny i syty posiłek dla fizycznie pracującego hutnika, wyrównującym straty kaloryczne wytopione

przy wielkim piecu. Było to idealne rozwiązanie dla pani domu wracającej z pracy i zmuszonej do natychmiastowego wykarmienia męża i czeredki dzieci.

Warunki życia narzucają ograniczenia potrzeb. Gdy życie uwolniło się z oków realnego socjalizmu otwarły się nowe potrzeby. Powstał „po Balcerowiczu” w centrum miasta pierwszy McDonald’s, wędrowały tam wycieczki szkolne, by uczyć się jak jadają w „wielkim świecie”. Autentyczni włoscy gangsterzy założyli pod Jasną Górą pizzerię, potem namnożyły się podróbki neapolitańskiego stylu życia. Od dziesięciu lat czuje się w Śródmieściu „dżihad” kebabowy. Falowania historii nie zmieniły jednak częstochowiaków w pizzożerców, kebabożerców, humusożerców itd., kuchnia regionalna ma się dobrze, najbardziej obłożone są bary „jak u mamy”, najchętniej jedzone – pierogi i – oczywiście – zalewajka.

Wartości bywają stałe. Licheń nigdy nie będzie Jasną Górą. My wiemy, że mamy w Częstochowie najlepszą na świecie wodę pitną w kranach, najlepsze na świecie pieczywo i najlepszą na świecie zalewajkę. Są to prawdy, których nie musimy udowadniać. ■



Ośrodek Harcerski Hufca Ziemi Rybnickiej zwany potocznie Wapienicą to miejsce szczególne dla rybnickich harcerzy. Pobyt w Wapienicy był obowiązkowym wydarzeniem w życiu każdego rybnickiego skauta, a wszelkie wyjazdy w to miejsce przeżyłem, o którym się nie zapomniało. Wapienica to nie tylko polany, budynki i namioty, ale przede wszystkim to harcerski klimat, wspomnienia i spotkania przy ognisku. W tym roku mija 50 lat od dnia, kiedy na prywatnych wtedy jeszcze polach Pani Bartel zorganizowany został pierwszy obóz harcerski hufca.

Miejsce obozowe pod przyszły ośrodek znaleźli dwaj rybnicki instruktorzy: hm. Walenty Kaczmarczyk i hm. Alfred Chromik. Początkowo obozy organizowane były na terenie dzierzawionym, lecz kiedy okazało się, że lokalizacja spełnia wszystkie stawiane takiemu miejscu wymagania, władze hufca podjęły decyzję o wykupie terenu. Zrobiono to wiosną 1974 roku za pośrednictwem KWK „Borynia”, która zakupiła 2,64 ha gruntu i przekazała go harcerzom w użytkowanie. Od tego czasu nastąpił szybki rozwój ośrodka. Powstawały niezbędne urządzenia i budynki, doprowadzono wodę i energię elektryczną.

Pod koniec lat 70. ośrodek w Wapienicy był już dobrze wyposażonym miejscem obozowym, gdzie organizowano co roku 2 do 3 turnusów. Na każdym z nich przebywało od kilkudziesięciu do nawet 400 uczestników. Tak szybki rozwój ośrodek zawdzięczał przede wszystkim ówczesnym władzom Hufca, a w szczególności jego komendantowi hm. Zbigniewowi Soroczanowi, ówczesnym władzom Rybnika oraz dużym zakładom pracy z terenu miasta, które budowały poszczególne budynki lub infrastrukturę. Ustalony rytm pracy ośrodka i jego rozwój zmienił się wraz z transformacją ustrojową z lat 1989–1990. Nie do utrzymania były niektóre – tak korzystne dotychczas rozwiązania organizacyjne i prawne. Konieczne były zmiany praktycznie w każdej dziedzinie życia. Nowo wybrana komendantka hufca hm. Teresa Knura doprowadziła przede wszystkim do uregulowania stanu prawnego całego kompleksu, dzięki czemu jego

właścicielem od grudnia 1994 roku został Związek Harcerstwa Polskiego, a użytkownikiem Komenda Hufca Rybnik. To pozwoliło na otrzymanie grantów i darowizn,



Ośrodek Harcerski Hufca Ziemi Rybnickiej w Bielsku-Białej Wapienicy im. Klary i Stanisława Szymańskich obchodzi 50-lecie istnienia

Pół wieku harcerskiej przygody

MARIAN UHEREK

a w dalszej perspektywie na rozbudowę i modernizację nieruchomości. W latach 90. z władzami hufca kontakt nawiązała Klara Szymańska instruktorka, drużynowa drużyn zuchowych z lat 30., która wraz z mężem Stanisławem Szymańskim, również instruktorem, komendantem Hufca Rybnik w latach 1935–1938 wyemigrowała po II wojnie światowej do Edynburga. Klara Szymańska cały majątek swój oraz nieżyjącego już męża postanowiła przeznaczyć na wybudowanie na terenie ośrodka w Wapienicy „Domu Zucha”. Pierwszą część tego projektu otwarto sierpniu 2010 roku. Oddano wtedy do dyspozycji 13 pokoi z 50 miejscami noclegowymi. Jednak dzięki kolejnym grantom i darowiznom jest on stale rozbudowywany i modernizowany. Obecnie może w nim przebywać w bardzo dobrych warunkach 98 zuchów i harcerzy jednocześnie.

Na terenie ośrodka wszystkie obiekty służą procesowi wychowawczemu uczestników obozu. Harcerze mają nawet własną kaplicę. W czerwcu 2017 przeniesiono ją z Dębowca i zrekonstruowano tuż obok placu apelowego. W kaplicy znajduje się obraz bł. ks. Stefana Wincentego Frelichowskiego – patrona polskich harcerzy oraz figury przekazane z polskiego kościoła z Edynburga (Szkocja).

Na patronów Ośrodka Harcerskiego Hufca Ziemi Rybnickiej w Wapienicy zostali wybrani przedwojenni instruktorzy naszego hufca, małżonkowie Stanisław i Klara Szymańscy. Ten wybór został dokonany nie tylko dlatego, że cały swój majątek zapisali oni harcerstwu z przeznaczeniem na budowę „Domu Zucha”, ale przede wszystkim ze względu na swoją patriotyczną i harcerską postawę. Obojętnie gdzie przebywali Stanisław i Klara Szymańscy, w wolnej czy w okupowanej Polsce, w ojczyźnie czy za granicą, nigdy nie zapomnieli o złożonym harcerskim przyrzeczeniu i zawsze w swoim życiu kierowali się zasadami harcerskiego postępowania.

Obecnie Wapienica nadal tętni harcerskim obozowym życiem. W tym roku, tylko na akcji letniej przebywać tu będzie prawie 500 uczestników. Do tego wielu harcerzy odwiedzi ośrodek na różnego rodzaju kursach i biwakach.

Należy życzyć ośrodkowi w Wapienicy kolejnych jubileuszy, a przede wszystkim kolejnych sukcesów w wychowaniu młodego pokolenia w duchu patriotyzmu i zgodnie z harcerskim przyrzeczeniem. Tak jak czynili to Klara i Stanisław Szymańscy. ■



Jurajskie zauroczenie Andrzeja Wierzbickiego

ALOJZY CZECH



Był w najściślejszym establishmencie II Rzeczypospolitej. W PRL został całkowicie zapomniany. Nawet transformacja ustrojowa nic tu nie zmieniła, pozostał postacią z drugiego planu, mimo zaistniałych wysiłków przywrócenia należnej pamięci. Ze Śląskiem związany był jednorazowo, za to jak bardzo znacząco! Niemniej o Wierzbickim w stulecie plebiscytu także się nie wspominało. Krajobrazem jurajskim był zachwycony przez cały okres międzywojenny i okupację. Wiedzą o tym i dają temu sporadyczny wyraz pasjonaci dziejów ziemi olkuskiej. Z racji pomijanego tam wątku śląskiego, warto o Andrzeju Wierzbickim raz jeszcze powiedzieć. Tym bardziej, że jedna z jego rezydencji znajdowała się właśnie w Domaniewicach koło Bydlina na Jurze Krakowsko-Wieluńskiej.

Związki ze Śląskiem

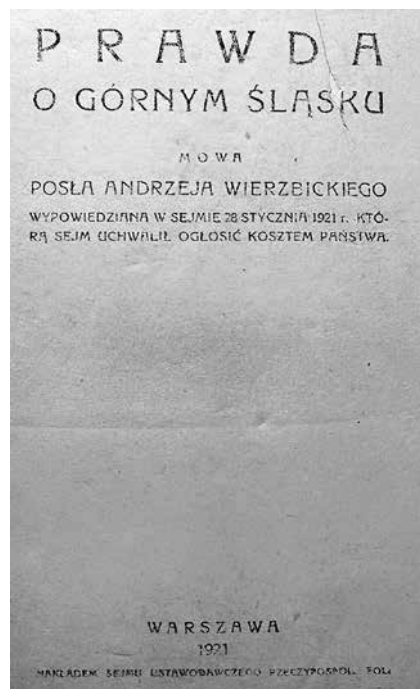
Na Konferencji Paryskiej w 1919 roku, w której decydowano o obliczu powojennej Europy, Andrzej Wierzbicki (1877–1961), znany działacz gospodarczy w tworzą-

cej się Polsce, a wcześniej w Cesarstwie Rosyjskim, był szefem Polskiej Delegacji Ekonomicznej. To w niej przygotowano wszelkie uzasadnienia dla propozycji zgłaszanych przez liderów polskich na Radzie Najwyższej, czy częściej na Radzie Czterech. W kwestii Górnego Śląska obrady przybierały dla Polski niekorzystny obrót. Wskutek sprzeciwu brytyjskiego premiera Davida Lloyd George'a wobec propozycji przekazania na zasadzie narodowościowej tego regionu Polsce, zarządzono plebiscyt. Obie strony – niemiecka i polska – wszczęły akcję propagandową na niebywałą skalę, której efektem miało być pozyskanie większości głosów mieszkańców obszaru plebiscytowego. Jednym z najważniejszych dokumentów w tej walce, jakie się ukazały, była broszura Andrzeja Wierzbickiego *Prawda o Górnym Śląsku* (Sejm Ustawodawczy RP, Warszawa 1921), powstała w następstwie jego słynnej mowy sejmowej z 28 stycznia tegoż roku. Ze względu na argumentację, którą posłużył się Wierzbicki, sejm przegłosował sfinansowanie wydania treści wystąpienia, co było zdarzeniem bezprecedensowym. Broszura ukazała się równolegle w tłumaczeniu na język angielski, niemiecki, francuski i włoski. Rozesłana została po agendach Ligi Narodów oraz placówkach dyplomatycznych jako ważny głos merytoryczny strony polskiej na arenie międzynarodowej. Przedstawiała argumenty ekonomiczne za przynależnością Górnego Śląska do Polski.

Argumentacja Wierzbickiego była dwuczęściowa: krytyczna wobec angielskiego ekonomisty Johna Maynarda Keynesa (1883–1945), który w słynnym dziele *The economic consequences of the peace* (Ekonomiczne skutki pokoju) głosił niekorzystne dla gospodarki europejskiej następstwa przyznania Górnego Śląska Polsce oraz wykorzystująca poufny materiał opracowany przez przemysłowców niemieckich z Górnego Śląska, którzy domagali się przyłączenia powiatów przyległych z Królestwa Kongresowego oraz Galicji do Śląska, by w ten sposób utworzyć jednolity

kompleks surowcowo-przetwórczy. Głos Keynesa był bardzo słyszalny w świecie i miał może większe znaczenie niż liczne publikacje autorów niemieckich, protestujących przeciw ustaleniom zapadającym na Konferencji. W dużym skrócie wykazywał, iż Górny Śląsk przyznany Polsce osłabi potencjał Niemiec, które potrzebują bezpiecznego zaopatrzenia w surowce, by ich gospodarka udźwignęła narzucane obciążenia i nie pogrążyła przegranego mocarstwa w permanentnym chaosie. Wierzbicki podważał wyliczenia Keynesa, wykazując, iż baza na źródłach niemieckich, na samym wstępie tendencyjnie dobranych. Z kolei posłużenie się memoriałami powstałymi w latach 1916–1917 w kręgach wielkiego przemysłu górnośląskiego i opolskiej izby handlowej, zostały przewrotnie przez Wierzbickiego wykorzystane dla argumentacji dokładnie przeciwnej. Nie wiadomo, jak duża była ich moc sprawcza, w każdym razie jego głos uchodził za głównego rzeczownika sprawy śląskiej na forum parlamentarnym oraz w kręgach przemysłowych Polski.

Później kontakt ze Śląskiem, a dokładnie ze śląskim przemysłem był tylko pośredni. Jako lider powstałego na bazie warszawskiego Towarzystwa Przemysłowców Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów „Lewiatan” – potężnej organizacji reprezentującej prywatną gospodarkę, akceptował albo też współkształtował przejęcie jedyne go o porównywalnej mocy konkurenta, jakim był powstały jeszcze w XIX wieku Oberschlesischer Berg- und Hüttenmännischer Verein (Górnośląski Związek Przemysłowców Górniczo-Hutniczych). Stało się tak w 1932 roku, gdy Związek został zlikwidowany. W jego miejsce powstała Unia Polskiego Przemysłu Górniczo-Hutniczego



jako część składowa Lewiatana. Co ciekawe, w latach 20. utrzymywał dobre relacje z niemieckim szefostwem potężnej organizacji, a jej dyrektora generalnego dra Paula Geisenheimera (1867–1951) wprowadził do składu Komisji Opiniodawczej przy Komitecie Ekonomicznym Ministrów. Dodajmy, iż działacz ten był jednym z autorów memoriału, na który powoływał się Wierzbicki w jego walce o przemysł górnośląski dla Polski w 1920 roku. Przejście tej organizacji można uznać za istotny nieformalny krok na drodze do demontażu autonomii górnośląskiej. O jednym jeszcze rysie w postawie Wierzbickiego trzeba wspomnieć: nie wziął udziału w desancie przemysłowców, bankierów, arystokratów, działaczy gospodarczych, nawet profesorów na intratne kierownicze stanowiska w górnośląskim przemyśle. Na pewno nie dlatego, że nie mógł. Mógł przebierać w ofertach, gdyby zechciał. A menedżerem był znakomitym. Przez długi okres prowadził na przykład w randze prezesa zarządu i dyrektora generalnego Zakłady Ostrowieckie S.A., tak je rozwijając, iż w czasie kryzysu ratowały poprzez jej przejęcie Warszawską Fabrykę Parowozów S.A. Przedsiębiorcze kompetencje dyrektora Wierzbickiego były znane i doceniane nawet przez przeciwników.

Majątek w Domaniewicach

Za ziemskim majątkiem rozglądał się od powrotu z konferencji paryskiej. Taka była moda wśród bogatej burżuazji, by mieć kawałek własnej ziemi, ale też w jego przypadku doświadczenie sprzed wielkiej wojny. Będąc jeszcze działaczem gospodarczym w Petersburgu, nabył w 1910 roku wystawiony na sprzedaż przez polskiego właściciela majątek Kurowicze w lepelskim powiecie. Motywacja wtedy była także patriotycznej natury. W Cesarstwie Rosyjskim ziemię Polacy mogli nabywać tylko od polskich właścicieli. Jeśli taki się nie trafił, przechodziła w ręce Rosjan. Kurowicze zatopione w białoruskim pejzażu zachwyciły rodzinę Wierzbickich. Odsłoniły też nieznaną dotąd wartość wychowywania dzieci w otoczeniu natury. Radość z Kurowicz była jednak krótka. Latem 1914 roku w dramatycznych okolicznościach opuścili ustronne miejsce na głębokiej prowincji z nadzieją na powrót w spokojniejszych czasach. Tak się jednak nie stało. Wszystko też wskazywało na to, że Kurowicze zostaną poza Polską, co tylko potwierdziły ustalenia ryskie. Pozostały 20 km za granicą. Za jakiś czas po podpisaniu Traktatu w Rydze w 1921 roku prof. Stanisław Grabski – członek polskiej delegacji – usprawiedliwiał się Wierzbickiemu, iż nie wiedział o jego majątku, gdyż łatwo było o drobną korektę graniczną. Wierzbicki odparł, iż nie śmiałyby w oczy

spojrzeć właścicielom, których majątki były 30, 40 czy 50 km dalej. Po Kurowiczach w krótkim czasie nie było już śladu.

Niejako w zamian trafiły się Domaniewice. Urzekły nowych właścicieli jurajską urodą. Warto przybliżyć tę historię, tym bardziej, że materialne ślady pobytu Wierzbickich w Domaniewicach – jak oni miejscowość nazywali; obydwie nazwy są ponoć poprawne – zostały wytarłe z krajobrazu. Wierzbicki, podobnie jak wielu innych znaczących przedsiębiorców, wszedł w posiadanie majątku ziemskiego, nie tyle z panującej w establishmentie II RP mody, ile – jak dowodził we wspomnieniach – ze względów patriotyczno-wychowawczych. Nostalgia za posiadaniem własnego kawałka ziemi była wtórna wobec troski o jej uprawianie. „Sad, ogród, las, struga, całe bogactwo i różnorodność przyrody zaspokajało wrodzoną ciekawość poznawania świata” – pisał Andrzej Wierzbicki w pełnym emocji wspomnieniu. „Nieduże to były włości – wszystkiego sześć włók ziemi ornej i trzy włóki łąk, wód, jarów i lasów” (1 włóka – niecałe 18 ha). Rodzina spędzała tam każdą wolną chwilę. „Porządkowanie, pielęgnowanie i dosadzanie lasu, zalesianie wąwozów... bo nic nie stoi w miejscu, wszystko się rozwija, rozrasta i podlega wypadkom, kruszeje. Ciągłe się coś uzupełnia, ulepsza, przebudowuje. Toteż chłopcy (Wierzbicki miał 3 synów: Antoniego – później leśnika, Jerzego – architekta i Jaremę – ekonomistę), ucząc się w mieście, marzyli o wsi”, spędzali tam ferie, a w zimie był wspólny namysł nad kolejnymi usprawnieniami, które należało w majątku wprowadzić. Wzrastali w otoczeniu pięknej przyrody, w zgodzie z rytmem prac regulowanych porą roku i przebiegiem pogody, „ucząc się cierpliwości w pokonywaniu przeszkód krzyżujących nieraz plany ludzkie i zaprawiając się w wytrwałości i poczuciu obowiązku”. A mogli przecież bywać i bawić się w każdym zakątku Europy, a przybywali i z pasją zajmowali się Domaniewicami. Czy można im to brać za złe? Za to przeszkody, jakie wyrosły na drodze Wier-

bickiego za sprawą wyroków historii, a nie niekorzystnych zmian w przyrodzie, stały się niebawem przyczyną niebagatelnych przejść i przeżyć.

W wydanych wspomnieniach Wierzbickiego *Żywy Lewiatan* (KAW, Warszawa 2001) znajduje się cały hymn sławiący dworek, wartości krajobrazowe i urodę okolicy. Pełen fascynacji opis zachęca do lektury. „Domaniewice! To był przedczudny zakątek ziemi. Stary dworek drewniany w otoczeniu lip, co najmniej stu pięćdziesięcioletnich, które przeważnie kilku odnogami z jednego pnia jak bukiety strzelały wysoko w górę. To było duże skupisko, ponad pięćdziesiąt drzew. Pod ich konarami krył się kolisty zajazd, który prowadził pod oszklony ganek, skierowany frontem, jak to zazwyczaj po naszych dworach bywało, na południe, na godzinę jedenaśmą”. Dziś nie ma po nim śladu, w miejscu dworku rozciąga się mocno zarosła murowa stadionu miejscowego klubu o nazwie Hetman, a z lip zachowały się dwie. Krajobraz jurajski, którym epatował gości wywołując zachwyt nieoczekiwanym widokiem wapiennych ostańców, zmieniał się wraz z porami roku. Kiedyś podczas takiej wędrówki „w czasie kwitnienia jabłoni, ujrzelśmy tysiące kwitnących jednocześnie drzew” pachnących niczym aromat różowych płatków. Co, oczywiście, było złudzeniem. Sad wszakże był chlubą Wierzbickich. Dwa razy wymarzył, ale nie odpuszczał. Wymieniali drzewostan na odmiany bardziej odporne i drzewka dwukrotnie szczepione. Za to „jesienią, na tle ciemnej zieleni drzew szpilkowych, las płonął wszystkimi odcieniami purpury i złota. Był to niezapomniany obraz”. Przez sad „szła wąska droga, prowadząca pod górę, w pola uprawne, nasz główny spichlerz zbożowy” rozłożony na Cięglach. Dominowało zboże i ziemniaki. Strumyk Tarnówka, biorący początek jako wywierzysko w Dolinie Wodącej (Wierzbicki we wspomnieniach uporczywie nazywa go Białą Przemszą), zasiliał stawy, które zarybiano narybkiem sprowadzonym z Nagłowic. Rasa hodowanych



krów też była wynikiem dogłębnie przeanalizowanego wyboru. Gospodarstwo było prowadzone według wskazań eksperckich, by nie rzec, reguł naukowych.

Musiało to kosztować. Było jasne, że przychody z produkcji rolnej, sadów, stawów czy – w minimalnym stopniu – lasów nie pokrywały kosztów. Wierzbicki mógł sobie na to pozwolić, gdyż deficyt Domaniewicz finansowany był z jego warszawskiej aktywności gospodarczej. A przecież ogromne kwoty pochłaniało również nabycie w 1924 roku, remont i utrzymanie stołecznej rezydencji – pałacu Poniatowskich / Osterloffów na Grochowie. W końcu bywała tam elita gospodarza II RP na przemian z polityczną. O odpowiednim poziomie dbała małżonka Zofia z domu Knaap, zawiadując pewną ręką tą elegancką siedzibą (dziś w obiekcie tym mieści się Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia nr 3). Doszła jeszcze okazała dwufasadowa kamienica – tzw. Wierzbickiego – w Alejach Niepodległości 167 / Asfaltowej 8, wzniesiona według projektu syna Jerzego. Daje to skalę wyobrażenia o przedsięwziętych sukcesach tego działacza i menedżera.

Prowadzenie folwarku domaniewickiego rzutowało na stosunki z miejscową ludnością. Zatrudniani w majątku pracownicy z okolicy – przyjmowani na stałe lub sezonowo – zdawali sobie sprawę z dokładania przez właściciela do gospodarki, dlatego nie mieli nadmiernych żądań ani wygórowanych oczekiwań. Wynagrodzenie, pewnie niewysokie, zawsze jednak było. Jako ekonomista Wierzbicki umiał liczyć i wiedział, ile może kosztować robocizna, by w miarę zrównoważenia domknąć budżet, co i tak się nie udawało. Tego pewnie też wymagał od zaufanego zarządcy. Z mieszkańcami wsi układał samorzutnie dobre relacje. Aleksandra Mól z domu Grabowska (lat 96), mieszkająca jako dziecko w pobliżu dworku, wspomina o ujmującej grzeczności Pana Dziedzica wobec każdego, kogo spotykał. Szczególnie wobec dzieci. Mało prawdopodobną wydaje się wypowiedź niejakiej Anny Paś, iż za pożyczony na przednówku garnek jęczmienia, musiała u Wierzbickich pracować cały dzień od 3 rana aż do zmroku (L. Piekarz: *Olkusz ziemia pełna skarbów*, Wyd. Woj. Kom. Obchodów 10-lecia Polski Ludowej w Krakowie, 1955). Były to lata, gdy właściciele ziemscy bez wyjątku zostali sprowadzeni do rządu wyzyskiwaczy i obszarników. A przecież była to warstwa zróżnicowana pod wieloma względami, jak wszystko w społeczeństwie.

Koniec włości jurajskich

Pewnie nie przypuszczał, iż nieuchronnie zbliża się koniec świata, który kształtował i któremu przewodził. W tym także koniec Domaniewicz, w których – jak

pisał – spędził „najsłoneczniejsze chwile życia”. W lecie 1939 roku Wierzbicki wcześniej wrócili do Warszawy. By przeciwdziałać narastającej panice, zabronił w rodzinie gromadzenia zapasów. Przeszli później trudne tygodnie tylko dzięki służącej kucharce, która nie posłuchała zakazu i „po cichu” skupowała niezbędne towary. We wrześniu '39 kierował Wydziałem Organizacji Przemysłu przy Komisariacie Cywilnym miasta Warszawy. Był członkiem utworzonego przez prezydenta Stefana Starzyńskiego – ideologicznego przeciwnika na polu gospodarczym – Komitetu Obywatelskiego przy Dowództwie Obrony stolicy. Został odznaczony Krzyżem Walecznych. Działał w Radzie Głównej Opiekuńczej, za co w 1941 roku był więziony na Pawiaku. Zwolniony, przeniósł się na stałe do Domaniewic, gdzie dotrwał do końca wojny. Jak wspominała Aleksandra Mól, było to możliwe, dzięki kucharce Stefci, „bez której zaradności – jak ponoć mawiał – byśmy pomarli”. W końcu 1944 roku ponownie osadzony został w krakowskim więzieniu Montelupich. Został zwolniony dosłownie w przeddzień ewakuacji Niemców dzięki odważnej interwencji małżonki, wykazującej dowody bezzasadności zatrzymania. W takiej przełomowej chwili, zachodziło przecież potencjalne rozstrzelanie aresztowanych, uwzględnienie argumentacji – wcale nie było takie oczywiste. Szczęśliwy splot okoliczności.

Wierzbicki zapewnia, że odczuwał wsparcie ze strony wiejskich sąsiadów, co nie było regułą. Pozostawał w bliskich relacjach z proboszczem Józefem Jarzą z parafii św. Małgorzaty w Bydlinie, obejmującej także Domaniewice. Dość przypomnieć, że podczas okupacji wskutek bandyckich napadów śmierć ponieśli, znani dobrze Wierzbickiemu, zaszyści w swoich nabytych wiejskich majątkach inżynierowie Aleksander Ciszewski w powiecie sobieszewskim oraz Antoni Lewalski w pobliskich Piszarowicach. Sytuacja Wierzbickiego zmieniła się wraz z wyzwoleniem. Ze zrozumieniem witał powojenną, choć obcą mu rzeczywistość. W dniach 26–27 czerwca 1945 roku podczas sesji Rady ds. Ziem Odzyskanych wystąpił na Uniwersytecie Jagiellońskim z wykładem na temat problemów przemysłowych związanych z osadnictwem na tych ziemiach. Zakładał, że pomimo różnic klasowych, dla dobra Polski jego deklaracja zostanie przyjęta. Tak się nie stało. Wykład krakowski był ostatnim publicznym wystąpieniem znanego z postawy angażowania się w sprawy ważne mowy i działacza.

Jeszcze gorzej potoczyły się sprawy domaniewickie. Wraz z ogłoszeniem dekretu o nacjonalizacji, Wierzbicki jako obszarnik stał się wrogiem ludu i został pozbawiony majątku bez odszkodowania. Na nic zdały się próśby, by pozostawić choć skrawek lasku brzoźowego,

w którym szczególnie lubił przebywać i odpoczywać. Nie mogło być wyjątku. Prawo działało bezwzględnie. Na miejscu – dla dobra wspólnego – powstała rolnicza spółdzielnia, twór w zamierzeniu sensowny, w praktyce nieudacny. Nie wzięto pod uwagę ogromu nakładów, które obszarnik Wierzbicki wpuszczał w prace rolnicze, czy organizację opartą na fachowej diagnozie wymagań i potrzeb. Nowa gospodarka szybko okazała się nierentowna, zaś nieruchomości podlegały degradacji, majątek ruchomy niszczał lub znikał. Jak mimochodem dorzucił przyprószony siwizną Krzysztof Mól – syn Pani Aleksandry – nie mogło być inaczej, „gdy piętnastu patrzyło, jak jeden pracował”, z mieszaniną smutku i goryczy podsumowując, iż „od swoich krzywd doznał większych, niż od obcej władzy”. Już nigdy nie zobaczył swych ukochanych Domaniewicz. Pozostały jedynie na kartach powstałych w późnych latach 50. wspomnieniowych zapisków. Zaglądał jedynie, pewnie łamiąc narzucony zakaz, najmłodszy – Jeremi, jak wszyscy z Wierzbickich, bardzo z tym miejscem związany.

Ale twórca i lider potężnej organizacji zrzeszającej właścicieli wielkiego przemysłu, jak się zdaje, starał się rozumieć mechanizm dziejów. Chciał swym znawstwem gospodarki służyć krajowi w nowej szacie ustrojowej. Przez jakiś czas doradzał w Państwowym Monopolu Zapalczanym. Od 1949 roku został pozbawiony wszelkiej pracy i zarobkowania. Jeszcze niedawno członek elity gospodarczej kraju, był bez środków do życia. Ratowała go znajomość języka. Niezbyt znany jest fakt, iż zajął się tłumaczeniem z języka rosyjskiego, którym świetnie władał, dla wydawnictw warszawskich. I to dzieł fundamentalnych dla artystycznej kultury. W przekładzie Wierzbickiego (pod nazwiskiem matki jako Aleksander Męczyński) ukazały się trzy tomy *Pracy aktora nad sobą* Konstantego Stanisławskiego (PIW, Warszawa 1953–1954), teksty pomniejsze z tej dziedziny, a także dzieła z historii kapitalizmu w Rosji czy nazw geograficznych rozsianych po całym przekształcanym w potęgę komunizmu Imperium Rosyjskim. Wiele z tłumaczeń pozostało w maszynopisach.

W latach PRL-u Andrzej Wierzbicki mieszkał „z przydziału”, jako lokator w kamienicy, która była jego własnością. Tyle udało się uzyskać. Był to adres dla kręgu dawnych znajomych kultury. Dopóki zdrowie pozwalało, przesiadywał w pobliskiej bibliotece SGPiS, pisząc w postaci wspomnień wspartych dokumentami własną historię przemysłu, polityki gospodarczej i Polski z sobą w roli znaczącego aktora. Zmarł 11 lutego 1961 roku w Warszawie, pochowany został pośród rodziny na Cmentarzu Powązkowskim.



ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Niy fiksyruj sie, dekuj farorza!

Pamięci Mariana Kosińskiego

Ciągle wracam we wspomnieniach do śląskich słów, wyrażeń i zwrotów mego tarnogórskiego dzieciństwa, a ponieważ w sferze zabawowej kojarzę je przede wszystkim z piłką nożną, „fuzbalowe” określenia zajmują w tym leksykalnym zasobie miejsce szczególne.

Ostatnio przypominałem sobie jakże popularny wśród moich rówieśników czasownik *fiksyrować się* – znaczący tyle, co „kiwać się, dryblować”, kierowany najczęściej z przyganą do kolegów bez umiaru, z zapamiętaniem, przesadnie manewrujących piłką: „Niy fiksyruj sie, podej!” – krzyčeliśmy na nich. „Pamiętasz *fiksyrowanie*?” – zapytałem Mariana Kosińskiego, klasowego kolegę i kamrata z boiska, który z Gwarka Tarnowskie Góry przeszedł do Stali Mielec i zdobył z nią dwa tytuły mistrza Polski (1973, 1976). „Pewnie, że pamiętam!” – odpowiedział Marian, a potem – jak zwykle – przegadaliśmy przez telefon z godzinę, wspominając wspólne tarnogórskie lata oraz inne boiskowe słowa.

O *fiksyrowanie* zagadnąłem też dobrze znanego czytelnikom „Śląska” red. Jana Cofałkę, autora cennych książek o Śląsku i Ślązakach, między innymi *Legend sportu śląskiego*. Mój krajan (rodem z Rybnej należącej administracyjnie do Tarnowskich Gór) i współkibic chorzowskiego Ruchu zapytał o tę formę swoich wujków i kuzynów, a oni – z debiutującym w Ruchu razem z Gerardem Cieślikiem Pawłem Kupnym na czele – też potwierdzili jej funkcjonowanie w lokalnych podwórkowych meczach *nasz plac na wasz plac*, dopowiadając, że równie często była ona wyrazem uznania dla tych bajtli, którzy potrafilii najlepiej kiwać. Geograf prof. Jan Tkocz z kolei – rodem z Czerwionki – wskazał jeszcze jedno znaczenie naszego czasownika: oto *fiksyruje*, „ten, kto często zmienia zdanie, uprawia więc swoisty – często także polityczny – drybling”.

Bardzo mnie rozczuliła w powyższej relacji konstrukcja *nasz plac na wasz plac*. Posłu-

giwaliśmy się nią w pełnej żartobliwej wersji *nasz plac na wasz plac, a hasioki tory. Na hasiok*, czyli „na śmietnik”, chodzę we Wrocławiu nie tylko ja, ale cała moja rodzina – tak jak „za bajtla” szedłem czasem *do toru* – „do bramki”, a kiedy bramka padła, słyszało się w powojennych latach na boiskach podwórkowych i „dorosłych” przeciągłe *tooor!* Bramkarz także z reguły nazywany był *tormanem*.

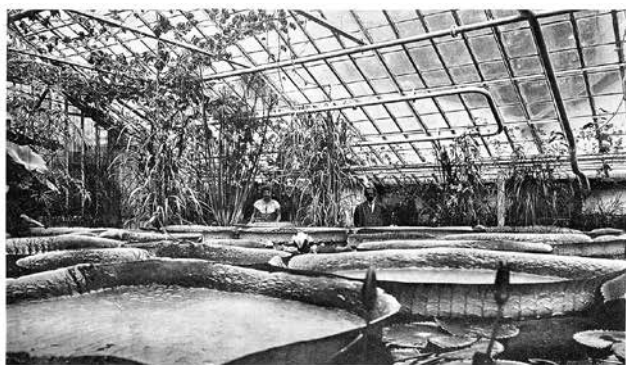
Wszystkie te formy pochodzą z języka niemieckiego: *fiksyrować się* – od *fixieren* „utrwać, przymocowywać, zamotać się, zapętlić, przesadnie się na czymś koncentrować”, *hasiok* – od *Asche* „popiół”, a *tor* – od *Tor* „brama, bramka”. W „Deutsches Universal Wierterbuch” Dudena przeczytałem o funkcjonowaniu powyższych znaczeń czasownika *fixieren* pod wpływem francuskiego *fixer* „przymocowywać, ustalać”, z którym etymologicznie należy wiązać także znane u nas wyrazy *fiks*, *fiksacja*, *fiksat*, *fiksatywa*, *fiksować*.

Wracając zaś do piłkarskich wspomnień z dzieciństwa, muszę przywołać kilka jeszcze germanizmów. I tak najpierw *wylowaliśmy// wyjlowaliśmy*, czyli „wybieraliśmy się do dwu drużyn” (z niemieckiego *waehlen* „wybierać”). Potem wykrzykiwaliśmy jeden przez drugiego: *pierwszy elwer, drugi elwer, trzeci elwer*, zaklepując sobie w ten sposób prawo do wykonywania pierwszego, drugiego, ewentualnie kolejnego rzutu karnego, jedenastki (z niemieckiego *elf* „jedenaste”) . Ustalaliśmy także dość często zasadę *trzy rogi – elwer*, czyli prawo do wykonywania jedenastki po trzecim rzucie różnym (kornerze). Dopiero po spełnieniu tych rytualnych czynności wstępnych ustawialiśmy *bal* – „piłkę” *na micie* – „na środku boiska” (*bal* – z niem. *Ball* „piłka” – był najczęściej gumowy; skórzany nazywaliśmy *kułą*; *mita* – z niem. *Mitte* „środek”) i rozpoczynaliśmy *szpil* „mecz” (z nim. *Spiel*). Balem czy kułą trafialiśmy *w latę* – „w poprzeczkę” (z niem. *Latte*), a kiedyśmy w piłkę nie trafiali, ów kiks nazywaliśmy *luftnięciem się* (z niem. *Luft* „powietrze”), czyli – dosłownie – „trafieniem w po-

wietrze”. Nisko ocenialiśmy strzał *kapą* – „szpicem, czubkiem, noskiem buta” (z niem. *Kappe* „nosek, czubek buta”), choć był on nieraz skuteczny, powszechny podziw budziła natomiast *bramka ligowa*, czyli zdobytą ze strzału, po którym piłka odbijała się od słupka lub poprzeczki i wpadała do siatki. No i była jeszcze *kiepka* – „strzał głową” i *gra w kiepki*, w której na bramkę przeciwnika strzelało się tylko głową – albo od własnej bramki, albo z tzw. podciąganiem, czyli zbliżeniem się do bramki przeciwnika dzięki umiejętnemu podbijaniu piłki, a także funkcjonował czasownik *kiepkować* „podbijać piłkę głową”.

Ponieważ nie byłem boiskowym twardelem, Marian Kosiński dopingował mnie nieraz do bardziej zdecydowanej walki o piłkę okrzykiem *Janek, w chopa!* Najczęstszym jednak wołaczem pozostającym w tym polu znaczeniowym była forma *dekuj go!* – „kryj go!” (z niem. *decken* „kryć, pokryć, przykryć”). Do końca życia kojarzyć ją będę nie tylko z rówieśnikami z boiska, ale i z... księdzem Wilhelmem Słomką – w latach 50. katechetą tarnogórskich szkół średnich. A dlaczego? – Otóż ks. Słomka uprawiał wszystkie możliwe dyscypliny sportu – z hokejem na lodzie włącznie! Jak mi się kiedyś zwierzył arcybiskup Damian Zimoń, dzięki niemu nauczył się jeździć na nartach, bo kiedy był wikarym w Tychach, proboszcz Słomka wszystkich swoich młodszych współpracowników gonił do sportu. Oczywiście, grał ks. Słomka również w piłkę ręczną – w szczypiorniaku, jak się wtedy powszechnie mówiło. I właśnie podczas jakiejś rozgrywki z jego udziałem, usłyszałem z ust zawodnika drużyny przeciwnej: „Dekuj farorza!”, czyli „kryj księdza!”.

Przywołana na początku rozmowa z Marianem Kosińskim była ostatnia. 21 kwietnia mój serdeczny kolega ze szkoły podstawowej, piłkarz Gwarka Tarnowskie Góry i Stali Mielec, odszedł do wieczności. Niech dzisiejszy odcinek będzie znakiem mojej najlepszej o Nim pamięci. ■



Tropikalny raj w Gliwicach

MAŁGORZATA LICHECKA

Rok 1924. Pierwszy raz z Wiktorią

To małe zdjęcie jest ważne: elegancko ubrana kobieta, obok mężczyzna w surducie. Obydwoje z uwagą przyglądają się okazałym egzemplarzom *Victoria regia*, Wiktorii królewskiej, roślinie wodnej występującej w dorzeczu Amazonki, przez rdzennych mieszkańców nazywanej „talerzami wodnymi”. Od czasu odkrycia starano się przewieźć jej nasiona do Europy, ale wielokrotnie podejmowane próby nie powiodły się. Stało się to dopiero w 1849 roku, kiedy w londyńskim Kew Gardens wyhodowano sześć okazów. Popularność Wiktorii rosła i w roku 1851 wybudowano dla niej specjalną szklarnię z basenem. Niedługo później zaczęła się pojawiać w innych ogrodach botanicznych.

Fotograf uchwycił historyczny moment: oto publiczność ogląda prawdziwy egzotyczny skarb, sprowadzony do wybudowanej w 1924 roku Palmiarni w Gliwiczach. To tam w roku 1925 otwarto pierwszy na Śląsku basen o pojemności 120 m³ dla jednej z największych na świecie roślin wodnych, właśnie *Victoria regia*. Odtąd można było podziwiać nie tylko ją.

Rok 1925. Richardzie, gratuluję pomysłu

Ojcem – pomysłodawcą Palmiarni w nowym kształcie był dyrektor gliwickich ogrodów miejskich Richard Riedel, bliski współpracownik radcy budowlanego Karla Schabika. Trzeba jednak wiedzieć, że historia Palmiarni sięga 1880 roku, kiedy to na terenie kształtującego się parku miejskiego powstały pierwsze szklarnie dostępne dla publiczności. Zapowiedzią nowej miejskiej atrakcji, była, zorganizowana jesienią 1924, wystawa botaniczna (nazwana „wystawą palmową”). Wprawdzie dyrektor Riedel rozpoczął gromadzenie egzotycznych roślin już w roku 1913, jednak brakowało pieniędzy na budowę dla nich zimowego ogrodu. Wystawa miała więc znaczenie promocyjne: na tysiącu metrów kwadratowych prezentowano palmy z rejonu Morza Śródziemnego i Wysp Kanaryjskich oraz kwiaty. O popularności Palmiarni nie tylko wśród mieszkańców Gliwicz świadczą liczby: w 1926 roku odwiedziło ją około 8 tysięcy osób, a w 1936 roku było ich już 30 tysięcy.

W 1935 roku wybudowano wysoką na 12 metrów szklarnię o powierzchni 504 m², która stała się głównym pawilonem wy-

stawowym. Powiększono również kaktusiarnię i dobudowano akwaria.

Feniksy

Są imponujące. Możemy je spotkać w pawilonie roślin tropikalnych i w pawilonie historycznym, który specjalnie na potrzeby palm, dorastających do wysokości 18 metrów, podwyższono do 20 m. Jest to obecnie jeden z najwyższych pawilonów ekspozycyjnych w Polsce.

Feniksy kanaryjskie. Trzy, sprowadzone w 1924 roku do Gliwicz, przetrwały do dziś i stanowią jeden z ważniejszych punktów wizyt w pawilonie historycznym. Feniksy, jak tłumaczy Marek Bytnar, kierownik Palmiarni, to rośliny dwupienne, osobno występują osobniki żeńskie, osobno męskie. W Gliwiczach mamy dwóch panów i jedną panią. Poza tym są tu przepiękne okazy palm daktylowych czy najstarsza w Polsce *Corypha* (ma już 80 lat!) zwana „niebochronką”.

Bytnar podkreśla, że ta ostatnia jest gatunkiem wyjątkowym: jej „życiowym celem” jest... kwiatostan: zakwita raz i to czterema milionami kwiatów. A potem niebochronka umiera. W Gliwiczach żyje dłużej dzięki pewnemu zabiegowi, stosowanemu przez pracowników palmiarni: wiedząc, że palma kwitnie, w grudniu lub w styczniu, pilnują, by wyciąć kwiatostan. „Oszustwo” stosowane już od 15 lat sprawia, że rzadką palmą zachwycają się tysiące zwiedzających.

Rok 1945. Ratuja, co się da

Wszystko było zniszczone. Wybite szyby, zdewastowane szklarnie, dodatkowo zima 1945 roku była wyjątkowo mroźna. Duma Gliwicz zniknęła, a nowa władza wpadła na pomysł, by w miejscu Palmiarni powstała zajezdnia autobusowa. Nie pozwolili na to inżynier Krzeczewski i ogrodnik Krywalski (niestety, nie udało się ustalić imion obu panów). Z niewielką ekipą wyremontowali budynki i zdobyli rośliny, zwożąc je niemal z całej Polski. W październiku 1948 roku palmiarnia znowu przyjmowała zwiedzających. I był to żelazny punkt niedzielnych wypadów.

Jednak lata eksploatacji dawały o sobie znać. Nie pomagały doraźne naprawy, należało więc pomyśleć o generalnym remoncie. Był to dobry pretekst do zmiany: można było Palmiarnię powiększyć, albo pójść jeszcze dalej i całkowicie przebudować.

Zdecydowano się na wariant drugi. I to w bardzo odważnej architektonicznej wersji. W 1985 roku zamknięto więc obiekt i przystąpiono do prac.

Storczyki – zobaczyć koniecznie!

Znajdziemy je w pawilonie tropiku, a jest ich ponad 400. Wie o nich wszystko i chętnie opowiada Maria Tworzydło, wieloletni pracownik Palmiarni, znawczyni i miłośniczka storczyków (sama ma ich w domu ponad 200!). Pawilon tropików to najcieplejsze i najwilgotniejsze (często aż 90 proc.) miejsce dla najbardziej wymagających okazów, z których wiele kwitnie. W Palmiarni storczyki są prezentowane w sposób, w jaki żyją w naturze: mamy okazy naziemne, epifity przyłączone do drzew i okazy rosnące na skałach.

Rok 1985. Kryształowa Palmiarnia

Najpierw wzniesiono konstrukcję i powłoki nowych pawilonów, następnie zdemontowano stare szklarnie, nie było więc konieczności przesadzania palm, co na pewno by im zaszkodziło. Inspiracją dla architekta Andrzeja Musialika, który pracował na zlecenie „Miastoprojektu”, była kalifornijska „Kryształowa Katedra” autorstwa Philipa Johnsona, którą zwiedzał podczas swojej pracy w latach 1970–1980 w biurze projektów „Associated Architects & Plan-



Feniks kanaryjski



Kaktusiarnię należy zwiedzać metodycznie

ners”. Musialik miał śmiałą wizję, na którą zgodzili się miejscy decydenci. Co więcej, przy budowie zastosowano materiały trudno wówczas dostępne: przewidywany do szklenia witalit oraz szkło zbrojone na dachy zastąpiono ostatecznie poliwęglanem, co w owym czasie na polskim rynku było nowością.

W gliwickiej Palmiarni przestrzenną konstrukcję rurową umieszczono na zewnątrz, gdyż w środku panuje bardzo wysoka wilgotność, poza tym na zewnątrz łatwiej jest konserwować stal, a cień konstrukcji w pewnym stopniu chroni rośliny przed nadmiernym punktowym nasłonecznieniem. W roku 1992 architekci Jan Pallado i Aleksander Skupin zaprojektowali pawilon wejściowy, nadając mu formę jaką znamy dziś. Ostatecznie wszystkie prace zakończyły się w 1998 roku. Obecnie dla zwiedzających dostępnych jest pięć pawilonów tematycznych: roślin użytkowych, tropiku, historyczny, sukulentów, a od 2013 roku akwaria.

Kamizelki ratunkowe, marakasy i tequila
Zdobią nasze domy, jemy je, stosujemy jako przyprawę, robimy z nich meble i instrumenty muzyczne, wykorzystujemy w kosmetyce. Pomarańcze, grejpfruty, pomelo, kumkwaty i wiele innych zobaczymy w pawilonie roślin użytkowych, tropików i kaktusiarni. Co ciekawe, rośliny kwitną i owocują, a cały ten proces można zobaczyć na własne oczy.

Jest i kawa, której krzewy dorastają do 3 m wysokości, wawrzyn szlachetny, bardziej

znany w kuchni jako liść laurowy oraz goździkowce i pieprze, które mają duże liście i dekoracyjne kwiatostany z długimi sznurkami paciorków, bananowce, których owoce nie nadają się do jedzenia, ale za to włókna wykorzystywane są do produkcji lin okrętowych. Jest drzewo kalebasowe – z jego owoców robi się marakasy (instrumenty muzyczne) oraz – po odpowiednim uformowaniu owocu podczas procesu wzrostu – naczynia do parzenia yerba mate.

Zwiedzając kolejne pawilony warto zwrócić uwagę na drzewo kapokowe, którego owocostanów w przeszłości używano do produkcji kamizelek ratunkowych oraz przyglądać się palmie o nazwie lyczkowiec dłoniasty. To kolejna użytkowa roślina w Palmiarni o wachlarzowatych liściach. Wystarczy 9 sztuk, by wypleść kapelusze typu panama. W pawilonie sukulentów znajdziemy agawy – z jednego z jej gatunków wytwarzana jest tequilla. Warto zwrócić uwagę na monstery o pysznych owocach w smaku przypominających ananasy, a także figi, chleb świętojański, który z powodzeniem zastępuje kakao i czekoladę.

Wodna atrakcja

W roku 2013 Palmiarnia powiększyła się o nowy pawilon. Olbrzymie akwaria, ich mieszkańcy, a także roślinność, robią duże wrażenie. Zwiedzamy w mroku, bo wtedy możemy poczuć się jak w podwodnej toni, a do dyspozycji mamy cztery tematyczne zbiorniki, w których pływają ryby polskie i egzotyczne, od dwu centymetrowych do ponad metrowych.

W największym akwarium, o objętości 60 tysięcy litrów, odtworzono środowisko Amazonki – największej rzeki świata. Znajdziemy tu okazałe gatunki ryb, osiągnące duże rozmiary w naturalnym środowisku. Goście (nie tylko dzieci) spędzają przy nim najwięcej czasu. Wszyscy polują na arapaimy, zwane żywymi skamielinami. Długość tych największych słodkowodnych ryb świata może dochodzić do 4 metrów, a waga nawet do ponad 200 kg. W zbiorniku Amazonki są także piranie z gatunku *Myleus schomburgkii*. Gliwicka Palmiarnia, prawdopodobnie jako jedyna w Polsce,

prezentuje dorosłe osobniki tego gatunku.

Palmiarnia to przedsiębiorstwo artystyczno-edukacyjne, ale także wdzięczny plener dla nowożeńców, którzy chętnie wykupują sesje fotograficzne, bo za egzotyczne i utytułowane (historycznie) tło trzeba zapłacić. Pod Feniksem rozbrzmiewa Fryderyk Chopin i głos Beaty Rybotyckiej, są koncerty kameralne i nieco rocka. Przygotowano także ścieżkę wiedzy o roślinach egzotycznych – lekcję na żywo z przewodnikami (których trzeba zamówić wcześniej). Tematyka ścieżki obejmuje omówienie grup roślin przyprawowych i sukulentów oraz rodziny bambusów i palm. Na terenie pawilonów ekspozycyjnych wyodrębniono punkty, w których nie obowiązuje reguła „nie dotykać”. Każdy w tych miejscach ma możliwość sprawdzenia na ile „ostre” są ciernie kaktusów czy, jak miętka może być „skóra” palm. To niezwykle atrakcyjna interaktywna lekcja botaniki. Każda grupa, która ukończy ścieżkę, otrzymuje stosowny certyfikat.

W czasie pandemii palmiarnia była zamknięta – aż do maja 2021, ale poradzono sobie z publicznością, przygotowując podcasty „Palmiarnia na wynos”. W 17 odcinkach pracownicy palmiarni opowiadali gościom o atrakcjach, ciekawostkach, pawilonach, kuchni, czyli szklarni użytkowej.

Rok 2021: dwa remontowe miesiące
Od 28 czerwca do 31 sierpnia palmiarnia jest nieczynna, bo przewidziano modernizację pawilonu historycznego. Przez lipiec i sierpień stare ściany będą zastępowane panelami z poliwęglanu oraz – w części – szkłem. Ze względu na rośliny egzotyczne, takie prace wykonuje się tylko latem, kiedy bez obawy o najcenniejsze ekspozaty możliwe jest wyłączenie ogrzewania. Czas modernizacji elewacji zostanie również wykorzystany na renowację podestów i schodów drewnianych we wnętrzach pawilonów.

Palmiarnia praktycznie

Obiekt znajduje się w centrum Gliwic, przy ul. Fredry (park Chopina) – nie sposób go przegapić. Dojazd do Palmiarni z Zabrze, Rudy Śląskiej, Chorzowa, Katowic zajmuje kilkanaście minut. Po zjeździe z DTS na rondzie należy kierować się na zjazd „Instytut Onkologii”. Miejsce parkingowe można znaleźć wzdłuż ul. Sienkiewicza, przylegającej do parku Chopina (uwaga – w części ulicy obowiązuje strefa płatnego parkowania). Istnieje również możliwość postoju od strony ul. Dubois oraz na małym parkingu znajdującym się przy ul. Fredry. Dla autokarów są wyznaczone miejsca.

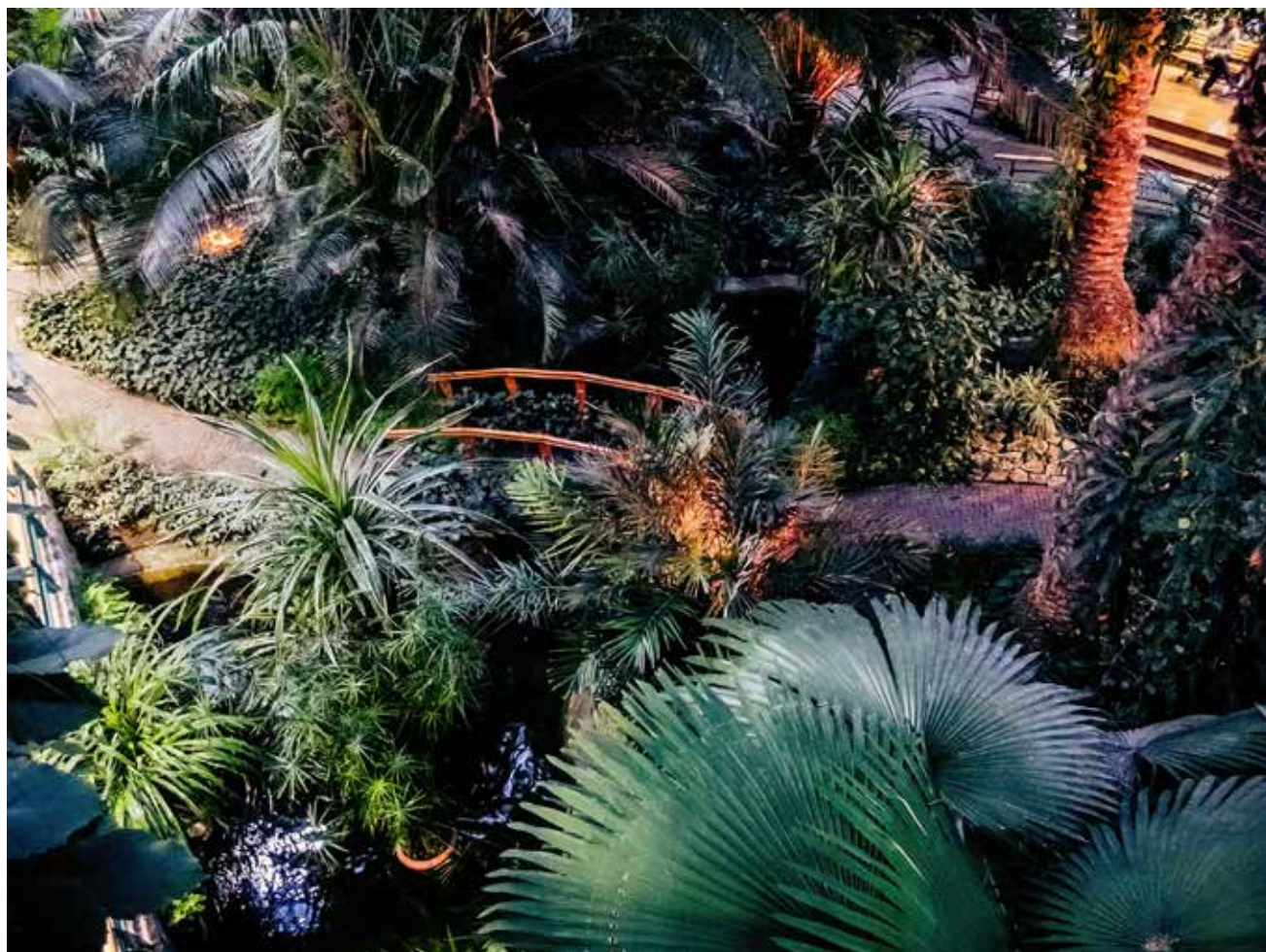
W sezonie w poniedziałki Palmiarnia jest nieczynna, od wtorku do piątku można zwiedzać od 9.00 do 18.00, a w sobotę i niedzielę od 10. do 18.00. ■

Więcej na:
www.mzulk.pl
www.gliwiczanie.pl





Z cyklu „znajdź różnicę”. Oczywiście na zdjęciu poniżej brakuje piłkarza Urośa Koruna, który, kiedy grał jeszcze w drużynie Piasta Gliwice, chętnie wpadał z rodziną do Palmiarni





Orkiestra Wyntona Marsalisa



Na bielskich ulicach i placach grały wspólnie trzy muzyczne formacje z Bielska-Białej, Czechowic-Dziedzic i Kóz, gdzie na co dzień lubią walić w bębny.



Zadymka jazzowa bez śniegu

ZBIGNIEW LUBOWSKI



Fascynująca suita *A Love Supreme* była wirtuozowską perełką muzyczną koncertu WYNTONA MARSALISA, który wraz z 14-osobową grupą instrumentalistów *Jazz at Lincoln Center Orchestra* wystąpił pod koniec czerwca w Bielsku-Białej. Znakomity trębacz jazzowy zagrał dla kilkusetosobowej publiczności, zgromadzonej w hali namiotowej na stokach Dębowca. Gorąco przyjęty przez słuchaczy koncert amerykańskich muzyków był bez wątpienia największą atrakcją 23. Bielskiej Zadymki Jazzowej – znanego w naszym kraju i popularnego festiwalu.

Impreza jest organizowana od lat przez środowisko artystyczne, skupione wokół Stowarzyszenia Sztuka-Teatr. Twórcami cyklicznego przedsięwzięcia są bielscy aktorzy, muzycy, plastycy, fotograficy, a także dziennikarze, korzystający z cennego wsparcia finansowego samorządu lokalnego, sponsorów i partnerów festiwalu. Nad całością czuwa tradycyjnie Jerzy Batycki, aktor i reżyser, a zarazem rodowity bielszczanin.

Zimowa impreza w lecie

Charakter tegorocznej zadymki różnił się wyraźnie od poprzednich wydań imprezy, organizowanej zwyczajowo w okresie zimowym. Ze względu na pandemicznych festiwal przeniesiono tym razem na początek kalendarzowego lata. Jego program był jednak bardzo atrakcyjny. Zaplanowano nie tylko występy polskich i światowych gwiazd jazzu (w tym

amerykańskiego trębacza Chrisa Bottiego, wsławionego współpracą z Arethą Franklin, Bobem Dylanem i Stingiem), ale również niekonwencjonalne happeningi w postaci uroczystego odsłonięcia instalacji przestrzennej na RONDZIE BIELSKIEGO JAZZU czy też przemarszu uczestników ulicznej Parady Nowoorleańskiej. Bielscy melomani mieli naprawdę w czym wybierać. Słoneczne dni od 23 do 27 czerwca (od środy do niedzieli) tętniły jazzem w całym mieście.

Światową gwiazdą pierwszej wielkości był Wynton Marsalis (ur. w roku 1961 w Nowym Orleanie), wybitnie utalentowany trębacz, kompozytor, nauczyciel akademicki i animator różnorodnych działań na rzecz edukacji muzycznej. Może się on poszczycić kilkudziesięcioma tytułami doktora *honoris causa*, przyznanymi mu przez renomowane uczelnie muzyczne z całego świata.

Znany jest nie tylko ze świetnych interpretacji jazzu, ale i muzyki klasycznej. Dziewięciokrotnie był laureatem prestiżowych nagród GRAMMY, przyznawanych wyróżniającym się muzykom przez amerykańską Narodową Akademię Sztuki. Na co dzień zarządza nowojorskim ośrodkiem kultury JAZZ AT LINCOLN CENTER, realizującym z dużym powodzeniem misję międzynarodowej promocji jazzu.

Powrót po latach

Marsalis koncertował już u stóp Beskidów przed 27 laty. W listopadzie 1994 roku wystąpił w katolickim kościele św. Maksymiliana Kolbego w bielskiej dzielnicy Aleksandrowice. Był to wówczas pierwszy wielki koncert gwiazdy jazzu w Bielsku-Białej. – *Wtedy właśnie rozpoczęła się złota era jazzowa w dziejach miasta. Od tamtego czasu gościliśmy plejadę wspaniałych muzyków, by wymienić perkusistę Billy'ego Cobhama, kontrabasistę Charlie'ego Hadena czy saksofonistę Wayne'a Shortera. To instrumentalści ze ścisłej czołówki światowej – opowiadał niejednokrotnie dziennikarzom Jerzy Batycki.*

Czerwcowy koncert Marsalisa i jego orkiestry w potężnym namiocie na zbożach Dębowca (w bezpośrednim sąsiedztwie bielskiej hali widowiskowo-sportowej) stanowił niewątpliwą ucztę jazzową dla melomanów. Na początek muzycy zagraли utwór „Freedom Suite” Sonny'ego Rollinsa w przyciągającej uwagę aranżacji saksofonisty Waltera Blandinga. Ekspresyjna interpretacja kompozycji z 1958 roku stworzyła możliwość zaprezentowania słuchaczom improwizowanych popisów poszczególnych solistów. Po pierwszych minutach występu stało się już jasne, że będzie to porywająca impreza, jakich doprawdy mało w dzisiejszych czasach...

Najciekawszym fragmentem koncertu było wykonanie suity „A Love Supreme”, uznawanej za sztandarowe dzieło saksofonisty Johna Coltrane'a. Długa i żywiołową solówkę na trąbce zagrał lider nagrodzony jeszcze w trakcie utworu spontaniczną owacją zachwyconej publiczności. Wzorcowa współpraca aranżacyjna sekcji saksofonów, trąbek i puzonów, wspólnie z imponującym brzmieniem sekcji rytmicznej, dały fantastyczny efekt końcowy.

Brawom słuchaczy nie było końca. Amerykańskim muzykom zgotowano kilkuminutowe „standing ovation”. Warto odnotować, że na koncertach jazzowych rzadko zdarza się taka eksplozja emocji. Goście zza oceanu bisowali. Zagraли... bluesa, co wydawało się szczególnie intrygujące. Utwór „Good Morning Blues” Counta Basiego sprzed 84 lat zabrzmiał jednak w Bielsku zupełnie nowatorsko, a partia wokalna zaśpiewana przez Jimmy'ego Rushinga nadała mu świeże oblicze.

Twarze współczesnego jazzu Dla nikogo na widowni nie ulegało już wątpliwości, że werdykt czytelników zna-

Twarze współczesnego jazzu

Dla nikogo na widowni nie ulegało już wątpliwości, że werdykt czytelników zna-



Rondo Bielskiego Jazzu

fot. Z. Lubowski



Parada Nowoorleańska w Bielsku-Białej

fot. Z. Lubowski



Uczniowski zespół dixielandowy na placu Bolka i Lolka

nego pisma muzycznego „Down Beat”, którzy przez cztery lata z rzędu (2013-2016) przyznawali orkiestrze Marsalisa miano najlepszego big-bandu jazzowego na świecie, zasługuje tylko na zdecydowaną aprobatę.

Artysta nie tylko jednak grał na trąbce w Bielsku, ale i pełnił rolę animatora kultury. Wraz z władzami samorządowymi miasta odsonił niecodzienną rzeźbę na Rondzie Bielskiego Jazzu (nieopodal galerii handlowej „Sfera”). Dzięki temu popularne rondo uzyskało oryginalny wygląd architektoniczny, odróżniający je od wszystkich pozostałych rond w mieście. Warto przy okazji dodać, że nie jest to bynajmniej jedyny punkt Bielska o muzycznym charakterze. Od lat istnieje już przecież w innej dzielnicy Rondo Czesława Niemena.

Do stolicy Beskidów zjechali też w czerwcu znani i cenieni jazzmani z różnych stron kraju. W tym gronie znaleźli się m.in. Włodzimierz Nahorny, Wojciech Mazolewski i Stanisław Soyka. Ich koncerty spotkały się z dużym zainteresowaniem miłośników jazzu. Po północy

z soboty na niedzielę (ostatni weekend miesiąca) rozbrzmiewały zaś na Rynku Starego Miasta jazzujące przeróbki dźwiękowe największych szlagierów z repertuaru niezyczącej już bielskiej piosenkarki – Marii Koterbskiej. Zaproszony w tym celu DJ Maestro udawał, że nieśmiertelne przeboje damy polskiej piosenki mogą przybrać niekonwencjonalną postać...

Uliczna parada muzyczna

Wyjątkowo widowiskowym akcentem festiwalu była niedzielna Parada Nowo-orleańska. Melomani przeszli ulicami miasta przy dźwiękach m.in. popularnych standardów dixielandowych. Trasa ich przemarszu wiodła z Placu Ratuszowego na Rynek. Ton nadawali muzycy paradejnej formacji – orkiestry jazzowej Bielskiego Centrum Kultury pod kierownictwem Jarosława Grzybowskiego.

Po drodze było kilka muzycznych przystanków. Na każdym z nich dołączały do kolumny marszowej kolejne zespoły – grupa perkusyjna „Walimy w kocioł” z Kóz (dużej wsi w powiecie

bielskim), uczniowski zespół dixielandowy z bielskiego Zespołu Szkół Muzycznych oraz młodzieżowa orkiestra z Miejskiego Domu Kultury w Czechowicach-Dziedzicach.

Dźwięki znanych i popularnych utworów jazzowych (w tym zwłaszcza *When The Saints Go Marchin' In* czy *Down By The Riverside*) przyciągały – niczym magnes – nowych uczestników parady. Im bliżej Rynku, tym grono maszerujących bielszczan było liczniejsze. O stworzenie odpowiedniej atmosfery imprezy dbał wodzirej oryginalnego pochodu – Jerzy Batycki. Posługując się marynarską tubą wykrzykiwał wielokrotnie, że jazz to muzyka radości i wolności, wzbudzając w ten sposób ogromny aplauz tłumom.

Lokalna prasa odnotowała potem, że takiego happeningu muzycznego nie było jeszcze nigdy w historii miasta. A wszystko za sprawą... pandemii, która spowodowała, że lutowa zadymka doszła ostatecznie do skutku w czerwcu. Uliczna parada muzyczna w lutym byłaby przecież z założenia niemożliwa!



Paradna formacja marszowa Bielskiego Centrum Kultur



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

„Lecz cóż to za modlitwa? W ten sposób można więcej zgrzeszyć”

Adolf Nasz, niestety zapomniany dziś badacz kultury ludowej, ale i archeolog, uczestniczący choćby w słynnych wykopaliskach na wrocławskim Ostrowiu Tumskim, kilka razy zapraszał mnie – podówczas studenta etnografii – na spacer po jego ukochanych miejscach w stolicy Dolnego Śląska. Wspólny spacer zaczynaliśmy zawsze na ulicy Szewskiej, gdzie jest miejsce szczególnie, symbol Śląska – Silesius Angelus, a dalej – wówczas pełen uroku – młyn Maria. Wreszcie ulica Katedralna.

I oto pewnego zimowego dnia 1972 roku Profesor zaczął opowiadać o rosyjskim badaczu peregrynującym po Śląsku, zarówno Dolnym, jak i Górnym, a nawet Opawskim. Zapewniał, że niewątpliwie chodził tymi samymi ulicami.

Bohaterem opowieści był Izmail I. Sriezniewski. On to w lipcu i sierpniu 1840 roku przebywał właśnie we Wrocławiu. Zaopiekował się nim Czech, Jan Ewangelista Purkyne. Wybitny histolog, no i twórca wrocławskiego Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego. Przez długich 27 lat pracował w tym mieście tworząc w swojej dziedzinie podwaliny silnego ośrodka naukowego.

Na trasie śląskiej podróży Sriezniewskiego było też Opole, Zgorzelec, Legnica. I oczywiście okoliczne wsie. Profesor Nasz był zachwycony postacią rosyjskiego badacza. Powiedział mi też, że notacje sławisty etnograficzne i językowe odkryła kilka lat wcześniej – to jest w latach 60. XX wieku – znawczyni literatury rosyjskiej Eugenia Kucharska. Owo odkrycie nastąpiło w Archiwum Literatury i Sztuki w Moskwie. Tam właśnie natrafiła na rękopis oznaczony numerem 436. Ale w czasie rozmów mój wykładowca nigdy nie wspominał, że wraz z tą badaczką, ale i językoznawcą Stanisławem Rospodem przygotowują się do wydania pracy o wspomnianym dialektologu. Niedługo po przedwczesnym odejściu Profe-

sora ukazała się ich wspólna praca zatytułowana: „**Wies śląska w 1840 r. Relacje z podróży naukowej I.I. Sriezniewskiego po Śląsku**”.

Był rok 1973. Niedługo później prof. Dorota Simonides pisała: „Obserwacje Sriezniewskiego dotyczące Opolszczyzny lat 1840 są znakomitym i gruntownie udokumentowanym źródłem obrazu wsi śląskiej. (...) czynią z jego relacji dokument niezmiernie ważny zarówno dla historyków, etnografów jak i językoznawców”. Dodajmy, że i dziś praca ta może też być interesującym źródłem inspiracji dla antropologów kultury, w tym zjawiska „ciągłości i zmiany”, „długiego trwania”. Na zajęciach wspomniana folklorystka usilnie zachęcała nas studentów do lektury tej książki.

Powróćmy jednak do rosyjskiego badacza. Urodził się w 1812 w Charkowie, a zmarł w 1880 roku, w Petersburgu. Sławista i etnograf, profesor uniwersytetów we wspomnianych miastach. Jego podróz na Śląsk w owym 1840 roku była fragmentem trzyletniej peregrynacji sławistycznej po wschodniej i środkowej Europie. Zaczęła się we wrześniu 1839 roku, a zakończyła się także we wrześniu, ale 1841 roku.

Na obszarze naszej ziemi interesował sławistę całokształt regionalnej kultury, a więc badał kulturę materialną, np. zabudowania chłopskie, w tym mieszkalne, ale i gospodarcze – czyli stodoły, stajnie, dalej odzież, czy wreszcie pożywienie. Analizował kulturę społeczną, czyli obrzędy i zwyczaje doroczne, w tym obrzęd „początku zimowego i letniego półroczia”, także obrzędowość rodzinną, tradycje weselne i pogrzebowe, nadto formy po prostu zwyczajowe, codzienne relacje międzyludzkie. No i wreszcie badał kulturę duchową, czyli zachowania religijne, system wartości, pieśni i opowieści folklorystyczne, znamienne teksty przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Intrygujące jest i to, że swoje badania Sriezniewski nie koncentrował tylko na realiach wiejskich, na tradycji chłopskiej i nie patrzył na te zjawiska tylko w kategoriach swoistego *preseans ethnographicum*. Badał z pasją realną „teraźniejszość”, etniczną i kulturową. Uzupełniał swoje obserwacje spontanicznymi wypowiedziami informatorów. Interesowały badacza inne środowiska społeczne, zwłaszcza miejskie. Zarówno te w realiach małych i średnich miast, jak i tych wielkich, wspomnianych wcześniej. Ale były też badane specyficzne wsie podmiejskie, jak w przypadku Wrocławia: Popowice, czy Osobowice.

Tak więc Sriezniewski obserwował nie tylko chłopów, ale i pracowników dyliżansów, listonoszy, urzędników pocztowych, kucharki, kelnerki, praczki etc. Swoje obserwacje, także swoiste „badania uczestniczące”, uzupełniał rozmowami z wrocławskim środowiskiem intelektualnym. Jest też w notacjach uwaga skoncentrowana na kwestiach etniczno-narodowościowych.

I tu znamienity cytat z listu badacza do swojej ukochanej matki. Otóż dnia 25 lipca pisał: „A więc jestem w Wroclawiu, w Prusach, tuż, tuż na granicy z Polską w każdym bądź razie na ziemi Polaków”. Rodzi się tu pytanie jak sławista pojmował terminy: „Polska” i „ziemia Polaków”. Warto też przytoczyć notacje Sriezniewskiego z Opola z 10 sierpnia. Oto spotkany Górnoślązak, wieśniak spod Strzeleca Opolskich, ubolewa nad wpływem nauczyciela na jego dziecko. Mówi: „Oto mój synek bębni „Fater unser” zamiast „Ojciec nasz”. Lecz cóż to za modlitwa? W ten sposób można więcej zgrzeszyć”.

PS Na zakończenie notacja Sriezniewskiego, w której zauważa brak miejscowych badaczy.

I pisze w niej, że ci „znaleźliby na Śląsku wiele ciekawego, za co serdecznie dziękowałyby im każdy...”. Czy przywołanie tych słów po 180 latach ma znów sens? ■

Jonathan Littell, „Łaskawe”

MARIAN SWORZEŃ

Autor, rocznik 1967, urodzony w Stanach, wychowany we Francji, zamieszkały w Hiszpanii jest dobrze znany polskiemu czytelnikowi. Oprócz „Łaskawych” wydano jego „Zapiski z Homs” o wojnie w Syrii, „Czecznię. Rok III”, także „Suche i wilgotne” o walońskiej dywizji SS i jej politycznym patronie, Leonie Degrelle`u.

Omawiana książka ukazała się u nas dwa lata po francuskim pierwodruku. Jej oryginalny tytuł – „Les Bienveillantes”, podobnie jak polski – nawiązuje do określenia mitycznych bogiń zemsty. Dedykacja dzieła – „Umarłym” – jest równie krótka. Utwór jest podzielony na siedem części noszących nazwy utworów muzycznych i dawnych tańców. Tytułowe boginie pojawiają się tylko jeden raz, mianowicie w ostatnim zdaniu książki: „Łaskawe wpadły na mój trop”. W roku 2016, podczas Festiwalu „Interpretacje”, lubelski teatr „Provisorium” wystawił w Katowicach przedstawienie „Punkt zero: Łaskawe” (jego reżyser, Janusz Opryński, otrzymał za to Laur Konrada) – widziałem ten przejmujący spektakl...

Opowieść jest monstrualną spowie-

dzią, wypowiedzianą na setkach stron przez Maximiliana Aue, właściciela firmy koronczarskiej. Być może ta wymagająca precyzji specjalność sprawiła, że opisał własny żywot misternie i dokładnie. Na naszych oczach rozwija się historia człowieka uwikłanego w materię zbrodni, tkaną przez niego osobiście. Krąg zła, w którym uczestniczył, jest niezmierny – obejmuje nie tylko najbliższą rodzinę (zabił matkę i ojczyzna), ale i tysiące ludzi, bo wiem uczestniczył w planowaniu ich egzekucji. Jest ścigany przez funkcjonariuszy policji śledczej, podejrzewających go (słusznie) o śmierć zadaną bliskim, zaś sama książka, niczym gigantyczna bogini zemsty, jest rejestrem jego śladów w szykowaniu zagłady dla ofiar nazizmu.

Aue, zanim został wysokim oficerem SS, mieszkał od roku 1924 we Francji (jego matka była Alzatką), tam ukończył liceum i studia na prestiżowej uczelni w Paryżu, potem około roku 1929 ściągnął do Niemiec, i, przystąpiwszy do NSDAP, podjął pracę w policji kryminalnej. Jego życie erotyczne, skrywane przed otoczeniem i przełożony-

mi, było naznaczone wieloma dewiacjami, pośród których wyróżniała się kazirodcza miłość do siostry.

Poczynając od wybuchu wojny z Rosją był rzucały w liczne miejsca toczącej się wojny. Nie był zwykłym żołnierzem, ale człowiekiem od planowania i organizacji. Rzadko kiedy działał sam, zazwyczaj był członkiem szerszego zespołu. Pierwszym przedsięwzięciem, w którym Aue uczestniczył, było przygotowanie mordy na społeczności żydowskiej w podkijowskim Babim Jarze. Lektura tych stron obrazuje trywialną codzienność zła – spotykają się ludzie, powierzono im zadanie, które trzeba rozwiązać, trzymając się narzuconych terminów i posiadanych środków – ustala się warianty działania, mówią o wszystkim, za wyjątkiem niegodziwości własnego postępowania. Dziś wiemy, że zbrodnia w Babim Jarze pochłonęła około 70 tysięcy ludzkich istnień, metodycznie zabijanych, grupa za grupą, w takim rozpisaniu, że nadchodzący kroczyli po ziemi kryjącej zwłoki pochowane przed chwilą.

Aue, absolwent ekonomii i doktor prawa, był również zaangażowa-

fot. arch.



ny w rozstrzygnięcie, czy zamieszkujący okolice Wilna Karaimowie podlegają ustawom antyżydowskim. W podobnej roli uczestniczył w ekspedycji na Kaukaz, zbierającej materiały o pochodzeniu tamtejszych ludów pod kątem zaleceń berlińskiego Urzędu Spraw Rasowych. Takie zaangażowanie wymagało różnorodnych konsultacji z centralą w Berlinie, pełnych biurokratycznych procedur. Aue stał się tam znany, bowiem opracował raport domagający się podwyższenia racji żywnościowych dla więźniów obozów koncentracyjnych, jako że wyliczył, iż pożytek z ich pracy, przez statystyczne wydłużenie życia, będzie dla Rzeszy opłacalny. Ów pomysł miał wrogów, powołujących się na konieczność wojennych oszczędności, niemniej był szeroko omawiany. Aue, choć zaznał z tej przyczyny różnych urzędowych utrapień, miał też chwile upojenia – jednym z nich było spotkanie z Himmlerem, od którego usłyszał: „Chcę praktycznych rozwiązań, a nie lamentów”. Otrzymawszy od niego szerokie pełnomocnictwa, mógł teraz podróżować od obozu do obozu.

I tak (vide rozdział zatytułowany „Menuet”) trafił do okupowanej Polski. Czytamy: „Polska nigdy nie będzie pięknym krajem, ale niektóre jej krajobrazy tchną pełnym melancholii urokiem. Potrzebowałem około pół dnia, żeby przejechać z Krakowa do Lublina”. Jak się dowiadujemy, od tej chwili (i do końca książki) towarzyszy mu stale kierowca i ordynans o nazwisku Piontek, pochodzący spod Tarnowskich Gór, mieszkający przed wojną w Polsce, potem zmobilizowany i przydzielony do policji w Berlinie. Aue, po szczegółowym oglądzie Majdanka, potem – jak wspominał – wolał „skupić się na obozach Górnego Śląska, „Ruhry Wschodu”: KL Auschwitz i jego licznych filiach”. Wedle jego słów: „z Lublina szycielki docierało się tam przez Kielce, a dalej przez przemysłowy region Kattowitz, teren, płaski, smutny, usiany kępami świerków albo brzoź, zniekształcony wysokimi kominami fabryk i pieców hutniczych, które, prężąc się ku niebu, wypływały ciemny gryzący dym. Już trzydzieści kilometrów przed Auschwitz na stanowiskach kontrolnych SS sprawdzano dokładnie nasze papiery”.

Na miejscu przyjął go komendant Höss, pokazując obóz i demonstrując przyjęcie jednego z transportów żydowskich. Otrzymał pokój w budynku biurowym, mógł spotykać się z wszystkimi. I faktycznie to czynił, rozmawiając ze wszystkimi... za wyjątkiem więźniów. Odwiedził też miasto („Wydawało mi się szare, przynębiające, zwarte, jak wszystkie stare niemieckie miasta na wschodzie, z kwadratowym ryn-



Jonathan Littell

kiem, dominikańskim kościołem o spadzistym dachu i z zamkiem miejscowych książy, który znajdował się przy wyjeździe”). Na tym jego pobyt bynajmniej się nie skończył, bowiem – jak stwierdził – „nie przyjechałem do Auschwitz, żeby filozofować”. Opisał swoje metodyczne wędrowki po podobozach: „Byłem w cementowni w Gollerschau, hucie żelaza w Eintrachthütte, kopalniach w Jawizowitz i w Neu-Dachs”. Te rozjazdy – aż pod Jaworzno i do Świętochłowic – kończyły się urzędowymi zapisami, skrzętnie gromadzonymi. To był rok 1943...

W kolejnych latach Aue był w innych obozach – w Sachsenhausen, Buchenwaldzie, Neuengamme, kontynuując swoje obserwacje. Trafił również na front w głębokiej Rosji. Kolejna wyprawa powiodła go na Węgry, gdzie od wiosny 1944 roku – pod wodzą Eichmanna – przeprowadzano deportację Żydów. Raporty tam sporządzone, tudzież różne pomysły na urządzenie Rzeszy po zwycięskiej wojnie, spowodowały, że Berlin dał mu kolejne zadanie. Było nim „zagwarantowanie priorytetowego charakteru ewakuacji siły roboczej, nadającej się do użytku i w dobrym stanie – mieli być eksploatowani w głębi Rzeszy”. Najkrócej rzecz ujmując, Aue miał zadbać, aby więźniowie byli użyteczni bez względu na obrót spraw wojennych (właśnie wtedy zaczęły się one znacząco zmieniać na niekorzyść Niemiec). Aue poświęca kilkadziesiąt stron wspomnieniom o swoim ówczesnym zapracowaniu, jako że z początkiem jesieni 1944 roku znowu wrócił do KL Auschwitz i krążył z Piontkiem po podobozach, analizując możliwe trasy wywozu więźniów. Mieszkał w tym samym, co poprzednio, biurowym baraku, skąd z oddali

widział góry („Gdy niebo się rozchmurzało, za geometrycznymi rzędami baraków pojawiała się niebieskawa linia Beskidów”). Należał do obozowej załogi; ostatniego dnia roku 1944 uczestniczył we wspólnym śpiewaniu kolęd. Na jego oczach zniszczono instalacje obozowe, w tym krematoria, a potem zarządzono wielki wymarsz, którego był i obserwatorem, i współorganizatorem. Czytamy: „W wioskach polscy wieśniacy, którzy wyczekiwali Rosjan, patrzyli w milczeniu na sunących więźniów, krzyczeli coś do nich w swoim języku. Strażnicy brutalnie odganiaли tych, którzy próbowali podać chleb lub jakąś inną żywność”. W Gliwicach przypatrywał się brutalnemu załadunkowi więźniów do wagonów. Ostatni raz powrócił do Auschwitz 25 stycznia 1945 roku, ale ponieważ Sowietci byli już blisko, ruszył stamtąd ponownie do Gliwic. Tam czekali na niego dwaj berlińscy śledczy, od lat prowadzący przeciw niemu śledztwo o matkobójstwo. Na skargę funkcjonariuszy Kripo („Służymy sprawiedliwości... I jesteśmy w tym osamotnieni”), odpowiedział ironicznie: „I żeby mi o tym powiedzieć, przyjechaliście aż na Śląsk?”.

Potem była już tylko droga do Berlina, nieustanne pisanie raportów o przebiegu ewakuacji, ostatnie tygodnie III Rzeszy, a po jej klęsce – przedostanie się do Francji, otwarcie interesu włókienniczego, rozwój firmy, dostarczenie starość, która byłaby spokojna, gdyby nie boginie zemsty... Niewidzialne i nieublagane. ■

Tłum. Magdalena Kamińska-Maurugon, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008, str. 1038

O Śląsku: str. 597–8, 628–53, 870–892

Do tajemniczej i dramatycznej legendy międzywojennych Katowic przeszły, wciąż jeszcze niedośpiwane dzieje sentymentalnej przygody Irmgardy i Karola, jaką tych dwoje przeżyło w popularnej cukierni domu handlowego przy Mickiewicza 2. Z jej okien roztaczał się nieco zagadkowy i egzotyczny widok na smukłą synagogę w mauretańskim stylu, kawiarnię „Turecką” oraz miejski teatr przysadzistą fasadą przypominający pruskie ujeżdżalnie koni.

Od 1922 roku cukiernię z czekoladery i kafehaussem w wiedeńskim stylu prowadził Ksawery Franciszek Liczbiński. Był Polakiem, synem Karola i Praksedy z Szymańskich. Urodził się w Poznaniu w 1879 roku. Do Katowic wraz z rodziną przybył z Wrocławia. Mieszkał tam od 1900 r. Młody, przystojny, zawsze życzliwie uśmiechnięty i znający kilka języków – wtedy właśnie – wybrał zawód konsjerżera. Pracował w luksusowych hotelach opodal największych dworców kolejowych stolicy dawnego Śląska. Tam też poślubił Marię z Fiskalów, przez ćwierć stulecia, towarzyszkę jego życia i matkę kilkorga potomstwa. Z urodzenia była Wrocławianką, a z pochodzenia Niemką. Zmarła przeżywszy lat 48–7 grudnia 1923 r.; niespełna rok po przeprowadzce do Katowic.

Jako gastronomik i społecznik, Liczbiński znalazł się w gronie założycieli spółki akcyjnej „Centra”. Od 1923 r. skupiała piekarzy, cukierników i restauratorów świadczących usługi w mieście i powiecie. Jej udziałowcy byli alochtonami narodowości żydowskiej i niemieckiej. Ważną postacią w zarządzie „Centry” był Alfred Lichtenstein, spadkobierca legendarnego Alberta Danzigers, protoplasty miejscowych cukierników, a także Juliusz Pokorny, nieprzerwanie od 1901– Starszy Cechu Piekarzy. Na prezesa wybrali Maxa Janotę, dyrektora katowickiego „Agrarbanku” i lidera frakcji niemieckiej w radzie miejskiej.

Pan Ksawery cieszył się sympatią i zaufaniem Katowiczian. W miejscowym Urzędzie rozjemczym dla spraw najmu był ławnikiem repre-



Dawniejsza Cukiernia Danzigersa w Domu Adolfa Froelicha, pocztówka Katowice 1905

Konrad Swinarski Czy mogło być inaczej?

HENRYK SZCZEPAŃSKI

zentującym lokatorów, a także członkiem Komisji Szacunkowej Urzędu Skarbowego.

Jako impresario najstarszej cukierni miasta, kontynuował fin de siècle'owe tradycje swego poprzednika – zanego konfiserera mistrza Danzigersa i dbał o atrakcyjność oferty. Należał do menadżerów pomysłów pamiętających, że „nie tylko kawą i ciastkiem, człowiek się pociesza”. W sali recepcyjnej aranżował i obsługiwał rauty, bankiety i zebrań jubilatów, hobbystów i kibiców katowickiej „Pogoni”. Podczas bardziej uroczystych na fortepianie grał jego syn Marian, wtedy uczeń szkoły muzycznej.

W długim ogonku do amerykańskiej, cukiernicznej kasy marki Patterson ustawiali się miejscowi załotnicy, aby zamienić kilka słów i uśmiechów z urodziwą kasjerką – Irmgardą, córką właściciela lokalu. Jej niemieckobrzmiące imię tłumaczyło się jako „można grodzodzierzyczyni” ale oni nazywali ją „czekoladową panną”. Urodziwa i zgrabna,

szczególnie abiturientom z pobliskiego gimnazjum klasycznego, przypominała olimpijską Hebe, która podawała do stołu na ucztach i sympozjonach swego ojca boskiego Zeusa, a w kawiarniach XIX-wiecznej Europy uchodziła już za patronkę rendez vous przy kawie.

Nowoczesna maszyna dodawała Irmgardzie urzędowej powagi, sympatycznie dopełnianej dziewczęcą uprzejmością i kokieterią. Lśniła tombakiem i stała. Była uroczym klejnotem sztuki i techniki. Jej obudowę zdobiły roślinne ornamenty, płaskorzeźby i fantazyjnie wygięte korbki. Obracała nimi jak katarynką. Po sali niósł się dźwięk dzwonka oznajmującego odbiór wpłaty, a wraz z nim chroboty i szelesty szufladek wypełnianych bilonem i banknotami.

Takie wrażenie miał Karol, gdy trafił tam po raz pierwszy.

Do Liczbińskiego przychodziło się, aby spotkać znajomych, zagrać w szachy albo obejrzeć wystawę butów i pantofelków ręcznie szytych przez okolicznych obuwników. Te



dla pań i panien bywały prawdziwymi dziełami sztuki!

Za przysmak *spécialité de la maison* uchodziła gorąca czekolada, a do niej pyszne *petit beurre'y* wyrabiane i wypiekane ściśle według francuskiej receptury.

Wróćmy jednak do emocjonującej, romantycznej legendy!

W pierwszym, radosnym jej epizodzie, krótko przystrzyżona (zgodnie z fryzjerskim żurnalem mód), czarująco uśmiechnięta Irmgarda, obsługująca kasę popularnej cukierni, wpada w oko Karolowi, który uiszcza należność za filiżankę gorącej czekolady i lody z ciasteczkami. Płaci i dodaje, że to wszystko smakuje jak na Polach Elizejskich. Ona również, nie pozostaje obojętna na prezencję i afirmujące spojrzenia przystojnego trzydziestolatka w oficerskim mundurze z dystynkcjami majora Wojska Polskiego. Wypytuje skąd przybywa, a on, nieco onieśmielony mówi, że właśnie wraca z Paryża, gdzie słuchał wykładów na Wyższej Szkole Wojennej.

Gdy wyjechał, wyrzucała sobie:

– Dlaczego nie zapytałam jak to się stało, że przyjechał do Katowic?

Potem obojgu dłużyły się dni i noce wypełnione tęsknotą i jeszcze trudniejsze do zniesienia – samotne tygodnie słonecznych wakacji 1926 roku.

Końcowa, smutna scena, melancholijnej przygody, rozgrywa się nad symbolicznym grobem Konrada Swinarskiego, ostatniego potomka Irmgardy i Karola – sławnego reżysera europejskich i rodzimych scen teatralnych, o którym Anna Polony mawiała:

„Miał oczy wielkie, migdałowe... Kiedy spojrział na człowieka, to jak-by przewiercał”.

Pod bezchmurnym niebem

Irmgarda i Karol pobrali się w długim karnawale 1927 roku. Przed ołtarzem kościoła Mariackiego w Katowicach stanęli 12 lutego, a uroczystości weselne fetowali w salach recepcyjnych cukierni Liczbińskiego. Świadkami małżeńskiej przysięgi byli: porucznik Wojska Polskiego Józef Liczbiński – stryj ze strony panny młodej, a ze strony pana młodego, jego wujek Wacław Cybiński, drogerzysta.

Karol Henryk Swinarski – lat 36 – urodził się w Poznaniu. Pochodził ze starej szlacheckiej rodziny od wielu pokoleń zadomowionej w Wielkopolsce. Swinarscy pieczętowali się herbem Poraj. Henryk – ojciec Karola – nie był już panem na zagrodzie, ale w księgach adresowych Poznania z przełomu XIX i XX wieku wciąż jest tytułowany „von Swinar-



Wrocław, kamienica Róg Lubuskiej i Skwierzyńskiej rok ok. 1915

ski”. Wstąpił na służbę do kolei żelaznych. Mimo młodego wieku został asystentem stacjomistrza czyli dyżurnego ruchu na dworcu – Poznań Główny. Wraz z żoną Anielą z Cybińskich zamieszkał opodal sławnego foksalu – jednego z pierwszych na ziemiach polskich – na Starym Mieście, w kamienicy przy ulicy Małej Rycerskiej 13 (obecnie: F. Rajtaczaka). Kilka domów dalej władze miasta wybudowały „Wieżę Rycerską”, XIII wojennych bastion stolicy Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

W jej cieniu Karolowi upłynęły lata szkolne. Tutaj się urodził w 1890 roku i tutaj przyszła na świat jego młodsza siostra Wanda. Po latach wspominali dziecięce przejażdżki pierwszym w Poznaniu konnym tramwajem, który w pobliżu przy ulicy św. Marcina miał przystanek, a który kursował aż do stacji kolei żelaznych, gdzie pracował ich tata.

W Katowicach Karol miał rodzinę. Przy ulicy Zielonej mieszkał wujek Wacek, brat jego mamy. Był właścicielem składu drogerijno-aptecznego.

Ledwie Karol zaliczył dwa semestry studiów agronomicznych, Rzesza niemiecka uznała, że dojrzał do noszenia broni, zamknęła junaka w koszarach i wcieliła do „Reichswehry”. Ku chwale Wilhelma i cesarskiej korony, w iperytowym piekle nad Somą walczył przeciwko Francuzom. Był dwukrotnie ranny. Ze stopniem sierżanta fizylierów wrócił w rodzinne strony. Zaciągnął się do antyniemieckiej konspiracji, a wkrótce potem do powstańczych sił zbrojnych.

Jego wybranka Irmgarda Maria miała o 11 wiosen mniej niż jej mąż. Była pierworodną córką Ksawerego Franciszka Liczbińskiego i rodowitej Niemki – Marii z Fiskalów. Gdy przyszła na świat mieszkali we Wrocławiu przy ulicy Żytnej (wtedy: Friedrichstrasse 8). Potem wynajęli mieszkanie na reprezentacyjnym, pierwszym piętrze mieszczańskiej

kamienicy żydowskiego rentiera Markusa Jacoba. Na parterze mieściła się restauracja pana Czerwonki i gabinet technika dentyścycznego o nazwisku Furman.

Pięciokondygnacyjna kamienica znajdowała się w granicach dzisiejszego Osiedla Powstańców Śląskich, opodal miejsca, w którym obecnie wznosi się niebosiężny „Sky Tower” – najwyższy polski wieżowiec.

Zgrabna, secesyjna budowla – rodzinne gniazdo Marii i Ksawerego – stała u zbiegu dzisiejszej Lubuskiej i Skwierzyńskiej. Tam przyszło na świat młodsze rodzeństwo Irmgardy. Ich kamienica znajdowała się w pół drogi pomiędzy dwoma dworcami kolejowymi – Głównym i Świebodzkim.

Od 1922 roku, panna Liczbińska mieszkała w Katowicach, gdzie jej tata otrzymał koncesję na prowadzenie renomowanej cukierni vis a vis teatru. Z zawodu był hotelarzem, a z pasji społecznikiem i honorowym członkiem elitarnego Związku Weteranów Powstania Wielkopolskiego, któremu patronował Ignacy Jan Paderewski.

Wkrótce po ślubie nowożeńcy wyjechali tam, gdzie Karola kierowały sztabowe rozkazy. Miodowe miesiące spędzali w Warszawie. Mjr Swinarski należał do kadry szkolącej oficerów sztabowych; pracował na stanowisku kierownika referatu w Departamencie Piechoty Ministerstwa Spraw Wojskowych.

W carskiej fortecy nad Narwią

W 1928 roku przyjechali do Różana. Dostali mieszkanie w oficerskiej wili z czerwonej cegły. Stała w pobliżu koszar WP i fortyfikacji dawnej twierdzy jaką na początku XX wieku, Rosjanie wybudowali w obawie przed inwazją Niemców. Swinarski był tam komendantem pierwszej polskiej Szkoły Podchorążych piechoty. Przełożeni cenili go jako dowódcę:

„Wyrobiony poważny charakter. Zajmuje się szkoleniem i administracją baonu z całym oddaniem i stara się o usunięcie braków panujących jeszcze w tej nowej jednostce. Podczas ćwiczeń międzywizyjnych dowodził baonem swoim dobrze. Wpływ na korpus oficerski bardzo dobry. Zwraca mniej uwagi na stronę formalną wojska.” – w 1928 roku pisał o nim generał dywizji Kazimierz Dzierżanowski, dowódca Okręgu Korpusu nr VII.

Honory i obowiązki pani domu przypadły w udziale Irmgardzie. Jej domeną były dzieci, sypialnia, kuchnia i modlitwy. W różańskim kościele św. Anny ochrzciła obydwu synów urodzonych w Warszawie pod opieką wojskowych położników. Swemu beniaminkowi wybrali dwa imiona Konrad i Ksawery; to drugie po dziadku Liczbińskim. Uśmiecha się do nas z albumowej fotografii. Wraz ze starszym braciem Henrykiem, który jako pierworodny otrzymał imię po dziadku Swinarskim, siedzi na kolanach ojcowskiego ordynansa. Rodzice przysiedli obok, na kocu.

Pierworodny Henryk przyszedł na świat 18 listopada 1927 roku, a młodszy Konrad, 4 lipca 1929.

Sympatyczne obrazy z życia prywatnego Swinarskich zachowały się we wspomnieniach pani Zofii z Pestrakiewiczów Purzyckiej, pokojówki pułkownikowej Swinarskiej. Przetwały w reportażu Marka Zagańczyka „Opowiadane z pamięci” (Teatr nr 4/5 1992).

„Konrad był bardzo bystry jako dziecko. A Henryk powolny, ciężko myślący, podobny do Irmgardy. Szczególnie Konrad był bardzo serdeczny, wesoły, dał się każdemu lubić. Henio był bardziej zamknięty w sobie” – wspomina Zofia Purzycka.

„Talent Konrada z ojca szedł. Pułkownik był bardzo bystry. Wszystkim się interesował. Miał szeroką wiedzę. Języki znał. Francuski. Umiał słuchać, umiał opowiadać” – dodaje pani Zosia.

„Pułkownik był głową domu. Stanowczy dla chłopców, ale kochał ich bardzo. Pani Purzycka nie pamięta, żeby któryś bał się ojca. Bali się matki”.

„Pamiętaj, żebyś mi synów na dobrych Polaków wychowała” – umierając, mówił Karol do Irmgardy.

Jako gorliwa katoliczka zawsze miała przy sobie niemiecką książeczkę do nabożeństwa. Chętnie zajmowała się gotowaniem. Dbała o porządek w mieszkaniu i garderobie. Gazety, które czytała, to była przeważnie moda kobieca, robótki ręczne, albo kuchnia, konfitury, przepisy.

W wolnych chwilach zabierała panią Zosię na korty tenisowe, gdzie rozgrywały kilka setów. Spacerowała z dziećmi po lesie. Dla swoich chłopców była surowa. Za nieposłuszeństwo karała uderzeniem w twarz, po którym pozostawały siniaki.

W domu mówiło się po polsku, chłopcy w ogóle nie znali niemieckiego.

Niebawem szczęśliwa rodzinka, zakwaterowała w Równem na dawnym Wołyniu, a wreszcie w Sanoku, gdzie Karol Swinarski uzyskał awans do stopnia podpułkownika oraz na stanowisko dowódcy 2 Pułku Strzelców Podhalańskich.

Wraz ze Swinarskimi wciąż wędrował ordynans Jan. Pokojówka pani pułkownikowej zapamiętała, że był góralem z Podtatrza. Wszyscy go lubili. Gdy odbył służbę zasadniczą, pan Swinarski zatrzymał go na posadzie i osobiście płacił wynagrodzenie. Pani Swinarska ufundowała Jaśkowi liberię i odtąd wyglądał jak magnacki urzędnik.

Pod ciemną gwiazdą

Rok 1933, w którym płk Swinarski znalazł się na szczycie kariery zawodowej, dla niego, dla jego żony oraz ich małoletnich synów, był jednocześnie porą tragicznych wydarzeń.

We wrześniu, w Katowicach rozchorowała się Karolina, młodsza siostra Irmgardy. Cierpiała z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego. Trafiła do szpitala. Po kilku tygodniach, wkrótce po operacji zmarła. Miała 22 wiosny. Była oczkiem w głowie pana Ksawerego, któremu od wielu miesięcy dokuczały ataki artretyzmu i bóle serca. Śmierć córki przyspieszyła zgon ojca. W krótkim czasie pogłębiły się jego dolegliwości i niedożywienie. Pewnej jesiennej nocy, 25 października 1933 r., gdy stanął przy oknie aby odechnąć świeżym powietrzem, stracił

Pogrzeb ś. p. Franc. Liczbińskiego

W dn. 28 bm. odbył się w Katowicach z kostnicy szpitala miejskiego pogrzeb znanego obywatela i patriotę polskiego ś. p. Fr. Liczbińskiego. Kondukt żałobny prowadził i modły żałobne odprawił ks. prałat Szramek. Przed trumną kroczyła orkiestra huty „Balladon”, bractwo kurkowe, delegacje Zw. Powstańców i Wojaków, Zw. Powst. i b. Żołn. i Zw. Hallerczyków z 8 sztandarami, delegacje Zw. właśc. kawiarni, Zw. prac. gastronomicznych itp. Poza tem nieśiono przed trumną poduszkę z odznaczeniami zmarłego.

Trumna z zwłokami złożono na cmentarzu przy ul. Francuskiej, gdzie nad grobem ks. prał. Szramek zęgnął zmarłego, wspominając o jego zasługach dla dobra sprawy narodowej i zaletach osobistych. Niech odpoczywa w pokoju wiecznym!

Pogrzeb Franciszka Liczbińskiego relacja
Polonia nr 3253 z 29 października 1933

przytomność i z wysokości mieszkania na piętrze, runął na kamienny trotuar przed swoją kawiarnią (relacja: Górnoślązak nr 247 z 26 października 1933).

Ksawery Franciszek został pochowany na kwaterze, w której od 1923 roku spoczywały prochy jego żony Marii z Fiskalów, a od kilku tygodni również – najmłodszej córki Karoliny.

Niespełna rok później, 9 czerwca 1934 roku, przeżywszy lat 40, niespodziewanie umiera stryjek Irmgardy – porucznik rezerwy Józef Liczbiński, waleczny powstaniec, dowódca zwycięskich batalii w wojnie polsko-bolszewickiej, a potem ofiary aktywiście kombatanckich organizacji zrzeszających weteranów wielkopolskiej i śląskiej insurekcji. Powszechnie znany i szanowany piastował godność komendanta śląskiego oddziału „Związku Uczestników Powstania Wielkopolskiego 1918–1919”. Prezesem tej organizacji był Alojzy Gawrych, as wywiadu, człowiek zaufania i prawa ręka Korfanteo w czasach powstań i plebiscytu śląskiego. Wciąż energiczny i zaradny Józef mieszkał w Katowicach. Jako skromny rezydent zajmował kilka pokojów sąsiadujących z apartamentem starszego brata Ksawerego w domu Rynek 1. Wspólnie z nim, jako kierownik prowadził zakład gastronomiczny.

Sp. por. rez. Józef Liczbiński

W sobotę zmarł w Katowicach sp. Józef Liczbiński, porucznik rezerwy, kawaler krzyża „Virtuti Militari”.

Ś. p. Józef Liczbiński był bratem niedawno tragicznie zmarłego właściciela cukierni Franciszka Liczbińskiego. Należał on do tych zasłużonych obywateli, którzy oddali cenne usługi Ojczyźnie, chociaż żył w zaciszu.

Zmarły należał od roku 1915 do tajnej organizacji bojowo - niepodległościowej „Unia” w Poznaniu. Brał udział we wszelkich działaniach spiskowców. Później należał do P. O. W. przydzielony do Wydziału Wywiadowczo-Wykonawczego, w którym to oddziale brał udział w niebezpiecznych wyprawach przeciwko Niemcom i później w Powstaniu Wielkopolskim. W uznaniu męstwa mianow. został oficerem i walczył pod Wilnem w słynnym „Baonie Śmierci”.

Ś. p. Józef Liczbiński należał do pierwszych kawalerów krzyża „Virtuti Militari”, którym odznaczony został na froncie bolszewickim. Brał on również udział w III Powstaniu Śląskim.

Po wojnach wystąpił z wojska i osiadł w Katowicach, gdzie czynnym był w Zw. Powstańców Wielkopolskich.

Requiescat in pace!

Por. Józef Liczbiński Notka pośmiertna Zmarł
9.06.1934

cdn. (w numerze sierpniowym „Śląska” publikujemy dalszą część tej niesamowitej historii)

Gwatemala. Miejsce, gdzie narodziła się tęcza

Fragmety książki *Kraina wielu bogów*

IWONA ŻELAZOWSKA

Gwatemala jest sercem kultury Majów. I chociaż terytorium cywilizacji Majów zajmuje 320 000 km² i rozpościera się od zachodu Hondurasu poprzez Salwador, Gwatemalę, Belize aż po stan Chiapas i półwysep Jukatan w Meksyku, to jednak tutaj, w Gwatemali wszystko się zaczęło. Tutaj dawni Majowie zakładali swoje pierwsze osady, a miasteczko Iximché uważane jest za najstarsze, odkryte na terytorium Ameryki.

Dziś Gwatemala jest jednym z najbardziej „etnicznych” krajów Ameryki. Oznacza to, że Indianie stanowią ponad 50% jego mieszkańców. I chociaż my, z pełną życzliwością mówimy o nich Indianie, to jednak dla nich słowo Indio jest określeniem obraźliwym, oznaczającym kogoś gorszego, niedouczonego, głupiego. Upokarza ich. Przypomina o trudnej i bolesnej historii. Sami nazywają się Naturales. Naturales brzmi dumnie i oznacza kogoś, kto od pokoleń pochodzi stąd; oznacza czystość etniczną przekazywaną z pokolenia na pokolenie, zachowanie dawnej kultury i języka. I choć od kolonizacji minęło prawie 500 lat, to chrześcijańscy święci nadal traktowani są na równi z bogiem kukurydzy, a ochrztenie dziecka w porządku katolickim wcale nie wyklucza błogosławieństwa szamana... Ten świat jest po prostu krainą wielu bogów...

Chichicastenango

Chichi, bo tak mówią o nim w skrócie mieszkańcy, na co dzień jest normalnym miasteczkiem indiańskim, które w każdy czwartek i w każdą niedzielę zmienia się w wielkie, olbrzymie, gigantyczne targowisko. Jest to największy targ obu Ameryk. Przyjeżdżają tutaj nie tylko mieszkańcy całego regionu, ale także spoza jego granic; Majowie z plemion Quiché, Kaqchikel, K'ekchi, Mam... rozbrzmiewają różne indiańskie języki, bo każde plemię ma swój język. A jest ich w Gwatemali aż 23 odmiany i dialekty. Przyjeżdżają też turyści z całego świata. Chichi to po prostu istna Wieża Babel.

Jest goro. W koło gwar, tłum i burza kolorów. Rozbrzmiewają klaksony samochodów. W „korkach” tłoczą się kolorowe chickenbussy i tzw. colectivos, czyli furgonetki załadowane pasażerami po brzegi. Niekończące się labirynty straganów stoją po obu stronach wąskich uliczek. Każdy chce coś sprzedać. Każdy też chce coś kupić. Tkaniny mienią się wszystkimi kolorami. Barwne obrusy, poncha, ręcznie tkane i haftowane *huipiles*, czyli indiańskie narzutki, malowane garnki, gdzieś dalej drewniane maski, biżuteria z naturalnych kamieni. Jest też mała galeria sztuki, w której młody Indianin prezentuje swoje obrazy. Obok kobiety układają na straganie dorodne owoce, a mężczyźni uginają się pod workami kukurydzy, które noszą na plecach. Ich stroje są piękne, zdobne, bogato haftowane. Różnią się drobiazgam; wzorem, motywem haftu lub zestawieniem kolorystycznym. To pozostałość z epoki kolonialnej. Hiszpanie, by utrzymać ład i porządek ujednoliciли stroje grup etnicznych, a nawet poszczególnych wsi i regionów. Dzięki temu uzyskali pełną kontrolę nad migracją ludności, która mogła doprowadzić do buntu i rewolucji.

Ja i mój mąż odłączamy się od grupy. Czujemy się jakoś nie najlepiej. Mamy problemy żołądkowe. Wchodzimy do przydrożnego baru, wypijamy coca-cola jedną, później drugą... Ciekawość tego miejsca jednak jest tak duża, że postanawia-

my wyjść i zwiedzić targowe zaułki. Wędrujemy w labiryncie wąskich uliczek wypełnionych wrzawą, ludźmi i towarami. Mijamy kolejne stragany. Przy niektórych zatrzymujemy się, by zobaczyć kolorowe tkaniny i barwne wyroby artystyczne. Skracamy w lewo i dochodzimy do rynku. W natłoku ludzi i towarów nie sposób określić jego wielkości. Wchodzimy w jego ciasną przestrzeń i nagle naszym oczom ukazuje się widok po prostu surrealistyczny. Zamieram w bezruchu by nie spłoszyć tego obrazu..., by nie okazał się wizją ulotną, która zaraz zniknie.

Widzę jak nad tym całym targowym zgiełkiem, góruje kościół. Jego kształt nierealnie majaczy wśród mgieł i niczym w marzeniu sennym, wylania się z wiszących nad nim dymów. Kościół jest biały. Stoi wysoko. Prowadzą do niego kamienne schody. Jest ich 18. Na nich malowniczo stoją indiańskie kwaciarki spowite w kwiaty. Sprzedają pęki chryzantem, bukiety mieczyków i naręcza kalii. Zapach kwiatów miesza się z zapachem palonego kopalu. Do błękitnego nieba unoszą się wonne dymy ognisk palonych na kamiennych stopniach kościoła. To modlą się szamani.

Te stare, kościelne stopnie to schody dawnej piramidy. Na ich szczycie stała niegdyś świątynia Majów. Tam kapłani odprawiali modły i składali bogom ofiary. Później, Hiszpanie, zburzyli świątynię, a na jej miejscu wybudowali katolicki kościół... kościół świętego Tomasza, u stóp którego właśnie stoimy. Zamieszkał w nim co prawda nowy bóg, ale duchy dawnych bogów pozostały...

Nieśmiało wchodzimy na kościelne stopnie. Przechodzimy obok rozmodlonych szamanów, mijamy indiańskie kobiety z kwiatami. Rozglądam się dookoła. Robię zdjęcia. Przypuszczam, że fotografowanie wnętrza kościoła będzie zakazane. Stojąca obok mnie Indianka potwierdza moje obawy. Po krótkiej pogawędce okazuje się, że ma na imię Marcela, jest przewodniczką i chętnie oprowadzi nas po kościele. Wchodzimy do środka. Wnętrze kościoła jest także spowite w dymie... w dymie palonych świeczek i ognisk ofiarnych. Panuje zaduch. Pachnie stęchlizną. Nie ma tu ławek ani krzeseł. Na podłodze widnieją kamienne kręgi usytuowane w różnych częściach kościoła. Jest ich dziewięć. To dawne ołtarze Majów. Ponad nimi, w kłębach dymu, odprawiają swoje rytuały współcześni szamani. Zawieszani pomiędzy niebem a ziemią, niczym dawni kapłani, modlą się, nawiązują kontakt z bogami i duszami zmarłych przodków.

Mijamy kolejne ołtarze. Tlą się w nich ognie palonych ofiar. Szamani wykonują tajemnicze gesty i ruchy, wymawiają zaklęcia...

– Szamani – mówi moja przewodniczka – mają moc nadprzyrodzoną i dar porozumiewania się ze światem pozaziemskim. Odprawiają modły w różnych intencjach. I tak na przykład, ta stara kobieta z długim siwymi włosami, zapala świeczki w kręgu pod krzyżem, to znaczy, że w czyjejś intencji przeprasza za grzechy i prosi o ich wybaczenie. Tam obok klęczy mężczyzna – Marcela nieco przycisza głos – w kamiennym ołtarzu ustawia płonące świeczki i układa drobne żółte kwiatki. To aksamitki meksykańskie o niezwykle intensywnym zapachu, kwiaty, którym Indianie od najdawniejszych cza-



sów przypisują pozaziemską moc. Mężczyzna polewa je alkoholem i zapala. W ten sposób nawiązuje kontakt z duchami przodków. Duchy żywią się zapachami, a więc aby duchy przywołać i zachęcić do współpracy trzeba te zapachy umiejętnie wznieść.

– Inni szamani – Marcela dodaje po chwili – modlą się o zdrowie, szczęśliwe związki, dobre biznesy...

Dym wchodzi mi do oczu i podrażnia gardło. Czuję się jak w letargu. Jestem oszołomiona wszystkim, co tutaj widzę. Podnoszę nieco głowę, opuszczoną do tej pory nad majańskimi ołtarzami i... dopiero teraz zauważam ołtarz główny wyłaniający się spośród oparów dymnych. Podchodzę bliżej. Ołtarz jest duży, taki sam jak w naszych kościołach katolickich. Po bokach stoją figury katolickich świętych, przed nimi klęczą ludzie i gorliwie wypowiadają słowa modlitwy. Jak widać, przyszedli tu do wielu bogów. Najpierw zapalili świeczki i pochyleni nad majańskimi ołtarzami modlili się do dawnych bogów, bogów swoich przodków, teraz, klęcząc przed ołtarzem głównym, proszą nowego boga o łaskę, a katolickich świętych o przychylność i wsparcie. Marcela prowadzi nas do wyjścia. Po drodze mówi, że w każdą niedzielę odbywają się tutaj trzy msze święte... takie normalne, katolickie. Od pewnego czasu – dodaje – celebrowane są w języku Quiché. Dawniej były odprawiane po hiszpańsku, ale ludzie niewiele z tego rozumieli.

Wychodzimy z kościoła bocznym wyjściem...

– Turystom – mówi Marcela – nie wolno wchodzić do kościoła, ani też z niego wychodzić, głównymi schodami. Są one zarezerwowane wyłącznie dla Majów.

Stoimy na małym przykościelnym placu. Marcela zachęca nas do zwiedzenia klasztoru dominikanów, który bezpośrednio sąsiaduje z kościołem Św. Tomasza. W jego archiwach odnaleziono Popol Vuh – świętą księgę narodu Quiché, narodu należącego do cywilizacji Majów. Popol Vuh – tłumaczy – inaczej Księga Wspólnoty, Księga Rady, zwana też Rękopisem z Chichicastenango, to Biblia Majów, poetycka opowieść zawierająca elementy historii, a także mitologii narodu Quiché. Zasadniczo składa się ona z trzech części. Pierwsza opisuje akt stworzenia świata, zwierząt i człowieka. Druga, to historia bohaterskich bliźniaków Hunahpú i Xbalanqué oraz ich przygody w podziemnym świecie Xibalbá. Część trzecia zawiera opowieść o królestwie Quiché, o pochodzeniu i wędrówkach ludów indiańskich w Gwatemali, a także o hiszpańskim podboju. Księga ta jest bezcennym zabytkiem literatury prekolumbijskiej. Została napisana w latach 50. XVI wieku przez anonimowych autorów. Po wielu latach, w 1701 roku, odnalazł ją w kościele świętego Tomasza hiszpański dominikanin Francisco Jiménez, który był proboszczem w Chichicastenango. W pełni docenił to dzieło, wykonał transkrypcję tekstu na język hiszpański, a oryginał zwrócił Indianom Quiche...

Marcela, widząc, że propozycja ta nie wzbudza zbyt dużego zainteresowania, zaczyna opowiadać o jakimś innym, dziwnym, miejscu, do którego turyści docierają bardzo rzadko. Pascual Abaj, czyli Święta Góra Majów. Ponoć dwadzieścia minut piechotą od kościoła. Moja twarz nabiera rumieńców, oczy zaczynają błyszczeć... Mamy niewiele czasu. Za godzinę spotykamy się z naszą grupą. Marcela szybko proponuje rozwiązanie. Dzwoni po „tuk tuka”, czyli bardzo popularny tutaj, mały, czteroosobowy turystyczny samochodek. Zjawia się natychmiast. Jedziemy wąskimi uliczkami, mijamy stragany. Po drodze spotykamy męża Marceli, który podobnie jak ona jest licencjonowanym przewodnikiem. Właśnie zastaliśmy go w pracy. Oprowadza grupę turystów po Chichi. Za chwilę podbiega do nas dziewczynka. Ma około dziesięciu lat. Wsiada do naszego tuk tuka. To córka Marceli. Ona też pracuje. W dni targowe sprzedaje drobiazgi tkane wieczorami przez mamę; zakładki do książek i rękawiczki kuchenne w postaci koguta. Marcela ma pięcioro dzieci. Wszystkie chodzą do szkoły, mimo iż w Gwatemali nie jest to obowiązkiem. Najstarszy syn ma piętnaście lat.

Wyjeżdżamy poza miejską zabudowę. Wsiadamy u podnóża góry. Idziemy na skrót. Przechodzimy przez pola uprawne kukurydzy. Wąską drożką wspinamy się pod górę. Podejście jest dość strome. Do tego dochodzi upał... Marcela, zaczyna opowiadać o miejscu do którego zmierzamy.

Wszystkie chodzą do szkoły, mimo iż w Gwatemali nie jest to obowiązkiem. Najstarszy syn ma piętnaście lat.

Pascual Abaj

– Pascual Abaj – mówi Marcela z przejęciem – to Święta Góra Majów. To Wzgórze Świętego Kamienia. Teraz pozostawiamy nowych bogów na dole, bo tam, na górze mieszkają tylko pradawni bogowie.

Lekko zdyszani wchodzimy na szczyt góry. Przed nami rozciąga się rozległa polana porośnięta trawą, krzakami i drzewami, które przysłaniają horyzont i nieco ograniczają widok na wszystko, co rozpościera się dookoła. Na tej rozległej polanie stoi duży, kamienny ołtarz okopcony dymami ognisk palonych przez stulecia: na środku tli się żar ognia palonego przed chwilą, dookoła ustawione są majańskie krzyże i bukiety kolorowych kwiatów.

– To święta figura – mówi Marcela i wskazuje nam pokazanych rozmiarów głaz stojący pomiędzy kwiatami. Ma około metra wysokości. Wyraźnych rysów twarzy nie widać. Raczej trzeba się ich domyślać.

– To figura boga Huyup Tak'ah – dodaje – patrona płodności.

Kiedyś figura ta stała w dawnej świątyni Majów. Po hiszpańskiej inwazji, Indianie chroniąc ją przed zniszczeniem, w 1540 roku wykradli ją i ukryli przed najeżdżącą głoszącym wiarę w nowego boga. Zaraz potem, Hiszpanie, zburzyli majańską świątynię, a na jej miejscu wybudowali osadzony na kamiennych stopniach piramidy kościół św. Tomasza, który zwiedzaliśmy przed chwilą. Majowie przez 10 kolejnych lat skrzętnie ukrywali figurę, by w końcu, pod osłoną nocy, w wielkiej tajemnicy, przeniesić ją na górę Pascual Abaj.

– Pascual Abaj – kontynuuje Marcela – dla Majów jest miejscem absolutnie świętym... To miejsce magii. Tutaj składane są ofiary ze zwierząt. Czasem nawet odprawiane są tzw. czarne msze.

Wolnym krokiem przemierzamy polanę. Rozglądam się dookoła i za wszelką cenę chcę zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Łapczywie chłonę obrazy. Na kamiennych kręgach, otaczających ołtarz główny, szamani odprawiają swoje obrzędy. Pałą ogniska. Składają ofiary... Podobnie jak tam na dole, w kościele, wprawnymi ruchami rozganiają słupy dymu, które w kształcie pióropuszy rozchodzą się na wszystkie strony świata. Modlą się, a ich modlitwy razem z dymem unoszą się do nieba. Obok jakaś kapłanka rozsypuje na ziemi biały pro-

szek... tworzy nim wzór na kształt spirali... zapala świeczki... chodzi wokół swojego ołtarza... pochyla się nad nim... wymawia jakiegoś zaklęcia...

Na polanie, pod drzewem siedzi grupa Indian. Kobiety, mężczyźni, dzieci. Koło nich leżą bagaże i tobołki z jedzeniem. Jedzą, piją, rozmawiają. Marcela mówi, że na pewno przybyli tutaj z daleka. Indianie przyjeżdżają do Chichicastenango zazwyczaj na kilka dni. Przychodzą na targ i na modlitwę. Kupują, sprzedają, modlą się, wracają na targ, by później znowu powrócić tutaj, na górę świętego kamienia.

Dla nas, niestety, także nadeszła pora powrotu do centrum Chichi. Marcela wzrokiem szuka dróżki, którą będziemy mogli bezpiecznie zejść. Szybkim krokiem zbiegamy.

– Skąd biorą się szamani – pytam. Skąd ktoś wie, że jest szamanem? Może i ja jestem szamanką? – żartuję.

–...Ha ha ha – śmieje się Marcela. – To starzy szamani wyznaczają swoich następców. Tak jest od zawsze. Już w najdawniejszych czasach nowonarodzone dziecko otrzymywał z rąk kapłana swoje „przeznaczenie”. Decydował o tym dzień narodzin, który zgodnie z Kalendarzem Majów wyznaczał zadania na całe życie, definiował charakter osoby, naturalne talenty, wady i zalety. Każdy dzień miał przypisany także konkretny zawód. To przetrwało do dziś. Dzisiaj katolicki chrzest jest poprzedzony obrzędkiem dokonany przez szamana. To on, zgodnie z kalendarzem Tzolkin, oznajmia jakie będzie przeznaczenie dziecka: rolnik, handlarz czy kolejny szaman. Gdy dziecko podrośnie, uczęszcza na nauki do swojego mistrza, a z czasem rozpoczyna własne praktyki.

– Na czym polegają owe nauki? – pytam. Marcela uśmiecha się tajemniczo i widzę, że jest trochę zakłopotana. Po chwili namysłu odpowiada:

– To długa droga... Najpierw nauczyciel musi poznać swojego ucznia... musi poznać jego żężyzną fizyczną i moc duchową, jego psychiczne predyspozycje i skłonności. Później uczeń przechodzi kolejne stopnie wtajemniczenia: uczy się przede wszystkim szacunku do rytuału, a także wielkiej odpowiedzialności... odpowiedzialności za wszystkie czynności poprzedzające rytuał, za jego przebieg i skutki. Poznaje jego znaczenie i moc. Uczy się także rozpoznawania i interpretowania znaków, zjawisk, których podczas swych duchowych podróży stopniowo doświadcza. Musi też zrozumieć, na czym polega mądre zarządzanie energią..., bo cała mądrość świata ukryta jest w Naturze. Ten świat jest częścią nas i odwrotnie... my jesteśmy częścią tego świata. Oprócz ciała jesteśmy energią. Ta energia, to właśnie magia.

– To długa droga – powtarza Marcela. – W tej drodze bardzo ważna jest też pierwsza „choroba szamańska”... W pewnym momencie przyszłego szamana wywozi się w odosobnienie. Tam zgodnie z rytuałem przygotowuje on pod kontrolą swojego mistrza – nauczyciela, wywar z ziół, po spożyciu którego rozpoczyna swoją duchową podróż trwającą nawet kilka dni. Wtedy doświadcza on pierwszego prawdziwego kontaktu ze światem duchów, które sprawdzają jego „odpowiedniość”. Sprawdzają, czy nadaje się do pełnienia roli szamana. Niektórzy nie przeżyją tej próby; ci, którzy przeżyją zostają szamanami...

– Zawsze myślałam, że szamanem może być tylko mężczyzna. Tutaj zobaczyłam też kobiety...

– Tak – Marcela wchodzi mi w połowę zdania. – Rytuały szamańskie może odprawiać zarówno mężczyzna, jak i kobieta. O ile w innych krajach głównie kobiety są szamanami, tak tu w Gwatemali przewa-

żają mężczyźni. Szamanami nie powinni być ludzie młodzi. Potrzebne jest duże doświadczenie życiowe i mądrość, którą człowiek nabywa z wiekiem...

Im szaman starszy, tym cieszy się większym szacunkiem.

– Czy w życiu współczesnych Majów obecne są jeszcze jakieś inne relikty przeszłości?

– Oczywiście, że tak... przeszłość cały czas nam towarzyszy, tak samo jak nieustannie towarzyszą nam nasi przodkowie. Żeby położyć kres terażniejszości, wystarczy unicestwić przeszłość. Niewiele różni się od naszych przodków. Podobnie myślimy, podobnie czujemy, jesteśmy nimi, posługujemy się ich kalendarzem, podobnie jak oni wykorzystujemy moc roślin i lecznicze właściwości. *Curanderos* (uzdrowiciele) są zaniepokojeni tym, że przestajemy wierzyć w rośliny i drzewa, które nas leczą. Martwią się, bo wiele roślin medycznych ginie i nie odradza się. A przecież odradzanie jest istotą życia. Odprawiamy też rytuały, które nasi przodkowie kiedyś odprawiali. Rozpalamy Nowy Ogień, święty ogień, który jest rytuałem dziękczynnym. Jest symbolicznym powtórzeniem rytuału, którego dokonali nasi bogowie w dniu stworzenia świata. W taki sposób żegnamy stary rok i witamy nowy. Jest to rytuał, w trakcie którego oczyszczamy się z grzechów i zła mijającego roku. Palenie ognia jest sposobem komunikowania się z bóstwami... Nasi przodkowie przekazali nam także szacunek do natury... tak samo jak oni kochamy Matkę Ziemię. Czujemy przed nią respekt. Żyjemy zgodnie z zasadą, że nikt nie ma prawa zbierać tego, czego sam nie zasiał... Wiemy, że nie można ściąć w lesie drzewa bez specjalnego pozwolenia bogów. Trzeba o nie poprosić. Majowie rozmawiają z duchami – opiekunami lasów, składają im ofiary... Ponoć opiekunowie lasów, podobni są do Majów... Wiemy, że trzeba kochać Matkę Ziemię, bo dzięki niej, my – jej dzieci, mamy wszystko, czego potrzebujemy do życia: wodę, ogień, ziemię i powietrze. Matka Ziemia dba o swoje dzieci: żywi je, otacza schronieniem, ogrzewa, przemawia do nich, ostrzega przed niebezpieczeństwem. Nie wolno krzywdzić Natury. Zadając jej krzywdę, nie słuchając jej tak naprawdę, zadajemy krzywdę sobie... stajemy się sierotami. Matka Ziemia posiada pamięć. Potrafi też upomnieć się o swoje. Jeżeli na to zasługujemy, karci nas... Posiadamy wiele praw ale jeden święty obowiązek: żyć w zgodzie z Matką Ziemią...

Mam jeszcze dużo pytań, ale chyba nie zdążę ich Marceli zadać. Jesteśmy już prawie na dole. Zbyt szybko... zbyt szybko, by z tego świata pełnego magii powrócić do rzeczywistości. Zatrzymuję się na chwilę... po lewej stronie widzę kolorowy cmentarz, po prawej barwne centrum Chichi, nad tym wszystkim góruje biały kościół św. Tomasza.



fol. arch.

Obłok

zobaczysz
gdzieś tam jest wszystko
wycofaj się

wyjdź i milcz
spójrz wstecz odwróć twarz

wtedy zmieni się punkt
sprawy się wyprostują
przejdiesz na stronę dna (dnia?)

zło się oddali

będziesz stąpał lekko
otwierał okno za oknem

wszystko można naprawić
każde zło

zjawi się bliskość
i czułość

żyjemy właśnie po to

budzisz mnie
jesteś

każdy ma tę moc
czasem długo trzeba błędzić
błędy to energia
obrotowa

obraca wszechświat
w stronę początku

proste
za każdym razem
kiedy zamykasz oczy
otwierasz
żeby powstać z martwych.

Krew

pomiędzy opuszkami ciała
na horyzoncie słowa
niebo i ziemia

co noc ból wypala
błękitne kratery żrenic
przerażone

rzęsami okryte
płyną przez ścierniska
jak dym

Noc schodzi się z dniem
żeby urodzić miesiące i lata

szkło deszcz i piasek
mgły i sny
umierają zanim się urodzą

Rzeka

Jej poświęcam

płynie
kropla po kropli
spada
po kamieniach

milczy góra
między światłem i cieniem
szepc rośnie w potok

płaczą zimne granity
do swojej
ciemności

modli się wiatr w igłach sosen

kolory śmieją się
horyzontem

milczy od lat imię
przypięte gwiazdami do nieba

białe ptaki przelatują
czerwone przelęcze

dzwonią kawałki lodu
rozpryskując słońce

każdy następny śnieg przykrywa
kolejny
potok pieni się i wije

tajemna siła
płynie przez moje serce
do Wisły.

Chronos

w zimnym oku Księżycy
bawią się w przeźrocza

rozklejone
na ślepych
szybach

Nie uwierzyłem im jeszcze
w deszczu nie ma miejsca na lzy

zlewają się w milczeniu.

Cokolwiek

nie zrobisz
idziesz w dal

Słońce odchyli się od osi
las wyrośnie
tam gdzie go nie było

Ptaki przylecą w oszroniony ranek
żeby odszukać ślady
niewidzialnych ziaren
na parapecie

Gdziekolwiek nie spojrzysz
pusta ulica
śnieg i wiatr

Zamglony park
oczekuje przechodnia
zdziwiony ciszą
przyklejoną do okien

Czym napełnisz
puste oczy
wiatr je przymknie
powieką zmartwioną

A dzikie gęsi przelecą w inną stronę

Śnieg zasypie ślady wilka
księżyc odwróci twarz
ponad koronami
czarne lzy
przyjaciółki nocy

Zaproszą nas na koro-nowy bal.

Czekam

aż krzyk otworzy

czas ciemny
pod powieką słów

krwawi horyzont
nieskończonym snem

w serce wbił się pomruk
gorzki płomień

rozmawia w łuku aorty
z gładką Ścianą Płaczu

jeszcze się toczą białe kule sekund
w obcym języku

biegną w przeciwną stronę
arytmia.

Dusza

to myśl Boga
na nasz temat
przed poczęciem

Człowiek może błędzić
Ona nie

Jest nieśmiertelna
przed
i po

Jej palcami dotykamy
ciemności
ciała

Jej słowem otwieramy
światło
sumienia

Nazywamy po imieniu
okaleczenie

Jej światło płacze
w sercu
oniemiałym.

Ponad

kamieniami rzeki
zapłonęło oko

miliony milczeń
opowiadały kolory

cienie dni pomarszczonych wygła-
dziłeś
jednym słowem

Byłeś deszczem i piaskiem
rozsypywałeś pasma gór
jak iskry
wysokie w koronach

których gałęzie wrastały w ciało
żeby nie ugiął się wiatrom
i pomrukowi nocy

nadaremnie
byłem już z gliny i piasku

wtedy podarowałeś mi drogi
przez które biegnę

Podałś mi rękę
kiedy rzeka chciała unieść resztę.

Byłaś

pierwszym słowem
stałem w ciemności

jej szelest
zanikał w obłokach

ziemia obracała się
wokół osi

nie znałem jej imienia
oczy miała spuszczone
włosy przycięte
krótko
na ramionach

słońce
drżało na nitce horyzontu

dzień jak ła

spływał powoli po błękanie
w niewidzialne
noce
wołała mnie szeptem

jej senne chwile
płynęły w moich żyłach
i otwierały
skrzydła motyli

uczyłem się jej kształtu
kolorów milczenia
dreszczu po chwili

dotyku
tej niewidzianej grawitacji
ciał
niebieskich.

Cień

dzwonu we mgle
kołysze
na koniuszku igły
ciemność

modlitwa
unoszą ramię
i połyka
ból

covid tańczy na skrzydłach
nietoperzy

przez chwilę rośnie
w milczenie
drapieżne

dotyka
tajemnicy

ostatnia noc
zamienia cień
w oddech
za chwilę wejdzie słońce.

Wieczność

jest słowem odrzuconym
jak kamień przy drodze
spod niego
słońce wydobywa cień

ukryty przez chwilę
jak krzyk dzikich gęsi
nad głową

między serca uderzeniem
oddechem drogi
kroplą
czarnej nuty
zawieszoną w przedsionku

ciepło dłoni
nieobecne słowa
obejmują ramieniem
by wyrwać z piersi

myśl nieuchwytną
krótki błysk
wybaczenie nadzieję
modlitwę
by się wypełniły Twoje słowa.

Na pobludnej ścianie

cień Krzyża zamyka oczy

mówisz czas
on milczy

myślisz
myślisz serce

z niepokojem zamyka światło
ostatniej tętnicy

jeszcze
słyszysz jak otwierają się słowa
umierają kolory
z bólu

na wzgórzu pod wierzębami
ślad spalonego kościoła

zmęczony anioł
płynie pomiędzy kroplami

skrzypią niewidzialne drzewa
różańca koraliki
kołyszą się na gałęzce.

W hołdzie lekarzowi i wynalazcy

Jakub Cieszyński

W czerwcu 2021 w Domu Muzyka i Tańca w Zabrze odbył się uroczysty koncert „Akademickie Zabrze – Akademicki Śląsk” dedykowany prof. Tomaszowi Cieszyńskiemu. Wydarzenie to stanowiło integrację środowisk medycznych, politechnicznych, uniwersyteckich nie tylko Śląska, ale i kraju oraz instytutów naukowych PAN w celu podejmowania nowych wyzwań w nauce i medycynie. Udział w tym wydarzeniu wzięli Rektorzy oraz Dziekani wyższych uczelni Śląska i Polski oraz władze rządowe i samorządowe włącznie z Ministrem Zdrowia i Prezesem Polskiej Akademii Nauk. Podczas uroczystości sylwetkę prof. Cieszyńskiego przypomniał jego syn, Jakub. Publikujemy treść tego wystąpienia.

Mój ojciec, Tomasz Cieszyński, z wykształcenia lekarz – chirurg, stomatolog oraz chemik, był osobą o licznych zainteresowaniach, nie słabnącej pasji badawczej połączonej z umiłowaniem prawdy i umiejętnością krytycznego osądu. Cechy te podparte rozległą wiedzą doprowadziły go do szeregu odkryć i wynalazków.

W 1947 roku w swojej pracy doktorskiej pt. „Naturalny System Środków Odżywczych” w nowatorski sposób połączył dotychczasowe podziały żywności. Stworzył nomogram, umożliwiający dopasowanie diety pod względem wartości odżywczych i kalorycznych.

W dziedzinie chemii fizycznej zajmował się krystalografią. Opracował i przedstawił m.in. koncepcję elektrodanego wiązania krystalicznego. Rozważał idee termodynamiki kwantowej w odniesieniu do ogólnej gęstości fizycznej. Zaprezentował pracę nt. punktu topnienia apatytów, jako funkcji energii wiązania i struktury kryształu. Wiedza i nabyte doświadczenie z tej dziedziny miały decydujący wpływ na jego dalsze medyczne prace naukowe.

Jako pierwszy opracował i opatentował w 1956 roku model sondy ultradźwiękowej do badań wewnątrzsercowych, wykazując możliwość oceny wnętrza serca przy braku niekorzystnego nań oddziaływania.

W 1975 roku opracował i opatentował sztuczne serce napędzane siłą mięśni oddechowych. Pomysł ten był pozbawiony podstawowej wady dotychczasowych modeli – nie wymagał przewodów doprowadzających energię z zewnątrz i tym samym minimalizował ryzyko infekcji bakteryjnej.

Opracował i opatentował krypto-

fanoskop operacyjny – urządzenie do obserwacji i lokalizacji ciał obcych wykorzystujący obraz powstały z pomocą promieni rentgenowskich nałożony na obraz naturalny. Opracował i opatentował urządzenie ssące do leczenia przetok dwunastniczych. Opisał objaw opukowy podrażnienia otrzewnej, jako znamieny i umożliwiający precyzyjną lokalizację zapalenia otrzewnej.

Od początku lat 60. zajmował się zjawiskami bioelektrycznymi występującymi w kościach, opracowując nowatorską metodę leczenia niegojących się złamań, stawów rzekomych oraz ropnych, niepoddających się tradycyjnemu leczeniu zapalenia kości przy pomocy odpowiedniej polaryzacji elektrycznej. Punktem wyjścia tych badań była obserwacja przeciwnego wpływu solanek iwonickiej i jastrzębskiej na leczenie złamań kości. Stwierdził, że solanki te mają odwrotną potencjały powierzchniowo-głębiny i z tym zjawiskiem powiązał ich efekt terapeutyczny: solanka iwonicka miała działanie przeciwbólowe i wzmacniające zrost kości, a jastrzębska często powodowała dolegliwości bólowe będące powodem przerwania terapii.

Kolejnym krokiem był pomysł zastosowania bezpośredniej energii elektrycznej w tym celu. I tak w 1963 roku przedstawił pracę doświadczalną, w której wykazał pobudzający twórczy wpływ tkanek kostnej na mięso przyłożenia dodatniej elektrody ogniwa zewnętrznego i odwrotne działanie w pobliżu elektrody ujemnej. Zauważył też podobne działanie po zastosowaniu ogniwa biologicznego tzn. elektrody aluminiowej i stalowej, umieszczonej na ciele

zwierzęcia, połączonych przewodem miedzianym. W pobliżu elektrody aluminiowej o ujemnym potencjale elektrycznym obserwował pobudzenie zrostu, a w pobliżu stalowej – dodatniej – jego hamowanie.

Zjawisko to tłumaczył gromadzeniem się ładunków dodatnich przy elektrodzie ujemnej i odwrotnie – ujemnych przy elektrodzie dodatniej.

Potwierdził to zjawisko w odniesieniu do ludzi – w przypadkach braku zrostu kostnego po złamaniach lub jego opóźnienia stosował skuteczne leczenie z użyciem kąpeli w soli iwonickiej uzupełnione o elektryczną stymulację ogniwem zewnętrznym – stosując dodatnią elektrodę na okolicę złamania.

Odwrotny efekt stwierdził w przypadku próby leczenia zakażenia kości z ropnymi przetokami – zarówno dodatnia polaryzacja elektryczna jak i kąpiele w soli iwonickiej nasilały intensywność procesu ropnego oraz powodowały dolegliwości bólowe. Korzystny efekt leczniczy uzyskał dopiero po zastosowaniu ujemnej polaryzacji oraz kąpeli w solance jastrzębskiej. W dalszych działaniach odstąpił od stosowania kąpeli solankowych, koncentrując się na stosowaniu tylko ogniw zewnętrznym i biologicznym. Stwierdził też podobny efekt przy zastosowaniu ogniwa biologicznego statycznego – elektrod o różnym potencjale, umieszczonych na ciele pacjenta, ale niepołączonych przewodem. Również wtedy dochodzi do gromadzenia się ładunków elektrycznych o odmiennym znaku w stosunku do potencjału danej elektrody.

Przedstawił liczne prace dokumentujące korzystny wpływ dodatniej polaryzacji elektrycznej na gojenie się

zrostów opóźnionych i stawów rze-
komych oraz leczniczego wpływu po-
laryzacji ujemnej w przypadku zaka-
żeń kości i szpiku.

Zwrócił uwagę na niekorzystny
wpływ zestawienia wszczepów or-
topedycznych o różnym potencja-
le elektrycznym użytych do zespo-
leń złamań kości. Obserwował róż-
nice potencjałów (w zakresie od 35
do 200 mV) w przypadkach braku
zrostu kostnego w pobliżu implantu
o wyższym potencjale.

Kilkakrotnie na forum międzyna-
rodowym występował z apelem o ko-
nieczności standaryzacji elektrycznej
materiałów używanych do produkcji
implantów chirurgicznych.

W swoich pracach nad wpływem
polaryzacji elektrycznej na organizm
człowieka zauważył pobudzający efekt
polaryzacji dodatniej na wzrost kości
i przyrost masy mięśniowej u dzieci,
i odwrotnie, hamujący, polaryzacji
ujemnej. Zastosował to spostrzeże-
nie skutecznie lecząc asymetrię i nie-
dorozwój kończyn dzieci po chorobie
Heinego-Medina.

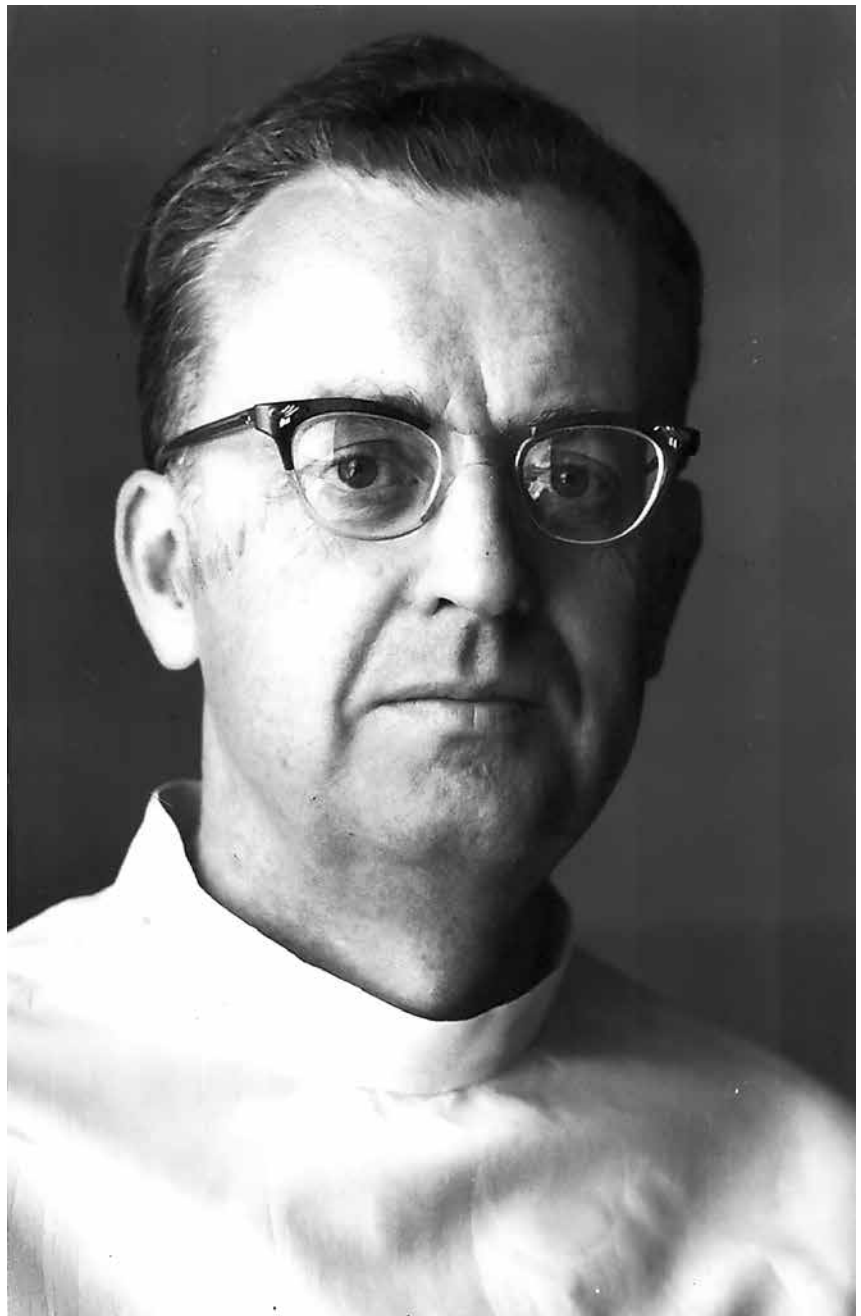
W 1973 roku opatentował zestaw
do leczenia polaryzacją bioelektrycz-
ną. Na podstawie pracy: „Badania nad
regeneracją tkanki kostnej” uzyskał
w 1968 roku stopień doktora habili-
towanego w zakresie chirurgii. Wyni-
ki jego badań wzbudziły duże zainte-
resowanie na świecie. Były powodem
zaproszeń na zagraniczne konferen-
cje naukowe.

Jest laureatem wielu nagród, m. in.
Kappa Delta Award, Złotego Krzy-
ża Zasługi, odznaki Zasłużonego dla
Wynalazczości i Racjonalizacji, Krzy-
ża Kawalerskiego Orderu Odrodze-
nia Polski a także Medalu Uniwersy-
tetu Tokijskiego przyznanego za ca-
łokształt dorobku naukowego w 1982
roku, który szczególnie sobie cenił.

Należy podkreślić, że, niestety, w tam-
tym czasie w Polsce nie było woli upo-
wszechnienia jego dokonań. Ojciec
oprócz pracy naukowca – chirurga,
miał szereg innych zainteresowań.

Wspierany przez kardynała Karo-
la Wojtyłę zajmował się też demogra-
fią. W licznych pracach, także apelu-
jąc do ówczesnych władz kraju, wy-
kazywał zagrożenie populacyjne dla
Polski, przewidując już pół wieku
temu, obserwowany dzisiaj ujemny
przyrost naturalny.

Ostatnie lata swojego życia poświę-
cił twórczości literackiej: wydał wspo-
mnienia z czasów młodości we Lwo-
wie w formie utworu poetyckiego
pt. „Dni silne kochaniem”, tłumaczył
na język polski utwory swojego ulu-
bionego niemieckiego poety Hein-
richa Heinego, napisał wspomnienie
o prof. Rudolfie Weiglu, prof. Jaku-
bie Parnasie, chcąc oddać hołd swo-



Prof. Tomasz Cieszyński

im wielkim nauczycielom. Wychowa-
ny był w duchu umiłowania Ojczyzny
w rodzinie gdzie słowa „Salus Polo-
niae suprema lex esto” towarzyszyły
mu od najmłodszych lat. Atmosfera
domu rodzinnego i przeżyte doświad-
czenia z czasów wojny wyrobiły w nim
postawę człowieka niezależnego, nie-
złomnego, wiernego swoim przeko-
naniom, niepodatnego na manipu-
lacje, dla którego umiłowanie praw-
dy i chęć poznania stało się najwyż-
szym kryterium i wartością.

Chciałbym również zwrócić uwagę
na związek mojego Ojca z Zabrzem.
W latach 1946–48 pracował w Zakła-
dzie Stomatologii w Zabrze, gdzie
pod kierunkiem profesora Mieczys-
ława Jankowskiego zrobił specjaliza-
cję ze stomatologii, wypełniając w ten
sposób wolę swojego ojca, prof. An-

toniego Cieszyńskiego, którego pra-
gnieniem było, aby syn kontynuował
jego dzieło.

Na zakończenie w imieniu swo-
im i mojej rodziny, serdecznie dzie-
kuję Panu Profesorowi Marianowi
Zembali za pomysł i niezwykłą de-
terminację w dążeniu do uczczenia
pamięci mojego ojca Tomasza Cie-
szyńskiego. Tym niemniej wdzięcz-
ni jesteśmy Zabrze za przychyłność
i pomoc w realizacji tego przedsię-
wzięcia, które ostatecznie zaowoco-
wało dzisiejszą, piękną uroczystością.
Dziękujemy bardzo. ■

Wystąpienie wygłoszone 19.06.2021
w Zabrze w czasie uroczystości od-
ślonięcia popiersia prof. Tomasza Cie-
szyńskiego).

Ten Śląsk wygląda zupełnie inaczej: zamiast brudnych ulic, szarych domów i wielkomięjskiego hałasu – ciemna zieleń wiekowych drzew, stare drewno gontowych ścian i cisza. Latem wśród gałęzi kwitnących lip uwijają się pszczoły, a cały świat pełen jest ptasiego gwaru, jesienią szeleszczą liście pod stopami, a zimą wszystko przykrywa czapa śniegu. To Śląsk za opłotkami wielkich miast, to Śląsk wiejski, to Kraina Drewnianych Cudeniek.

Wśród niebywale zróżnicowanego krajobrazu naszego województwa, w wielu miejscach możemy jeszcze spotkać zabytkowe kościółki drewniane – niegdyś nieodłączny element rodzimego krajobrazu kulturowego. Większość z nich przez wieki nie zmieniła lokalizacji, stanowiąc wraz z zadrzewionym otoczeniem sielską dominantę w krajobrazie. Występują w prawie całej południowej Polsce, z tego w województwie śląskim – postrzeganym jako obszar silnie zurbanizowany – mamy ich około osiemdziesięciu. Choć rozrzucone na terenie całego województwa, daje się zauważyć ich wyraźną koncentrację w kilku powiatach: gliwickim, lublinieckim, pszczyńskim, rybnickim oraz u podnóża Beskidu Śląskiego – w rejonie Bielska-Białej, Cieszyna i Żywca.

Stare drewniane kościółki zachwycają każdego wrażliwego na piękno swym estetycznym, a zarazem prostym kształtem, malowniczą fakturą budulca zrębowych ścian z drewna modrzewiowego, sosnowego czy jodłowego i gontowych dachów, kryjących poszczególne elementy budowli. Zresztą drewno to materiał szczególnie, widać na nim jak na ludzkiej skórze proces starzenia się. Z upływem wieków spłoty słoju stają się coraz wyrazistsze, niczym zmarszczki na twarzach starców. Drewniane kościoły oddychają, chłonąc woń otaczających je drzew, przesiąkają zapachami świec, kadzidła i znoszonych do świątyni kwiatów i ziół. Wydawać by się przy tym mogło, że skoro przetrwały tyle wieków, prze-



Sieroty, kościół Wszystkich Świętych

Kraina drewnianych cudeniek

EDWARD WICZOREK

trwają jeszcze kilka następnych, poprawiając samopoczucie przyszłym pokoleniom.

Niestety, drewno to materiał łatwopalny. Żłowrogi ogień może w ciągu kilku chwil przemienić je w garść popiołu. Tej tragicznej prawdy doświadczyły tylko w ostatnich dekadach kościółki w Ciasnej, Łączy i Łękawicy, Międzyrzeczu czy Zawadzie Książęcej, a jeden z najstarszych obiektów – kościół św. Michała Archanio-

ła w katowickim Parku Kościuszki – usiłowano już kilkakrotnie podpalić. Dlatego chcąc uchronić dla naszej kultury najcenniejsze elementy wyposażenia drewnianych kościołów – rzeźby, obrazy czy meble – zdeponowano je w placówkach muzealnych: Muzeum Śląskim w Katowicach, Muzeum Diecezjalnym w Opolu oraz Muzeum Narodowym w Krakowie.

Wakacje to znakomita pora na niespieszne poznawanie dziedzictwa naszego regionu, którego częścią są również drewniane kościoły. Ułatwi to – opracowany i oznakowany w 2002 r. Szlak Architektury Drewnianej województwa śląskiego, „brat” podobnych szlaków w województwach małopolskim, podkarpackim i świętokrzyskim. Szlak liczy łącznie ok. 1060 km i dzieli się na trasę główną (z Gwoździan do Jeleśni – 326 km) oraz pięć pętli (beskidzką, pszczyńską, rybnicką, gliwicką i częstochowską). Na szlaku, oprócz drewnianych świątyń, kaplic i dzwonnicy, znajdują się także obiekty świeckie: karczmy, chałupy, budynki gospodarskie i całe skanseny.

Do najstarszych świątyń wg najnowszych badań dendrochronologicznych należą kościoły: Wszystkich Świętych w Sierotach, w powiecie gliwickim, datowany na 1457 r. (murowane prezbiterium z 1427 r.); św. Marcina w Cwiklicach, w powiecie pszczyńskim, z 1466 r. i Wszystkich Świętych w Łaziskach, w powiecie wodzisławskim z 1467 r.



Książę Las, jeden z najstarszych w województwie, kościół św. Michała Archanioła



Koszęcin, kościół Trójcy Świętej



Katowice, kościół św. Michała Archanioła w Parku Kościuszki



Ostropa, kościół św. Jerzego



Sierakowice, kościół św. Katarzyny,

Warto zacząć od samej stolicy województwa – Katowic. Tu bowiem, w Parku Kościuszki, postawiono w 1939 r. drewniany kościół św. Michała Archanioła z 1510 r., przeniesiony z Syryni w powiecie wodzisławskim. Zamiarem władz miasta było utworzenie w parku skansenu budownictwa drewnianego, ale skończyło się na dwóch obiektach, z których jeden – spichlerz z Gołkowic z 1688 r. – spłonął.

Katowicką świątynię tworzą: prostokątne prezbiterium i szersza – prawie kwadratowa – nawa, zbudowane na zrąb. Kilka metrów od korpusu świątyni stoi dzwonnica. Całość założenia, w obrębie którego urządzono niewielkie lapidarium kamieni granicznych i nagrobnych, otacza drewniany parkan z dwiema bramkami. Wnętrze kościoła ma współczesne wyposażenie, ale znajdziemy tu również gotycką figurę MB z Dzieciątkiem i trzy figury świętych na ambonie, które trafiły do kościoła w latach 60. XX w.

Podobny „import” kościoła drewnianego miał miejsce w Chorzowie, dokąd na ul. Lwowską na Wzgórzu Wyzwolenia trafiła w 1935 r. XVI-wieczna świątynia z Knurowa, pod wezwaniem św. Wawrzyńca. Obecnie pełni ona funkcję kościoła parafialnego. Jego wyposażenie stanowią ołtarze barokowe i obrazy głównie z poł. XIX w. Najcenniejsze, gotyckie rzeźby z tej świątyni – św. Anna Samotrzecia i tzw. Piękna Madonna z Knurowa – trafiły do Muzeum Śląskiego.

Prawie po sąsiedzku – na terenie Górnośląskiego Parku Etnograficznego – stoi kościół św. Józefa Robotnika. Zbudowano go w roku 1791 w Niebozowach nad Odrą, skąd trafił w 1971 r. do Kłokocina (dziś dzielnicy Rybnika). Kiedy w Kłokocinie zbudowano nowy kościół w 1997 r., zabytek przeniesiono do skansenu. Kościół nie zachował oryginalnego wyposażenia, natomiast to, które zdobi wnętrze, pochodzi z depozytów Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu i Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach.

Poznanie drewnianych świątyni województwa śląskiego umożliwia wspomniany już Szlak Architektury Drewnianej. Jedną z jego pięciu pętli prowadzi przez ziemię gliwicką i tym, którzy chcieliby zobaczyć więcej drewnianych kościółków, proponujemy wycieczkę na trasie: Gliwice (kościół Wniebowzięcia MB z XVII w., przy ul. Koziełskiej) – Gliwice-Ostropa (kościół św. Jerzego z murowanym prezbiterium z XIV w., drewnianą nawą i dzwonnica z XVII w.) – Sierakowice (kościół św. Katarzyny Aleksandryjskiej z 1675 r.) – Rachowice (kościół Trójcy Świętej z murowanym prezbiterium z XVI w., drewnianą nawą z 1668 r. i drewnianą wieżą) – Bojszów (kościół Wszystkich Świętych z XVI w.) – Rudziniec (kościół św. Michała z 1657 r.) – Gliwice. Na odcinku niecałych 60 kilometrów znajdziemy aż sześć drewnianych kościółków. Może warto więc któryś z wakacyjnych dni poświęcić na drewniane cudenka?



Bojszów, kościół Wszystkich Świętych

fol. Edward Wiczorek



Chorzów, kościół św. Wawrzyńca

fol. Edward Wiczorek



Cieszowa, kościół św. Marcina

fol. Edward Wiczorek

Teatr kieruje nas w stronę prawdy dotyczącej różnych spraw. Czasem odsłania ważne rejony ludzkiej egzystencji, także te, w których próżno szukać nadziei, pocieszenia, gdzie często dominuje rozpacz, niespełnienie, brak wiary w celowość podejmowanych działań. Nierzadko artyści, również ci najwięksi, podejmując trudne tematy, kreśląc portret człowieka uwikłanego w pułapki losu, korzystali z gatunków, które dramaty istnienia ukazywały w nieco ocieplonej, pozbawionej okrutnego lęku formie. Kafka, Beckett, czy w końcu Czechow podkreślali, że piszą komedie, pozbawiając w ten sposób odbiorcę przekonania, że wszystko, co widzi, przeżywa jest ostateczne, niezmiennie, próba weryfikacji z góry skazana na porażkę, a przecież wszystko może się jeszcze odmienić.

Pozostajmy przy Antonie Czechowie, niezmiennie popularnym, wystawianym, czasem krzywdzonym nieco już zużytym zbiorem stereotypowych określeń, które zdają się nie dostrzegać nieprzemijającego nowatorstwa formalnego sztuk. Jego dramaturgia stanowi wciąż inspirację dla artystów, bowiem za każdym razem jest próbą kolejnej podróży w stronę, zabrzmi to banalnie, życia, a właściwie naszych o tym życiu wyobrażeń, marzeń, nadziei, czasem bezsensownych, nietrafionych. Dramaty psychologiczne, obyczajowe Czechowa, to wielka księga powszedniej egzystencji ludzkiej, wypełniona cierpieniem, zawiedzioną miłością, dramatem niespełnień rosyjskiej inteligencji, zaludniona postaciami unieruchomionymi w uścisku zmarnowanego życia, braku perspektyw, wiary w lepsze jutro. Wszyscy pamiętają przecież *Wiśniowy sad*, *Trzy siostry* czy *Wujaszka Wanię*, by wymienić tylko popularne tytuły, a to tylko przykłady kolejnych etapów wspomnianej podróży przez zakamarki człowieczego życia, prywatne historie niewykorzystanych szans.

Najnowszą propozycję dialogicznej kon-



foto. Monika Stolarska.

Domostwo minionego życia

WOJCIECH LIPOWSKI

frontacji z konwencją artystyczną właśnie *Wujaszka Wani* podjęli w sosnowieckim Teatrze Zagłębia dramaturg Hubert Sulima oraz reżyser Jędrzej Piaskowski. Spektakl rodził się długo ze względu na okoliczności minionych miesięcy. Próby podjęto wiosną zeszłego roku, a finał prac nastąpił w czerwcu, zatem widzowie długo czekali na efekt pracy całego zespołu. Wspomniany duet ma już na swoim koncie inne, znaczące realizacje, autorski spektakl *Jezus*

z warszawskiego Teatru Nowego, stanowiący wypowiedź na temat wolności, miłosierdzia, *Trzy siostry* z dominującym zagadnieniem przemocy i anachronicznych konwencji, czy ciepło przyjęty przez publiczność *Nad Niemnem* oba w lubelskim Teatrze im. J. Osterwy. Obecnie otrzymaliśmy dzieło Czechowa przełamujące dotychczasowe schematy adaptacyjne tej sztuki, twórcy zaproponowali bowiem jego komediową, nieco groteskową wersję. Zresztą już sam tytuł adaptacji zawiera słowo komedia. Co z tego wyszło?

Zachował się przestronny dom Wojniczkich o wielu pokojach, po których w środku nocy miota się schorowany, samotny, zżerany przez podagrę, cierpiący na bezsenność Sieriebriakow, tu grany grubą kreską, ale bardzo ciekawie przez Przemysława Kanię. Mimo wybuchów śmiechu, jakie dobiegają ze sceny pozbawionej w zasadzie dekoracji, przypominającej bardziej poczekalnię dworcową niż wspomniane domostwo, w oczy rzuca się wszechobecny marazm postaci w nim mieszkających. Nawet oprawienie tego świata ramą dość niewyszukanych chwytów komediowych, pomimo dość oczywistej i zamierzonej opowieści o konwencji i schemacie, karykaturalnych rysów postaci, groteskowo wykrzywionego świata Czechowa, nie pomaga w zatarciu tego wrażenia.

Jest to ciągle, boleśnie i niezmiennie

foto. Monika Stolarska



ta sama historia Soni skazanej na porażkę w drodze do wymarzonej miłości (znakomita Joanna Połec, przyznanego, w swej śmieszności przejmującego i bezradnego Iwana Wojnickiego (neurasteniczny, rozdrżany Tomasz Muszyński), ubranego w staromodny garnitur Michała Astrowa (zdytansowany, bardzo liryczny Aleksander Blietek), kobiety na prowincji świata czyli Marii Wojnickiej (wyczulona na rytm zdarzeń, perfekcyjna Maria Bienkowska), w końcu fircykowatego Tielegina (dobrze zagrane go przez Kamila Bochniaka), podpierającej starość profesora Heleny z pretensjami do światła wielkich miast (bardzo dystygowana, cierpiąca swe niespełnione życie Mirosława Żak), no i jeszcze duch domu Wojnickich czyli Kura Czubatka (Beata Deutshman), rozczulająca nostalgiczna niania Maryna (cudowna w sile spokoju Ryszarda Bielicka-Celińska) i cała galeria. Wszyscy planują ucieczkę, ucieczkę z przestrzeni konwencji, w strugach bezsensownego śmiechu snują plan uwolnienia się od świata, w którym przyszło im żyć. Nikomu się nie udaje, pozostaje cierpienie i rozpacz, bo nie może być inaczej, gdy człowiek uświadomi sobie, że nie ma innej drogi w tułaczce przez smutne życie.

Sztuka Piaskowskiego i Sulimy oferuje spacer po obszernych, pustych wnętrzach posiadłości Wojnickich, gdzie od ścian odbija się śmiech milknący wraz z kolejnymi aktami opowieści, dominuje nostalgia za tym, co minęło, odeszło w niepamięć. Scenografia i kostiumy Anny Met, muzyka Jacka Sotomskiego podkreślają stan apatii. Pusta przestrzeń, pusty śmiech, czy potrzebny to osobna kwestia, ilustrują „bezwycisliwość” tych dziewięciu istnień, które przeszły przez drzwi-szafę, ustawioną na scenie umowną granicę między iluzją a realnością, radością i smutkiem, wiarą i jej brakiem. Nic nie przykryje klującej samotności tych dziewięciu niespełnień, zjadających dla niepoznaki sztuczny tort, pijących nieistniejącą herbatę z atrapy sa-



mowara, zresztą czy poza nią jest tu coś na prawdę realnego?

W zagłębiowskiej inscenizacji Czechow nie pozostawia złudzeń, nie daje nadziei. Dobrze się bawicie, zdają się pytać aktorzy przypominający grupę kuglarzy, to śmiejecie się, a jak przestaniecie, ujrzycie mizериę naszego życia w całej pełni. Rupieciarnia, którą nam pokażą na scenie, to w istocie pogruhotany przez zdarzenia bezlitosny świat, w którym utknęli wędrując przez spróchniałe, stygnące istnienie. I nie ważne przy tym, czy stygną marzenia Marii Wojnickiej, jak chyba także powoli uwielbienie do Sieriebriakowa, czy rozsypuje się Iwan, gdy słysząc o planach sprzedaży domu, dość groteskowo rusza z pistoletem za sprawcą jego cierpienia wiedząc, że spudłuje zanim wystrzeli; czy młoda, naiwna a jednocześnie dziwnie dojrzała Sonia, zanim pokocha i przytuli się do Astrowa wiedzieć będzie, że to uczucie obraca się w proch, a w końcu on sam lekarz przecież doskonale nie wyczuje pulsu w odniesieniu do wyniosłej Heleny, przypominającej z kolei kopczyk pia-

sku usypany u boku zdziwczalego męża.

Atmosfera nie poprawi wspomniana kura, pocieszycielka pogubionych mieszkańców siedliska Wojnickich, czy właściciel dziwacznej peruki Tielegina, dopełniający absurdalny, przekrzywiony świat stworzony na potrzeby owej komedii. Pytanie czy takiego Czechowa, co prawda dalekiego od utartych ścieżek lektury jego tekstów, przyjmie w swe ramiona publiczność? W założeniu wyjście poza konwencję stwarza nowe ramy, niekoniecznie przecież gorsze od sprawdzonych modeli odbioru tekstu. Może w tej propozycji chodziło o próbę uchwycenia takiego aspektu doświadczenia rzeczywistości, który ukryty jest za woalem ludzkich wyobrażeń i schematów, niejako narzuconym przez tradycję i przyzwyczajenia. Komedie ze swą rozbrajającą, a może lepiej oczyszczającą, funkcją poznawczą lepiej nadaje się do pokazania tych rejonów ludzkiego istnienia, które nie są dostępne w innych ujęciach, bowiem doskonale tworzy deziluzję nicości, prowadzi widza łagodnie ku prawdzie, odślania prawdziwe oblicze świata. Jak pisał Leszek Kołakowski: „W całym wszechświecie człowiek nie potrafi odnaleźć studni tak głębokiej, by pochylając się nad nią, nie odkrył na dnie własnej twarzy”.

Komedia. Wujaszek Wania Czechowa z Teatru Zagłębia w zaproponowanej formie, nie wyklucza spraw najważniejszych, wpisanych w przestrzeń świata, jaki po sobie zostawił ani ludzi, których losy utrwalił na zawsze. Znowu przecież, jak wspomina Gorki: „Suną niewolnicy dziwnego lęku przed życiem, idą pełni niepokoju i trwogi, zapelniając czas bezładną gadanią o przyszłości, gdyż czują, że w teraźniejszości nie ma dla nich miejsca”.

Komedia. Wujaszek Wania
na podstawie dramatu A. Czechowa
reż. Jędrzej Piaskowski
Teatr Zagłębia
Premiera 11 czerwca 2021



Imponująca *Sól ziemi czarnej* w bytomskiej Operze

WIESŁAWA KONOPELSKA

Niezwykle udanym projektem artystycznym, przygotowanym przez Operę Śląską w Bytomiu na zakończenie sezonu artystycznego 2020/2021, okazało się widowisko baletowe w reżyserii i choreografii Artura Żymelki, które stworzył na kanwie filmu *Sól ziemi czarnej* – arcydzieła polskiej kinematografii w reżyserii Kazimierza Kutza. Inspiracją tego niecodziennego przedsięwzięcia była obchodzona setna rocznica powstań śląskich.

Od czasu premiery filmu, która miała miejsce 6 marca 1970 roku, przeminęło kilka pokoleń Ślązaków, a każde z nich w inny sposób doświadczało wydarzeń przedstawionych w tym niezwykle dziele. Twórca tej pięknej, filmowej ballady poprzez jednostkowe losy rodziny Basistów ukazał jeden ze zrywów niepodległościowych – zakończone niepowodzeniem II powstanie. Poszczególne „zwrotki” tej przypowieści opowiadają o domu rodzinnym, jego patriarchalnym charak-

terze, o życiu codziennym wypełnionym smutkami i radościami, rozterkach, młodościowej miłości, ale też o tęsknocie za wolnością, która znajduje się, hen, na drugim brzegu granicznej rzeki, rozdzielającej zniewolony niemiecki butem Śląsk od wymarzonej, choć może wyidealizowanej Polski. Ale opowiada też o sprawach znacznie głębszych, jak ukochanie swojej małej, śląskiej ojczyzny, w której mowa śląska, polska i niemiecka wycierają z każdej ulicy, z każdego domostwa i są czymś oczywistym i zwyczajnym tamtej rzeczywistości, o wyznawanych wartościach i o honorze. I jak w każdej balladzie, tak i w tej pojawia się gorzki wydzźwięk o przegranych losie i niespełnionych oczekiwaniach.

Tę samą historię, lecz w jakże innym, znacznie bardziej uniwersalnym wymiarze, opowiedział Artur Żymelka twórca widowiska baletowego, który podjął się arcytrudnego, niezwykle ryzykownego zadania. Film bowiem rządzi się swo-

imi prawami, a jednym z głównych jego składników jest słowo. Balet to sztuka gestu, symbolu. Ponadto musiał być przygotowany na to, że odbiorca – zwłaszcza znający film Kutza – dokona, mimo woli, porównania obydwu dzieł. Musiał więc odpowiedzieć sobie na szereg pytań – począwszy od doboru motywów i sekwencji, postaci, przełożenia języka filmu na język baletu w taki sposób, by powstał spektakl autonomiczny, który jednocześnie będzie autorską interpretacją, impresją na temat tego utworu filmowego. I rzecz ta udało się twórcy spektaklu od pierwszych taktów muzycznego prologu, do finałowej sceny.

Ogromną rolę w balecie *Sól ziemi czarnej* odgrywa muzyka, będąca nie tylko tłem choreograficznych układów i solistycznych popisów, ale pełniąca także funkcję swobodnego narratora – wszak wykorzystane zostały nie tylko fragmenty oryginalnej ścieżki dźwiękowej napisanej przez Wojciecha Kilara do filmu Kazimierza Kutza, ale także

fot. Krzysztof Bieliński



utwory innych, związanych ze Śląskiem kompozytorów: Henryka Mikołaja Góreckiego, Michała Spisaka i Bolesława Szabelskiego. Muzycznej całości dopełniły kompozycje Michała Kondrackiego i Stefana Kisielewskiego. Artur Żymelka i Maciej Tomaszewicz, który objął kierownictwo muzyczne spektaklu, całość przedstawienia oparli na jednostajnych, jakby wydobywanych z trzewi ziemi charakterystycznych dźwiękach zaczerpniętych z utworów Henryka Mikołaja Góreckiego. One też zdominowały zaprojektowany przez Żymelkę sposób poruszania się wykonawców w scenach zbiorowych – czyżby inspiracją był ociężały, ale rytmiczny krok opuszczających kopalnię umęczonych głodowym strajkiem górników, tak pięknie pokazanych w innym Kutzowym filmie – *Perła w koronie...*



Sól ziemi czarnej Artura Żymelki to opowieść uniwersalna, rozgrywająca się pomiędzy trzema głównymi postaciami, kreowanymi przez kobiety: Polską (kobieta w czerwieni), Niemcami (kobieta w biele) i Śląskiem, albo raczej Silesią (kobieta w szarości). Kluczem do baletu Żymelki jest stwierdzenie, że stworzył widowisko „na kanwie” filmu Kazimierza Kutza. Przeniósł więc punkt ciężkości z patriarchalnego charakteru przedwojennego śląskiego domu Basistów z dominującą pozycją ojca, czyniąc właśnie matkę jedną z pierwszoplanowych postaci. Matka Basistów stała się Matką Polką, Matką Ślązaczka, Matką Niemką. Ledwie zaznaczona została postać ojca (poprzez detale kostiumu stylizowanego na śląski kubrak) oraz zachowana została postać Gabriela – głównego bohatera filmu Kutza, najmłodszego syna Basistów, wokół którego zbudowana jest ballada filmowa – ale nie w dosłownym odzworowaniu. W zamyśle reżysera baletu pozostał postacią istotną, lecz nie najważniejszą. Z jego udziałem została pięknie skomponowana scena „witrażowa” w kościele, w której Żymelka tchnął życie nie tylko we wpadające do wnętrza wielobarwne światło, ale i świątynne posągi. Wymiar uniwersalny zyskała także scena z udziałem Gabriela, który w filmie obserwuje z wieży znajdującą się tuż za graniczną rzeką wymarzoną Polskę, widzi orła białego na proporcu powiewającym nad koszarami i mundury polskiego wojska, ale też dostrzega niezwykle piękne krajobrazy, o których niewiele, albo nic nie wie. „A to Polska, właśnie...” chciało by się powiedzieć. W wersji baletowej Gabriel znalazł się w centrum wirującego kalejdoskopu, mieniącego się feerią barw. Nie ma też w przedstawieniu słynnej sceny kończącej film, kiedy cztery kobiety przenoszą leżącego na drzwiach rannego Gabriela na drugą stronę rzeki, do Polski, tym samym spełniając jego marzenie i zapowiadając dalszy ciąg zmagania Ślązaków o przejście już na zawsze tej dzielącej obydwa światy granicy. Żymelka położył akcent na uporczywe zmaganie się z losem i walkę aż do skutku, do zwycięstwa, które

– jak wiadomo, przyniosło dopiero III powstanie śląskie. Symbolem „żelaznej kurtyny” dzielącej Śląsk od reszty kraju była opuszczona w trakcie muzycznego prologu metalowa teatralna kurtyna, za którą działała się historia. Z kolei finał był swego rodzaju żywym obrazem uformowanym przez tańczących, którzy utworzyli białoczerwoną piramidę ze zwycięską Matką Ślązaczka na szczycie. Być może twórca spektaklu chciał w ten sposób podkreślić wielką rolę kobiet, jaką odgrywały nie tylko w tradycyjnej, śląskiej rodzinie zajmując się wychowaniem często liczniego potomstwa, prowadzeniem domu, ale także wpajaniem wyznawanych wartości. Kobiety Żymelki pokazane są jako heroiny, w wymiarze uniwersalnym.

Jest w baletcie Artura Żymelki wiele zachwycających rozwiązań – jak wojskowy, energiczny i pełen dumy marszowy krok kobiety w czerwieni – Polski, kreowanej z niebywałą precyzją przez fantastyczną Michalinę Dąbrowską, jak chłopięca, roztańczona, postać porucznika Stefana Sowińskiego wytańczona z rozmachem i wdziękiem przez Keisuke Sakai, przyjęty entuzjastycznie przez publiczność Douglas de Oliveira Ferreira w roli mężczyzny w czerni (niemiecki żołnierz), będącym uosobieniem gnębieli śląskich powstańców. Fantastyczna była też, inspirowana sceną z filmu, zabawna postać Kurki (kobieta w żółtym) kreowana po mistrzowsku przez Kurarę Ushizakę, która skradła serca uczestników przedstawienia.

Trzeba też podkreślić znakomite przygotowanie chóru pod kierunkiem Krystyny Krzyżanowskiej-Łobody oraz całego zespołu baletowego, który prowadzi Grzegorz Pajdzik. Wspólnie stworzyli jedną z piękniejszych scen, w której śpiewacy towarzyszą à cappella zespołowi i solistom baletu.

Całości spektaklu dopełniała ascetyczna, lecz nadzwyczaj trafna scenografia zaprojektowana przez Martynę Kander, a także będące integralną częścią wizualizacje Jagody Chalcińskiej. Wedle ich koncepcji

dom Basistów stał się pewnym uniwersum, a do rangi symbolu urosło zwyczajne okno „na historię” dziejąca się po drugiej stronie. Zachwycaly również kostiumy Małgorzaty Słoniowskiej podkreślające wielowymiarowość tej opowieści, a zarazem lokalną śląskość postaci oraz zrealizowane przez Karolinę Gębską światło prowadzące poszczególnych bohaterów, jak i nadające charakteru kolejnym sekwencjom widowiska.

Na szczególną uwagę zasługiwało wykonanie przez Ewelinę Szybiłską ludowej pieśni *Kajżeś mi się podziół, mój synocku miły...*, stanowiącej jedną z trzech części *III Symfonii pieśni żalonych* Henryka Mikołaja Góreckiego. U Kutza ta sama ballada, wykonana w końcowym fragmencie filmu przez śpiewaczkę ludową à cappella, wydaje się być bardziej przejmująca, po prostu zwyczajna. W spektaklu Żymelki ballada nabiera, podobnie jak wszystkie pozostałe elementy składowe, wymiaru ponadczasowego i ponadlokalnego. Reżyser transponuje wydarzenia mające miejsce 100 lat temu do współczesności, opowiada o nich kosmopolitycznemu pokoleniu funkcjonującemu w innym świecie i mierzącemu się z innymi problemami, dla którego słowa patriotyzm, tradycja, rodzina, dom mają nieco inne, niż niegdyś konotacje.

Żymelka przeprowadził znakomicie swój wywód na ten temat, a swoje przemyślenia wzmocnił zaangażowaniem do bytomskiej premiery solistów w zdecydowanej większości wywodzących się z odmiennych kultur, dla których Śląsk to miejsce, w którym właśnie się znaleźli, nie obciążeni żadnymi lokalnymi kontekstami. Jak pokazał premierowy spektakl, Artur Żymelka sprecyzował swój przekaz przekonywująco, bo wszyscy w realizację przedstawienia zaangażowali się w co najmniej 100 procentach. Zbudował imponujące widowisko, które z powodzeniem można zaprezentować na dowolnej scenie, w dowolnym miejscu w kraju i za granicą.

Premiera miała miejsce 19 czerwca 2021 roku na scenie Opery Śląskiej w Bytomiu.

„Słyszcież wierni narodowie”. O początkach dziennikarstwa zawodowego

JAN MALICKI

Nie wiem, czy na weneckim moście Rialto można było czytać w roku 1598 relację ze zdobycia przez wojska chrześcijańskie węgierskiego miasta Gyor, czy też Rabu (jak wtedy mawiano), oswobodzonego właśnie z rąk wojsk sułtańskich. Triumfu, który zmywał wielką hańbę Europy. Przechodniów mógł intrygować już sam tytuł. „Pieśń o Rabie i jako go Krześcijanie za pomocą Bożą Turkom z mocy wzięli. Anno 1598 roku” oraz znana od stuleci spetryfikowana konwencja nowiniarska, owe przesławne awizy, spalicki, zeitungi. Stałość konstrukcji zawsze była znakiem identyfikującym dla osób szukających najaktualniejszych wiadomości, informacji, plotek. Nic więc dziwnego, że już w 1275 roku ukazał się w Londynie edykt skierowany przeciwko tym, których ponosiła fantazja, kreująca wydarzenia, niby-fakty, czy wręcz ówczesne fake newsy. Nigdy niezwalczone i niemożliwe do zwalczania. Bo też ich rodowód był niegodny. Historycy prasy twierdzą, iż wszystko zaczęło się oczywiście w gospodzie, oberży lub w karczmie, a jakże, we Włoszech. Na początku XIV wieku niejaki Pietro Villona z Bolonii wpadł na szatański w gruncie rzeczy pomysł, by zbierać i dokumentować wszystkie plotki miejskie. Wystawiał więc codziennie niezapisaną księgę przed dom. Każdy mógł tam wpisać swoją niecierpiącą zwłoki opowieść. Wieczorem, już w karczmie, jej stali bywalcy mogli ją przeczytać. Ale już za pieniądze. Taki był ponoć początek prasy. Z czasem powstała cała kasta pisarzy awizów. Różnie się nazywali: menanti, nouvellistes, dziś – reporterzy. Z czasem szaleństwo pisanego, donoszenia, czytania i przekazywania wieści innym ogarnęło Europę. Zazwyczaj wskazuje się pierwszy polski przekaz. Drukowany w 1513 roku o bitwie pod Orszą; chociaż znany teksty wcześniejsze, średniowieczne oparte o model pieśni nowiniarskiej z precyzyjnym podaniem miejsca, czasu, dokładnego opisu przebiegu wydarzeń i napomnieniem – a jakże – moralnym. To żelazny wymóg warsztatowy. Pół biedy, gdy chrześcijanin spod Sambora dowiadywał się, że Warneńczyk wcale nie zginął pod Warną, a przebywał incognito na dworze króla hiszpańskiego; gorzej, gdy tematem staje się opowieść o cieleciu o trzech głowach. Ciekawsze były te przepisywane, czytane, śpiewane w niedzielę pod kościołem. A jeśli tak, to w jakim języku: po łacinie, włosku, niemiecku, czy po polsku? Najczęściej in vulgari; w Polsce i na Śląsku po polsku, jak w „Pieśni o Rabie”. Śpiewano też po czesku i po niemiecku. Bo też najważniejsza była sama

treść; o sąsiadach, wojnach, kometach, miłościach i zdradach. W przewidywalnym od początku do końca kształcie, skończonej i do granic skostniałej kompozycji, choć przeznaczona do niezwykle zróżnicowanego kręgu adresatów. Ale w tej pieśni intrygująca jest już sama inwokacja tej pieśni, skierowana do wielu europejskich narodów:

*Słyszcież wierni narodowie,
Niemcy, Włoszy i Czechowie,
Węgrzy, Ślązacy, Polacy,
Morawianie i Słowacy.*

To ważny sygnał dookreślający; i krąg adresatów, i uczestników owej zaskakującej wiktorii, poprzedzonej niewiarygodną wręcz kompromitacją, zdawać by się mogło, niezwykłej armii. Wiktorii, zmieniającej obraz walk toczonych między Ottomańską Portą a Habsburgami. Bo też było to wydarzenie o zasięgu ogromnym, niemal wszech europejskim. Kto o nim jednak dziś pamięta?

Wszystko jednak zaczęło się pięć lat wcześniej. Jest rok 1593, w którym wielki wezyr Sinan każe uwięzić posła cesarskiego Krekwitza, wywołując wojnę między Turcją a Cesarstwem. Po fali zwycięstw niespodziewanie pada potężna warownia znajdująca się w widłach rzek – Rab, Gyor. Żeby przynajmniej jak Kamieniec Podolski w Sienkiewiczowskiej powieści. Zgubił ją jednak, już nie sybarytizm, a przekraczanie wszystkich możliwych grzechów wraz z całym dekalogiem. Zaskoczenie, szok, wściekłość cesarza i kara dla dowódcy – von Hardecka, uczestnika bitwy pod Byczyną, skazanego na ścięcie i odrąbanie prawej ręki. Nawet ówczesny polski dziejopis odnotował to wydarzenie w swojej kronice, pisząc: „Potem prędko żalonna nowina przyszła o wzięciu Rabu miasta i zamku przez Turki, z czego król z królową mieli żalność wielką i lud wszystek był smęcien i trwogi było dosyć. Przezo 17 miesiąca października procesyje i nabożeństwa w Krakowie były i post w ten dzień od kaznodziejów zapowiedzian”.

Zachwiał się więc zapewne misterny cesarski plan przejścia Siedmiogrodu, którego władca, poddany Ottomańskiej Porcie, Zygmunt Batory, obiecał Rudolfowi II w traktacie z 25 stycznia 1595 roku. On sam zaś objął księstwo opolsko-raciborskie, organizując przy okazji bezpośrednie połączenie pocztowe między Śląskiem a Węgrami. Cesarz wiedział, iż należało czym prędzej tę hańbę zmyć. Na ziemię węgierską wyruszył nawet słynny waloński pułk Adolfa

Schwarzenberga, wspomagany przez Niklasa Palfiego. Dzięki Lotaryńczykowi Vabecourtoowi, który nad ranem wysadził bramę, cesarscy twierdzą zdobyli. Dokumentacja tego faktu jest bardzo bogata. Nawet we Wrocławiu rektor z jednego gimnazjum – Steinberg, napisał, opublikował w drukarni Baumannowej i opatrzył drzeworytem, elegię o zdobyciu tej warowni. Ale nas interesuje nie druk nowiniarski, ale rękopis zawierający, a jakże, precyzyjnie określony czas powstania:

*Ta piosneczka jest złożona
Jedenastego dnia kwietnia,
Trzeci tydzień Wielkiej Nocy
Pisano bożej pomocy.*

To odpis, znajdujący się obecnie w „Materiałach zebranych przez Bolesława Erzepkiego. Odpisy utworów staropolskich, notatki bibliograficzne i wycinki prasowe dotyczące Śląska” (sygn. R 69 III), zasłużonego poznańskiego honorowego profesora, bibliotekarza, zbieracza dokumentującego dzieje naszej kultury. Miałem ogromną przyjemność poznać zasoby poznańskich bibliotek oraz Kórnika, zdobywając materiały do „Bibliografii piśmiennictwa polskiego na Śląsku XVII i XVIII wieku. Śląski Korbut”, którą kierował znakomity prof. Jan Zaremba, twórca katowickiej polonistyki, zapomniany i zastępowany „tymi, co po nim”. W kulturze analogowej było to nie tylko wielkie osiągnięcie, ale odkrywanie dzieł istniejących wyłącznie w pamięci wybitnych znawców, nadając im drugie jeszcze życie. Miałem to wielkie szczęście, iż moje rozważania o pieśni czytał Profesor, któremu wręczyłem jedną z moich książek: „Lauri, togi, pastorały. Szkice o kulturze literackiej renesansowego Śląska”, w której zamieściłem tekst pieśni o zdobyciu Gyor w roku 1598. A potem już tylko długie, wieczorne rozmowy. Szczególnie o jednej, drobnej adnotacji. Na stronie naszego, bibliotecznego odpisu, znajduje się bowiem jeszcze jedna, wciąż intrygująca informacja: „Daniel Fiebig: 1785”, a w nawiasie: „nr z kolei 85”. Fiebig, ale który? Znamy kilku. Zatem sam tekst pochodził ze zbioru większego. Może z tzw. „Kancjonału byczyńskiego”? A to już zupełnie inna jeszcze opowieść. ■



Pandemiczne informacje o mutacjach koronawirusa paraliżują wciąż wiele działań w sferze kultury, jednak pojawiają się również pozytywne akcenty, dotyczące organizacji festiwali muzycznych. Od 20 czerwca do 2 lipca trwał 60. Muzyczny Festiwal w Łańcucie, realizowany przez prof. Martę Wierzbieniec, dyrektora Filharmonii Podkarpackiej w Rzeszowie. Ciekawym wydarzeniem stał się „hybrydowy” koncert z udziałem znanych śpiewaków operowych Iwony Sochy i Adama Zdunikowskiego oraz Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Podkarpackiej, połączony z nagraniem włoskiej orkiestry kameralnej I Virtuosi Teatro Alla Scala, zrealizowanym w mediolańskiej La Scali. Nad całością czuwał maestro Massimiliano Caldi, wyjątkowej klasy dyrygent urodzony w Mediolanie, zwycięzca Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach (1999). Pracował na stanowisku kierownika artystycznego Śląskiej Filharmonii Kameralnej (2006–2010), był pierwszym dyrygentem orkiestry kameralnej Milano Classica oraz Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku, a obecnie pełni tę funkcję w Filharmonii Podkarpackiej.

Wydarzeniem festiwalu był również występ pianisty światowej sławy – Ivo Pogorelicha, którego poznaliśmy w 1980 roku jako niepokornego 22-letniego Chorwata, reprezentującego Jugosławię w Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym Fryderyka Chopina w Warszawie. Fascynował swoją nieokiełznaną grą, prowokował wielką czupryną włosów, żuciem gumy, dzinsami i kolorowymi kamizelkami. Był jednym z najbardziej ekstrawaganckich artystów. Kiedy jury nie dopuściło go do finału, na znak protestu wyszła z obrad Marta Argerich, uważając tę decyzję za skandal. Przed finałowym występem zwycięzcy konkursu, świetnego wietnamskiego pianisty Dang Thai Sona, część publiczności krzychała: Pogorelic! Artysta mawiał, że to radzieckie władze zablokowały jego wygraną w Konkursie Chopinowskim. Rok później wystąpił z wielkim powodzeniem w Carnegie Hall w Nowym Jorku oraz w Londynie, a w 1982 roku podpisał znakomity kontrakt z wytwórnią Deutsche Grammophon. Na początku lat 90. pomagał charytatywnie mieszkańcom Sarajewa podczas wojny w Bośni i Hercegowinie. W 1996 roku wpadł w depresję po śmierci żony Alizy Kezeradze i przez prawie 10 lat nie występował publicznie. Starsza od niego o 20 lat Gruzinka Kezeradze była jego profesorką w konserwatorium moskiewskim i stała się jego mentorem. Przygotowywała go do występów i nagrań płytowych. Obecnie Pogorelich jest statecznym panem po sześćdziesiątce i jego występy już nie wzbudzają tak skrajnych emocji jak w okresie młodości. W ubiegłym roku zagrał w Warszawie na festiwalu Chopin i Jego Europa utwory Bacha, Chopina i Ravela. Natomiast podczas recitalu w Filharmonii Podkarpackiej zabrzmiały dzieła Chopina, między innymi III Sonata, Fantazja f-moll i Barkarola. Pogorelich przypomniał mi wspaniałe lata 80., kiedy z zapartym tchem śledziłem zarówno wszystkie etapy Konkursu Chopinowskiego, jak i relacje z festiwalu w Łańcucie w ogólnopolskiej telewizji.

Dzieje tego wydarzenia sięgają czerwca 1961 roku, kiedy dyrektor Państwowej Filharmonii w Rzeszowie Janusz Ambros zainaugurował w zamku Dni



Ivo Pogorelich

foto: Malcolm Crowthers

Muzyczny Festiwal w Łańcucie

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Muzyki Kameralnej. W 1963 roku odwołano festiwal z powodu epidemii ospy prawdziwej. Pacjentem zero był oficer SB Bonifacy Jedynak, który przyjechał do Wrocławia 22 maja z Indii. Początkowo wykryto u niego malarię, a dopiero po kilku tygodniach okazało się, że jest również chory na ospę. Stan epidemii ogłoszono dopiero 17 lipca, a odwołano go 19 września 1963 roku. Zachorowało 99 osób, a 7 zmarło.

W 1964 roku wznowiono festiwal, na którym pojawili się już także pierwsi artyści z zagranicy. Publiczność zachwycała się Kwartetem Bartoka, Madrygalistami z Sofii i Bratysławy, Moskiewskim Kwartetem Smyczkowym czy Lwowską Orkiestrą Kameralną. Wydarzeniami dla melomanów stały się prawykonania oper „Pan Pimpinon” Telemanna oraz „Bastien i Bastienne” Mozarta, przygotowane przez Warszawską Scenę Kameralną, a także prawykonania utworów Grażyny Bacewicz i Jerzego Maksymiuka. A jednak pojawiały się krytyczne głosy o tym, że Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie są tylko lokalną imprezą kulturalną.

W 1981 roku zaproponowano dyrekcję Bogusławowi Kaczyńskiemu, który był już wtedy najpopularniejszym w Polsce gwiazdorem telewizji, promującym muzykę poważną. Zmienił nazwę na Festiwal Muzyki Łańcut i szybko doprowadził do dużego rozgłosu tego wydarzenia. Wybitny krytyk Józef Kański napisał: „Łańcucka impreza otrzymała potężny, świeży impuls”, a Krzysztof Penderecki powiedział: „Skromne niegdyś Dni stały się najsłynniejszym dziś w Polsce festiwalem”. Ogromną zasługę miała w tym również Telewizja Poznań za dyrek-

cji Zbigniewa Napierały, która realizowała na antenie ogólnopolską transmisję koncertów festiwalowych, rozślawiając je na cały kraj. Do historii przeszły recitale mistrzowskie gwiazd mediolańskiej La Scali Katii Ricciarelli i Sety Del Grande oraz wybitnych polskich śpiewaczek światowej sławy: Stefanii Toczyńskiej, Krystyny Szostek-Radkovej i Delfiny Ambroziak. Wielki rozgłos zdobyły też recitale wybitnych instrumentalistów: amerykańskiego pianisty Garricka Ohlssona – zwycięzcy Konkursu Chopinowskiego w 1970 roku, rosyjskiego skrzypka Grigorija Żyslina czy rosyjsko-żydowsko-amerykańskiej pianistki Belli Dawidowicz, laureatki I miejsca w Konkursie Chopinowskim w 1949 roku. Występy gwiazd francuskiej piosenki Juliette Gréco i Gilberta Bécaud stały się wydarzeniami dla szerokiej publiczności, podobnie jak koncerty Edyty Geppert, Hanny Banaszak czy Wojciecha Młynarskiego. Bogusław Kaczyński zapraszał też na występy mistrzów aktorstwa, takich jak: Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Gustaw Holoubek, Tadeusz Łomnicki czy Daniel Olbrychski. Niezapomniane były spotkania z Martą Eggerth-Kiepurą i Mirą Zimińską Sygietyńską, która przyjechała do Łańcuta z zespołem „Mazowsze”. Bogusław Kaczyński prezentował w Łańcucie spektakle operowe, widowiska muzyczne i koncerty z muzyką wokально-instrumentalną Mozarta, Pendereckiego czy Verdiego.

Obecnie wspaniale prowadzi festiwal Marta Wierzbieniec, zapraszając artystów światowej klasy i dbając o wysoki poziom. Miejmy nadzieję, że w przyszłym roku, już bez pandemii i z większym budżetem uda jej się zrealizować wszystkie ambitne plany.

Horacio Oliveira a Poldy Bloom O *Grze w klasy* Julio Cortáзара

JERZY PASZEK

Na lekturę argentyńskiej powieści encyklopedycznej, noszącej hiszpański nagłówek *Rayuela*, czekano u nas tylko 5 lat, gdyż już w roku 1968 w tłumaczeniu Zofii Chądzyńskiej wydano książkę, której pierwodruk ukazał się w 1963 (cytuje IV edycję utworu, Warszawa 1994, seria „Biblioteka Bestsellerów”, jako GK); przekładu *Ulissesa* (Paryż 1922) trzeba było wypatrywać prawie pół wieku (koniec 1969, tłumaczem był Maciej Słomczyński). *Grze w klasy* „Rocznik Literacki” za rok 1968 poświęcił prawie 2 strony (423–424), podczas gdy dzieła Jamesa Joyce’a „Rocznik Literacki” za 1969 dał aż 5 stron (412–417); wedle tegoż wydawnictwa w latach 1969–1970 o powieści Argentyńczyka pisało 2 recenzentów (Grażyna Grudzińska, Andrzej Werner), a o książce Irlandczyka prawie 20 (w tym: Juliusz Kydryński, Tomasz Burek, Zygmunt Kałużyński, Zbigniew Lewicki, Marian Promiński, Artur Sandauer, Grzegorz Sinko, Anna Tatarkiewicz). Zajmę się tutaj obu tomami, bo zalicza się je do klasy arcydzieł, do kategorii narracji encyklopedycznych, do prozy odnoszącej sukcesy globalne, a jednocześnie powiązane są one między sobą rozlicznymi relacjami i to na wielu poziomach organizacji oraz struktur dzieła literackiego.

Pierwszym narzucającym się podobieństwem jest podział obu powieści na 3 części. W *Ulissesie* mamy wszak Telemachię, Odyseję i Nostos (‘powrót’), a *Gra w klasy* posiada segmenty: Z tamtej strony (7–264), Z tej strony (265–421), Z różnych stron (423–661). U Joyce’a trójpodział fabuły podporządkowany jest dziejom bohaterów, czyli początkowo główną rolę pełni Stefan Dedalus (student i wedle akwizytora nawet profesor), potem obserwujemy różne przygody dublińskiego komiwojażera, by w finałnych 3 rozdziałach doszło do spotkania tych postaci; kończy akcję monolog żony Blooma, Molly. W *Ulissesie* mamy 18 rozdziałów, charakteryzujących się odmiennymi technikami narracyjnymi (np. słynny strumień świadomości w monologu pani Marion), natomiast *Gra w klasy* wyróżnia się oryginalną kompozycją całości: można bowiem czytać po kolei poszczególne paragrafy (od 1 do 155) w ko-

lejnych segmentach (od I do III). A można inaczej, o czym powiadamia „Tablica orientacyjna”; tu autor namawia do przeskakiwania z rozdziałów „podstawowych” (cz. I i II) do rozdziałów „zbędnych”, czyli tych z cz. III. Przykładowo, początek tej drugiej lektury wyznaczają paragrafy: 73 – 1 – 2 – 116 – 3 – 84 – 4 – 71 – 5 – 81 – 74 itd. (GK, 5). Przepiękny wzór schematu „dwa w jednym”; stąd Jerzy Niecikowski mógł swoją analizę *Gry w klasy* zatytułować *Dwie książki Cortáзара* („Literatura na Świecie” 1973, nr 2, s. 115–147).

Necikowski wskazuje na brak w owej dyspozycji paragrafu 55 (wedle hasła w internetowej „Wikipedii” o omawianym utworze pomiędzy numerem 127 a 56 miałyby znajdować się numer 55, ale w tekście dzieła jest proponowane przejście z par. 127 wprost do par. 56). Pisze krytyk: „fragment 131 odsyła do odcinka 58, a ten z kolei każe wrócić do 131. W ten sposób tworzy się kółko. Na dobrą sprawę uparty i pedantyczny czytelnik mógłby drugą *Grę w klasy* czytać w nieskończoność” (ibid., s. 115). Dodałbym, iż taka ewentualność lekturowego perpetuum mobile zaistniała też w *Finnegans Wake* Joyce’a; jak wiadomo ów poemat prozą (bo chyba nie tradycyjna powieść!) ma pozorny koniec („Ach w dał a ład a los a lot a cel gdzie”), który znajduje kontynuację na początku utworu: „rzekibrzeg, postępując od Ewy i Adama, od wygięcia wybrzeża do zakola zatoki, zanoszą nas znów przez *commodius vicus recyrkulacji* pod Howth Castle i Ekolice” (J. Joyce: *Finnegánów tren*, przeł. K. Bartnicki, Kraków 2012, s. 628 i 3).

Można również zasugerować inną ciekawą paralelę budowy omawianych dzieł Irlandczyka i Argentyńczyka: oto Horacio uwielbia awangardową twórczość starego pisarza o nazwisku Morelli; była więc analogia między podziwianiem przez Blooma erudycji Dedalusa (akwizytor marzy, by móc opiekować się Stefanem jak synem!) a fascynacją Oliveiry Morellim. Ów w cyklu „Morelliana” cytuję zaś jako swoją inspirację *Ferdydurke* Witolda Gombrowicza, którą mógł być poznać z tłumaczenia na hiszpański (Buenos Aires 1947) lub francuski (Paris 1958): „Te zatem są zasadnicze, kapitalne

i filozoficzne racje, które mnie skłoniły do zbudowania dzieła na fundamencie poszczególnych części – ujmując dzieło jako część dzieła – i traktując całość jako związek części, podczas gdy całą ludzkość ujmuję jako mieszaninę części i kawałków” (GK, 639, par. 145; zob. W. Gombrowicz: *Ferdydurke*, oprac. W. Bolecki, Kraków 2007, s. 69).

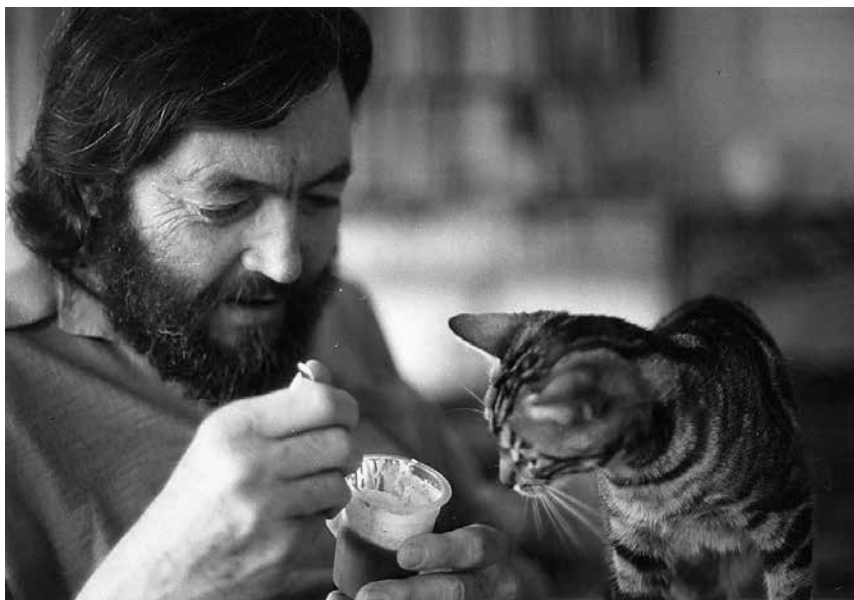
Jako ciekawostkę, dotyczącą pomyłek pisarskich, mogę nadmienić, iż debiutanci tom Gombrowicza *Pamiętnik z okresu dojrzewania* (1933) miał zawierać anagram z „wielką tajemnicą” autora, czyli sentencją: „To wcale nic nie znaczy”; źle ponumerowane litery sugerowały zupełnie odmienne „tajemnice”: „To nic nei z cai i wa lec” (zob. T. Kępiński: *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, Kraków 1974, s. 293). Morelli w rozmowie z Oliveirą i malarzem o imieniu Etienne wywodzi, iż pomyłki (nawet literówki) mogą wyjść „na zdrowie” dziełu pisarza: „Moją książkę można czytać, jak się komu podoba. *Liber Fulguralis*, wróżebne kartki i tym podobne. Ja tak ją układam, jak lubiłbym sam przeczytać. A nuż – przyjąwszy, że rzeczywiście się pomylicie – właśnie wypadnie to lepiej? Żarcik magika Hermesa” (GK, 652, par. 154).

Jeśli playboy i leniwy pracownik (w cyrku i szpitalu, w biurze handlarza, domokrążca, oferujący kupony ubraniom) Oliveira czuje się sobowtórem Morelliego, to cała powieść jest tak zbudowana, by czytelnik stale obserwował zjawiskowe symetrie i perseweryjące sekwencje słowne. Mamy tu więc porzuconą przez Horacia kochankę Magę (Luisę), matkę dziecka o dziwnym imieniu Rocamadour (jest to nazwa francuskiej miejscowości, ośrodka kultu maryjnego), która może żyje, a może utopiła się, ale wciąż Oliveirze myli się z Talitą (Atalią) Traveler, żoną przyjaciela, pracującego najpierw w cyrku, a potem w szpitalu. Paryż myli się bohaterowi z Buenos Aires, bo i tu (spotkanie ze starą kompozytorką), i tam (dramatyczna scena z przechodzeniem Tality po desce z mieszkania Travelerów do pokoju Horacia nad 3-piętrową przepaścią uliczną) przydarzają mu się dziwaczne i kompromitujące przygody (np. z paryską kłoszardką). W *Ulissesie* pojawia się

ogromny rozdział pt. „Cyrce” (tytuły rozdziałów po pierwodruku w czasopiśmie Joyce wyeliminował), gdzie wszystkie postaci tego utworu przechodzą gwałtowne metamorfozy. Poldy staje się kobietą! Horacio w drugiej wersji odczytywania fabuły nie popełnia samobójstwa i prowadzi mieszczański tryb życia Travelerów (Traveler staje się jego następnym sobowtórem!) pod okiem cierpiącej na „penelopizm” (par. 43 i 64) troskliwej Gekrepten.

Morelli uważa, iż Joyce napisał „powieści komiczne” (GK, 470, par. 79) i zamierza z nim konkurować. To może być interesujące dla Horacia, gdyż – tak jak Poldy Bloom – jest ciekawski oraz wścibski jak każdy eklektyk. Przecież powieść encyklopedyczna, i ta Joyce’a, i ta Cortázarra obejmuje i nauki filozoficzne (Molly myśli, że jakiś Arystokrata napisał przypisywane Arystotelesowi dzieło o anatomii!), i nauki filologiczne, i muzykologię. Ponoć w *Ulissiesie* przewijają się aluzje do 800 pieśni i piosenek z folkloru irlandzkiego! Główny kalambur dzieła dotyczy opery *Róża Kastylii* irlandzkiego kompozytora Michaela Williama Balfe’go (1857). Natomiast *Gra w klasy* prezentuje czytelnikowi jazz i songi anglojęzyczne z połowy ubiegłego wieku w takiej ilości, iż każdy może poczuć się zagubiony i zupełnie nieprzygotowany do percepcji sugestii uczuciowych, wnoszonych przez liczne ówczesne przeboje. Bo czy orientacja w dorobku Louisa Armstronga (jego „złota trąbka” bywa tu symbolem męskości!) lub Sidneya [w par. 14: Sydney] Becheta (jego *Mały kwiat* był stale nadawany przez akademikowe radio w czasie moich studiów!) wystarczy, by rozpoznać dziesiątki nazwisk i pseudonimów słynnych ongi wykonawców? Chyba trzeba byłoby studiować encyklopedie muzyczne i przesłuchać setki nagrań!

Podobnie jest z nazwiskami filozofów. Samo wspomnienie mędrców egzystencjalizmu (np. Kierkegarda, Heideggera, Sartre’a) już powala przeciętnego czytelnika z nóg, a Niecikowski powiada, że koniecznie należy znać wywody Hegla na temat „świadomości nieszczęśliwej w sobie rozdwojonej” (ibid., 128 i 126), z beletrystyki zaś poczytać sobie *Czarodziejską górę* Tomasza Manna i 4 tomy *Człowieka bez właściwości* Roberta Musila (ibid., 130–131). Zakładam, że orientacja w chwytach stylistycznych Joyce’a, wyzyskiwanych przezeń w *Ulissiesie* i *Finneganowym trenie*, zupełnie wystarczy nam, by podziwiać sztukę pisarską Cortázarra i jego sztuczki poetyckie, a nawet szaradziarskie. Największym wyzwaniem dla współczesnego czytelnika będzie zapewne zrozumienie paragrafu 68 (GK, 444), napisanego żargonem wymyślonym przez magiczną Magę, a nazywanym po polsku językiem gliglińskim (gliglico): „Ledwie zaczynał lerfić jej noemy, już jej się drliła klamycja i oboje zapadali w wodomurie,



Julio Cortázar

w dzikie prężyny, w rozpaczliwe dystancje. Ale jeżeli tylko próbował wydegać jej murte, pograżała się w jęklive wyrgi i musiał rozmitrygiwać kaldurmię, czując jak powoli arnulię spektaklniają się, oprzaniają, muleją i w końcu sztywnieją jak trimalsjat ergomani, do którego niechcący wpadło kilka finopii kozaniery. Pojawiają się tu znane z paragrafu 20 (GK, 103) neologizmy „wydega” i „murta”, więc cały par. 68 należałoby przypisać Madze (która jednak, jak przypuszczam, już wtedy nie żyła!). Jeszcze jedna tajemnica tego pisanego „z cicha pęk” tekstu! Zofia Chądzyńska skąd brała zaś odwagę i inspirację powziętą? Myślę, że z przekładanego od 1959 roku *Ulissesa*, albo też fragmentu *Finnegans Wake* pt. „Anna Livia Plurabelle”, gdzie mogła zachwycić się takimi np. frazami: „Kto zablokuł jej kotpiczę lub wrzasnął łapailinę do niej?”, „niech mu się przystań wypstrząży”, „Słyszałam, że dzwinał w przesmyk swoją laleczkę, na delwanie najpierw, w głąb dudliny później, gdy ją rapcił do domu [...] bawiać się w kata i mitkę” (J. Joyce: *Finnegans Wake*, przeł. M. Słomczyński, „Literatura na Świecie” 1973, nr 5, s. 45). Podejrzanie to opieram na fakcie, iż III wydanie *Gry w klasy* (1985) było przez tłumaczkę poprawiane, ergo mogła sięgnąć i po translację Słomczyńskiego.

A zresztą w grach słów Chądzyńska nie daje sobie dmuchać w kaszę, czego dowodem liczne przekłady sztuczek z wyzyskiwaniem archaicznych wyrazów, co nazwano tu zabawą w „cmentarze”: „Korne kukle i kuczmy kleryków w klimakterycznych kontemplacjach kleszczą się klinem w klimacie klechd, klasycznie klinując ku kloakom kłęskowe klempy [a nie kłępy!]” (GK, 287, par. 41).

Poldy Bloom, oczywiście, nie mógł zrozumieć dywagacji Dedalusa o „możliwych możliwościach możliwego” ani

orientować się w ewolucji języka angielskiego, zarysowywanej w pastiszach i parodiach rozdziału o „Wołach Heliosa” (miejsce akcji: porodówka). Wydaje mi się, że Horacio Oliveira był od niego inteligentniejszy, ale i tak nie dorastał do pięt swojemu idolowi, staremu pisarzowi Morelliemu, którego przemyślenia studiujemy w cyklu „Morelliana”. Mało kto zaś zapewne dysponuje wiedzą encyklopedyczną z filozofii, historii i teorii literatury oraz muzykologii, by mógł bez wysiłku rozkoszować się eklektyczną scjencyją Cortázarra, opartą na znajomości zabytków kultury dwu kontynentów. Ale co innego „zbytki” (rozkoszszące myślenie człowieka), a co innego słynne „zabytki”, które powoli możemy sobie pozwiedzać w wolnych chwilach po połknięciu 669 stron *„Z tamtej strony”* [Paryż], *„Z tej strony”* [Buenos Aires] i *„Z różnych stron”* [tu może wielgaśne tomiszczce (4 tomy, ponad 2000 stron) *Cichego Donu* Michaiła Szołochowa, par. 31; powieści Fiodora Dostojewskiego, par. 3, 29, 33, 56; *Obłomow* Iwana Gonczarowa, par. 3; „senność, tak dobrze opisywana w słowiańskich opowiadaniach”, par. 41]. Gdy do tego dodać tomy Gombrowicza, to literacki Wschód jest tu dość tego reprezentowany. A pominąłem Nabokova, którego *Lolita* i *Błady płomień* też w jakiejś mierze wywodzą się z Krajin Śniegu (Zembla!).

W roku 2021 ukazał się numer „Literatury na Świecie” – poświęcony prawie w całości argentyńskim nowościom beletrystycznym (nr 1–2, 594–595, 420 s.) – gdzie w zasadzie nikt nie wspomina o Cortázarze i jego słynnej w Europie przez prawie 60 lat powieści! Czyżby Argentyńczycy nie mogli zapamiętać pisarzowi jego fascynacji rewolucją kubańską? A iluż to krytyków wcześniej zestawiało *Grę w klasy* z *Ulissesem*? Czyżby Borges wszystko i na zawsze zaćmił w tamtejszej prozie?

W najnowszym tomie *Mer de Glace* Małgorzata Lebda eksperymentuje, jednak nie w sposób radykalny i nie naruszając struktur składniowych, których obluźowanie skutkowałoby zaburzeniem komunikacji. W wierszach udało jej się uchwycić stany opierające się werbalizacji (opis przywoływanych sytuacji narażony jest na banalizację i sentymentalizm) i dotyczące niemal każdego człowieka: codzienne obserwowanie ciała, krzątaństwo, lęk przed fizyczną niemocą oraz tęsknotę (w przypadku Lebdy jest to tęsknota za zagubionym psem): „Przecież dzisiaj głos dziecka wołającego / zaginionego psa. Ta skala: jeszcze ma się nadzieję, ale w gardle rośnie wilgotne” (*Z ciała: dziesięć*).

To być może najlepszy wiersz w tomie nie tylko ze względu na redukcję słów i dopowiedzeń, lecz również zarysowanie relacji ludzi i zwierząt w momencie jej zerwania. Lebda sugeruje, że człowiek może docenić obecność zwierząt tylko w chwili ich utraty. To zdecydowanie najlepszy z możliwych sposobów ukazania trudnej, czasochłonnej i opartej na etyce troski relacji. Poetka rezygnuje ze szczegółowego opisu i zamiast nadmiaru informacji (jak w cyklu wierszy *Pory miejsc*) wybiera inną strategię: raportuje zdarzenie, skupiając się na głosie dziecka. On wydobywa się z ciała, a także „przecina” inne ciała, a więc „dotyka” innych, powoduje niezatarte wrażenie.

Poetka intensyfikuje doznania czytelnika, który może poczuć się afektywnie poruszony frazą o oscylacji głosu od nadziei do rozpacz. Sytuacja jakich wiele staje się w wierszu zdarzeniem niepowtarzalnym i odciskającym piętno nie tylko na poszukującym, lecz także na czytelniku. Spełnia więc postulat z wiersza *Z ciała: sześć*, dotyczącego „prostych spraw”: „słowa, te, co robią nam w środku radykalne rzeczy”. To, co najbardziej boli i przeraża, zostało przez Lebde opracowane poetycko w taki sposób, by najprostszą sprawą urastały do rangi fundamentalnych.

W *Mer de Glace* Lebda zachwyca formą w wierszach krótkich (zasadą, która organizuje dłuższe utwory, jest opis). W *Językach ognia* poetka pisze: „Kaźda czułość inaczej używała języka”. Sam tytuł opalizuje wieloznacznością, język to zarówno organ niezbędny do komunikacji, jak również obdarzania drugiej osoby przyjemnością, jednak w wierszu przywoływane jest inne znaczenie konotujące niszycielską moc ognia. Na przestrzeni kilku wersów udaje się Lebdzie pobudzić wyobraźnię czytelnika i sprawić, by doświadczenia o różnej skali (skurcz łydki, niepokojąco powiększone węzły, rozpacz po stracie psa lub kulinarny sybarytyzm) nie podlegały hierarchizacji. Poza tym w nowym tomie widać skłonność poetki do kontemplacji i zapatrzeń (*Fuksja, Korony drzew*) oraz uważnego odczytywania sygnałów wysyłanych przez organizm.

Ciało przypomina o sobie nocą skurczami (*Z ciała: dwa*), bywa posłuszne i niespokojne, daje o sobie znać powiększonymi węzłami chłonnyymi (*Węzły chłonne*), sygnalizuje o niedoborach witamin (*Z ciała: cztery*), odmawia współpracy (*Z ciała: pięć*), „płyn robi coś / w jamie stawowej lewego kolana” (*Z ciała: jedenaście*), a także choruje (*Umowa*). Biorąc pod uwagę fakt że w tomie znalazło się trzydzieści wierszy, w których

Próba jasnego

KSIAŻKI

dominuje somatyczna wiwisekcja, a także sposób, w jaki poetka pisze o czymś, co mimo że nie powinno przerażać, jednak domaga się czulej uwagi i wywołuje trwogę, można uznać troskę o kondycję fizyczną za naczelną temat tomu i bez problemu wskazać patronat Jolanty Brach-Czajny. Filozofka pisała w *Błonach umysłu*: „Nie mając kontaktu z wewnętrznym ciałem, akceptujemy niedostępność tego, co może stanowić sedno życia. Jego głębokie procesy są poza świadomością. A my spokojnie żyjemy z tą gruntowną niewiedzą o sobie. I nabieramy strasznego przekonania, że to, co istotne, może pozostawać poza uwagą, niedostępne, niepojęte i jakby nas nie dotyczyło. Godzimy się na to” (Brach-Czajna 2003, 102). To właśnie fakt, że cielesna powłoka człowieka jest nieprzenikniona, a pod jej kolejnymi warstwami może dojść (choć nie musi) do niepokojących mutacji, wywołuje uczucie wzniosłości. Filozofka pisze: „Godzimy się na to, że zjawiska przyrody mogą budzić uczucia piękna i wzniosłości, ale robimy błędne założenie, że sami jesteśmy poza przyrodą” (Tamże, s. 112). Lebda zdaje sobie sprawę z zagrożeń, jakie mogą pojawić się na skutek zaniedbania ciała, dlatego traktuje je z należytą uwagą, nie lekceważy sygnałów, pojedynczych oznak zmian. W *Mer de Glace* perspektywa w skali mikro wypiera perspektywę globalną. Jedyną wspólnotą, jaką Lebda decyduje się poddać poetyckiej wiwisekcji, rozciąga się między dwoma podmiotami: człowiekiem i zwierciem.

Wspólnota ludzko-zwierzęca nie jest jednak w wierszach autorki *Spraw ziemi* poddawana retuszowi i przedstawiana jako idylliczne współistnienie, przeciwnie: z taką samą czułością należy dbać o ciało, jak również o zwierzęta. W *Karmieniu psów* poetka pisze: „nakarmić psy, opowiedzieć psom sen, wyprowadzić psy”. Codzienne czynności związane z opieką wyznaczają rytm egzystencji i świadczą nie tylko o oddaniu, lecz również zażyłości. Lebda udowadnia, że najważniejsze wydarza się podczas rutynowych zabiegów i to właśnie one stają się kolejnymi tematami *Mer de Glace*.

W jej wierszach pisanie i działanie pozosta-



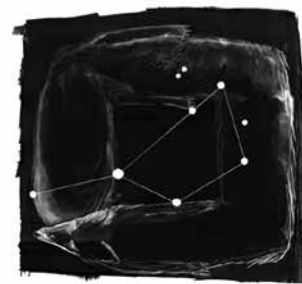
ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

ją nierozzerwalnie związane nie tylko w sposób najbardziej oczywisty (niedomagające ciało nie będzie w stanie podjąć pracy twórczej). Poza spełnieniem kilku warunków, które gwarantują powodzenie w pracy pisarskiej, spłot pisania i działania uruchamia jeszcze jeden kontekst: opieki nad tym, co kruche, słabe i zależne od człowieka. Nieprzypadkowo w *Z Bärfussa* pojawia się aluzja do utworu Krystyny Miłobędzkiej wiersz „powinien” z tomu *wszystkowiedze*: „Myślę też o tym, co wiersz – jak niektórzy mówią / – powinien, a czego nie powinien. Jaki ma pysk i jak go otwiera”. Powinności poezji rozciągają się nie tylko na kwestie mimetycznego odwzorowywania, autotematyzmu, budowania mikrokosmosu, który w swoim bogactwie dorównuje wszechświatowi rejestrowanemu przez człowieka, lecz również zaangażowania w sprawę ludzi i zwierząt.

Wymienione kwestie, jakie wiążą się z poezją, pozwalają na określenie jej jako „przybownika nadziei”, który w czasach kryzysów i przeżywanym końcu świata (inicjalny wiersz tomu można by zestawzić z tezą Timothy’ego Mortona o konieczności uświadomienia sobie właśnie wydarczającego się końca świata) pozwala na zwrócenie się ku temu, co ważne i partykularne.

Wiersze Lebdy pozostają zaskakująco jasne, mimo że w ukryciu czai się choroba, a ciało może niedomagać. To oczywiście efekt wyboru perspektywy. Bardziej niż całość interesuje ją wykrojona część rzeczywistości. Nie jest to strategia wycofania się, wybór postawy eskapistycznej – przeciwnie: im więcej spraw, na które człowiek nie ma wpływu, zaprzęta jego uwagę, tym trudniej skupić się na tym, co w *Mer de Glace* najważniejsze. Lebda jako zwolenniczka i propagatorka sztuki uważności wypada w najnowszym tomie nie tylko przekonująco, lecz również efektownie. ■

Małgorzata Lebda: *Mer de Glace*, Wrocławskie Wydawnictwo Warszawskie, Wrocław 2021, s. 47.



Rozwidlające się poszlaki

KSIAŻKI

PIOTR SKOWRONEK

Z okładki najnowszego tomu wierszy Wojciecha Brzoski *Plejady* spogląda na nas mapa nieba, ukazująca tytułową gromadę gwiazd otoczoną futrzastym ciałem śpiącego zwierzęcia, ni to psa, ni to lisa.

Mitologiczne aberracje zapowiadają odległe horyzonty, niepewności, kontrowersje, uniki – jednym słowem skrobanie farby słów i zbudowanych zeń znaczeń wpisanych w poetykę Brzoski. I niech nie zmyli nas klasyczne motto wywiedzione z Iwaskiewicza: „Po cóż świecą Plejady i łzy w twoim oku,/ Gdy je ogarnia czarna przemijania rzeka?” Owszem poezja ma moc ocalania, ale ta tutaj, raczej drąży rzeczywistość, odgina jej rogi, zagląda za utarte schematy frazeologizmów, dzieląc je często „na pół” i odnajdując nowe sensy, jak w wierszu *pogoda ducha*, w którym trzeba: „jak najszybciej zaplanować dzień, żeby, bez deszczu, czasem czas/ nie przeciekał przez palce”. Dobór słów, owo „czasem czas”, „oniryczny ulicznik” czy „odtaja. / na nowych rozstajach” (takich form jest sporo), pokazują także „cienkie” ucho poety, który w *swoim* drugim, artystycznym fachu, jest muzykiem. Stąd część wierszy np. *Seledynowy jazz* funkcjonuje lub może funkcjonować w obu obiegach estetycznych. Wróćmy jeszcze na moment do Iwaskiewicza. Wskazówka motta kieruje nas bowiem także w stronę leitmotywu tamtego wiersza, który brzmi: „Plejady to gwiazdozbiór już paźdzernikowy”. Cóż znaczy ta podpowiedź? Ano, trzymając się wytyczonych „swojską” tradycją torów: że czas bezpiecznej żeglugi się skończył, że musimy uważać na wiry, wiatry i prądy, a w samej konieczności podróżowania: „kontrola wykazuje konieczność/ posiadania żółtych papierów// już dawno zasłużyliśmy na nie,// myślą i mową – // żadnym zaniedbaniem”.

Tom podzielony jest na trzy części. Próbując zgadnąć, co je wyróżnia, postawiłbym na relacyjność. Pierwszej patronuje „ja”, drugiej „ona/on”, trzeciej „my”. Poeta zatem rozgląda się wokoło, bada dostępną rzeczywistość i próbuje ją w słowie, jak w wierszu *szyfrowe wczasy*, gdzie przypadkowy spłot zdarzeń rodzi makabreskę: *zachowuj się jak człowiek – siedź w więzieniu – / nie dowierzam własnym uszom, słysząc bawiące się obok plaży//dzieci.//w zatoce czasu szyfrowe wczasy z widokiem na przedszkole i cmentarz.// w zakładzie pogrzebowym korzystna oferta:/ pogłębianie starych grobów.// dzisiaj rano nie mogłem się zwlec z pokoju –/ dopiero żalobny kondukt pod oknem pobudził mnie/ do życia.// niemowa sępi fajki, mewy odzyskują mowę.// co wieczór w poświęcie zachodzącego słońca/ wszyscy rytualnie brodzą.// nagroda pocieszenia gwarantowana – głosi napis w wesołym miasteczku. Kompilacja zasłyszanych słów i „zawidzianych” napisów, przerzutnie, połamane frazeologizmy, gry słowne tworzą, jak nazwał to Marek Krystian Emanuel Baczewski: „obserwatora świata przygodnych zdarzeń”, którego*

twórczość, jak chce Paweł Koziół, charakteryzują: „realizm, ironia i odwołania religijne”. Te ostatnie przesunęły chyba punkt ciężkości na egzystencjalną „rozkminę”, ale dwa pierwsze składniki mają się zdecydowanie dobrze. Ja dodałbym jeszcze do nich zawieszenie głosu. Brzoska osiąga je dwoma sposobami. Pierwszym jest podwójny odstęp między frazami, który daje czas na myślenie, na wybrzmienie ironii, zadumy, dostrzeżenie gry. Wiersz ma dzięki temu swój właściwy rytm, tak ważny dla muzyka. Czasem ów takt zapowiada już tytuł, jak w zamykającym tom wierszu *niedostatki*, który brzmi: „*niedobre niebo – mów/ mała dziewczynka.// vis maior – siła wyższa, myślę,/ patrząc na przystań.*”, a wydłużony antrakt staje się swoistą osią symetrii kompozycji wiersza. Drugim narzędziem Brzoski jest interpunkcja. Brak wielkich liter i obecność kropki, w zdaniach nazwijmy je „nierozpoczętych”, sprawiają wrażenie jakby ich niezapisany początek tkwił gdzieś do tej pory we wnętrzu autora, jak robak w jabłku. Taki od razu staje się jawny i łatwo go pomylić z przerzutnią. Spójrzmy jak funkcjonuje w wierszu *jamy*: „Rozstania zaczynają się w języku, kiedy przestaje się mówić my.// potem jamy, w których się chowamy, / udając dobrze zahibernowanych.// wiosna nas odtaja.// na nowych rozstajach”. Efektem jest poszerzenie czytelnicy wyobraźni, która musi ów gest przyjąć i intuicyjnie „wypełnić”.

Wróćmy jednak do cytowanych już *szyfrowych wczasów*. Bohater nieprzypadkowo drga na słowo „więzienie”, wszak jego realne alter ego związane jest zadowo do pracy w służbie więziennej. To oczywiście pociąga za sobą pewne konsekwencje językowe, jak w wierszu *zgubiony*: „*przyszedłem się tu zgubić, / chociaż pilnie strzegą mnie, / a ty odwiedzasz nie tylko// we śnie.// raz w tygodniu miemywidzenia, // przez kraty, na zadany temat.//*”. Jednak ślady owej pracy odnajdziemy przede wszystkim w sposobie „śledzenia” rzeczywistości, w odkrywaniu jej naddanych czy utajonych sensów, w patrzeniu w odmienny, odkrywczy sposób, w dostrzeganiu tego, czego na pierwszy

rzut oka nie widać. Wszak – zawsze za literami stoi czyjaś ręka, ze zdań wychyla się czyjaś twarz – napisała nasza najmłodsza noblistka Olga Tokarczuk.

Brzoska pokazując nam *Plejady* stara się zatem prowadzić nas – niczym one starożytnych żeglarzy – mówiąc: „Zacznij od Belatrix (Wojowniczką). Wskaż tę gwiazdę kciukiem prawej ręki, a palcem wskazującym wskaż gwiazdę Aldebaran. Teraz trzymając tę odległość przesun rękę na północny zachód, tak aby na Aldebaran wskazywał twój kciuk. Teraz palec wskazujący pokazuje Plejady”. By je zobaczyć nie potrzebujemy przecież narzędzi, wystarczy wprawione ludzkie oko.

Poeta w liryczne strategie wprzęga różne konie. A to opowiada o miłości językiem matematyki, jak w nienazwanym wierszu rozpoczynającym się frazą: „*figury nieprzyrastające do siebie na urojonej// osi// trupiemiarnia miłości/ wyrobiona z cudu// wynikania.*”, a to stosuje barokową strategię jak z Naborowskiego, jak w wierszu z *urny do żłobka*, w którym „pożegnanie” kończy się tak: „*i jeszcze zdjęcie/ ze zdjęciem na stole.// w mieszkaniu mam dom/ pogrzebowy, na półce/ kamień z soły.// kiedy budzę się rano, oba mówią to samo.*” Śmierć jest zresztą w tym tomie materią szczególnie Brzosce bliską. Wiersze toczą także rozmowy, jawne i utajone. W wierszu *klincz* pojawia się sparafrazowany fragment utworu zespołu Klincz i Urszili, zaś w tekście *imitacje* wyraźna staje się aluzja do słynnego filmu Petera Weira: „*piknik pod wiszącymi słowami?*” Takich odwołań w liryce autora *Plejad* znajdziemy więcej i niech nie zwiedzie nas potoczny język, który posłusznie wykonuje swoje działanie ironicznie wierząc w nas dziurę, przecież: „*wszystko jest niejasne/ poza byciem// ku.*”, bo: „ *tłumaczę sobie, że liczy się/ tylko droga.// która nigdy nie kończy się.*” ■

Wojciech Brzoska, *Plejady*, Biblioteka Śląska, Katowice 2021, s. 72. Seria: *Ut Pictura Bibliotheca*.

„Encyklopedii Wiedzy o Śląsku”

JAN COFAŁKA

W powodzi ukazujących się u nas głównie sensacyjnych książek, cieszy to, że funkcjonują jeszcze ambitni uczeni i instytucje, które starają się przekazywać i wydawać rzetelną wiedzę o ważnych dla Śląska i Ślązaków sprawach i problemach. Do takich zaliczyć należy Instytut Śląski w Opolu realizujący serię książek ENCYKLOPEDIA WIEDZY O ŚLĄSKU, ze znakiem Rodła na okładce. Są to w zamysle wydawcy popularne, dobrze przemyślane i udokumentowane przez autorów książki poświęcone pogmatwanym dziejom Śląska i losom Ślązaków.

Do ważnych w tej serii pozycji, zaliczam dwa ostatnio wydane jej tomy. Mądrze i starannie pomyślany wybór 44 dokumentów, dokonany przez Michała Lisa i Aleksandrę Trzcielińską – Polus, ze wstępem i w opracowaniu Michała Lisa pt. **Górny Śląsk i Ślązacy w latach 1740–1950 – w oczach Polaków i Niemców** oraz pozycję: **Śląska Opolskiego droga do Polski** w wyborze i z wprowadzeniem niestrudzonego prof. Michała Lisa.

44 dokumenty

Pierwsza pozycja z prezentowanych zawiera 44 dokumenty – jak pisze autor pomysłu i wstępu – stanowiących wybór opinii o Górnym Śląsku i Górnoślązaczach, będących pod względem etnicznym i kulturowym w przeważającej masie autochtoniczną polską społecznością. Najbardziej uwidoczni-

ło się to w języku komunikacji, modlitwie, przekazywaniu tradycji oraz w zwyczajach i obyczajach. Prusacy zwrócili na to uwagę od początku panowania na Śląsku rozpoczętego tzw. wojnami śląskimi trwającymi od grudnia 1740 do 1763 roku, zakończonymi utrwaleniem się pruskiego zaboru tej dzielnicy należącej dotąd do monarchii austriackiej. Autorzy wyboru dokumentów – co czyni go poznawczo jeszcze bardziej interesującym – świadomie unikają umieszczania w nim stanowisk polityków z zasadniczym wpływem na politykę i na znane historyczne wydarzenia. Tym samym przyjmujemy ten wybór z większą wiarygodnością. Zarówno opinie przychylnie Górnemu Śląskowi i Ślązacom, jak również krytyczne, których również nie brakuje. Syntetyczne informacje o autorach cytowanych dokumentów i źródle ich pochodzenia znajdujemy w przypisach.

Autorzy wyboru dokumentów zasługują na szczególne uznanie, zwłaszcza na ogrom pracy jaki musieli wykonać przeglądając ich tysiące, aby zdecydować o przytoczeniu najbardziej charakterystycznych, obejmujących ponad dwa wieki dziejów Górnego Śląska pod niemieckimi rządami. Staranność wyboru i ich różnorodność potwierdzona została również w sposobie przygotowania ich tytułów. Z każdego z przytoczonych dokumentów wybrano jego zasadniczy motyw, który wyniesiony do tytu-

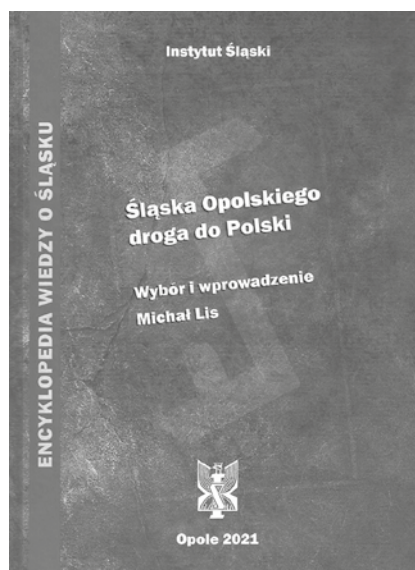
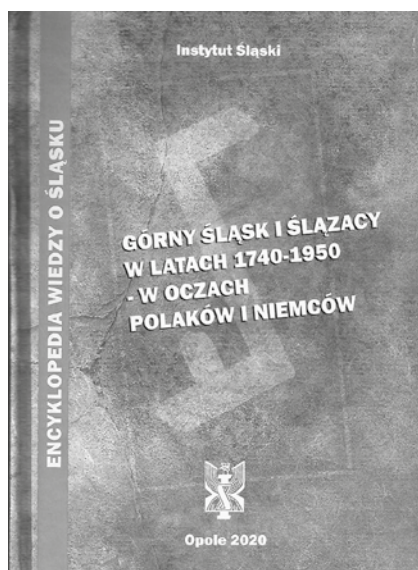
łu, wprowadza czytelnika w merytoryczną informację o jego zawartości. Tym samym spis treści książki stanowi swoisty przewodnik ułatwiający wyszukanie tego czego należy się w danym dokumencie spodziewać.

Tom otwierają fragmenty wstępnego układu pokojowego zawartego 11 czerwca 1742 r. we Wrocławiu między Prusami i Austrią, w którym przejmujący Śląsk od Austrii Król Prus deklaruje, iż chce: *zachowania status quo religii katolickiej na Śląsku, a także pragnie, aby wszyscy mieszkańcy tego kraju zachowali swoją własność i dalej mogli w pełni cieszyć się bez przeszkód swoimi słusznie uzyskanymi wolnościami i przywilejami.*

Przytoczenie tego fragmentu deklaracji pozwala konfrontować ją następnie z realizowaną, coraz konsekwentniej, z czasem wręcz brutalnie, polityką kolejnych rządów pruskich mającą na celu włączenie zdobytego militarnie Górnego Śląska w skład pruskiego organizmu państwowego, z zamiarem jego skolonizowania i zgermanizowania.

W kilku początkowych dokumentach autorzy sięgnęli po opinie o sytuacji jaką na Górnym Śląsku zastał jego nowi władcy. Wynika z nich, iż większość mieszkańców posługiwała się mową polską, szczególnie powszechnie i w najczystszej formie na wsi, gdzie lud, mimo wielowiekowego oderwania od Polski, zachował język polski z wiarą katolicką, obyczajami oraz tradycjami. Przy czym mowa polska rozczepiała się na wiele gwar. Jednocześnie przybywający tu Niemcy zauważają bezmiar panującej tu, w przeludnionych wsiach, nędzy. Z głodu, w czasach nieurodzajów lub po powodziach wybuchają zaraźliwy wyniszczające ludność. Niektórzy uznają autochtonów i warunki w jakich żyją za ludzi niższej kultury, wręcz podludzi, co nowych władców Śląska miało upoważniać do narzucenia im swojej niemieckiej kultury z coraz brutalniejszym eliminowaniem wszystkiego, co polskie.

Tym samym ujawnia się obłuda wspomnianej wrocławskiej deklaracji z 1742 roku. Ale, im bardziej próbowano Śląsk kolonizować, germanizować i odsławiańszczyć, tym bardziej uruchomiły się, nieprzewidy-



wane przez władze, procesy społeczne polegające na uświadomieniu sobie przez znaczącą część Ślązaków, potrzeby obrony przed wynarodowieniem. Pojawili się ludzie, którzy potrafili im przewodzić w umacnianiu ich samoświadomości i przynależności do polskiej wspólnoty narodowej, ze znanym finałem w dramatycznym okresie powstań śląskich i plebiscytu 1921 roku. Dochodziło do tego, że Arka Bożek, jeden wybitnych działaczy śląskich, aby się obronić przed niemieckimi bojówkami napadającymi na Polaków, musiał posiadać broń, a nawet użyć granatu dla ich odstraszenia.

Wybór dokumentów nie bez przyczyny zakończony został przez autora dwoma ostrzegawczymi. Dokumentem o niezmiernie złożonej psychice Ślązaka pod względem uczuć narodowych, po wielowiekowych doświadczeniach z przechodzeniem z rąk do rąk oraz fragmentami opracowania o sytuacji ludności autochtonicznej napisanego w grudniu 1949 roku, już po włączeniu całego Śląska do Polski, w którym sygnalizuje się ówczesnym władzom pojawienie się nowego zjawiska, wzmagających się kontaktach z przedstawicielstwem Niemieckiego Czerwonego Krzyża w Warszawie, osób zamierzających wyjechać z Polski do Niemiec, także o napływających podaniach do miejscowych władz z prośbą o zezwolenie na wyjazd do Niemiec.

Śląska Opolskiego droga do Polski

Druga z polecanych książek mówi o tym, co działo się na dzisiejszym Śląsku Opolskim sto lat temu, w okresie plebiscytu i powstań śląskich.

Prof. Michał Lis był w 1982 roku sekretarzem zespołu uczonych, którzy przygotowali monumentalne, niestety jedyne, wydanie przez Instytut Śląski w Opolu **Encyklopedii powstań śląskich** w 30 tysięcznym nakładzie. Po prawie czterdziestu latach autor postanowił, w setną rocznicę śląskich zrywów powstańczych lat 1919–1920–1921 przypomnieć tamte dzieje, gdy odradzająca się Polska na konferencji pokojowej w Paryżu domagała się włączenia w jej granice polskich powiatów Górnego Śląska. Prof. Michał Lis wybrał więc z tamtej niedostępnej już dziś **Encyklopedii** hasła związane ze Śląskiem Opolskim w jego dzisiejszym administracyjnym kształcie, uzupełniając je fragmentami przemówienia Wojciecha Korfanteo z 25 października 1918 w Reichstagu ze słynnym żądaniem: *Panowie posłowie, nie żądamy ani piędzi niemieckiej ziemi. Zgodnie z punktem 13 programu prezydenta Wilsona żądamy powstania jednej składającej się z trzech części*

Polski z dostępem do morza, to znaczy własnym wybrzeżem morskim, zamieszkałym przez niewątpliwie polską ludność... Żadne statystyczne sztuczki nie są w stanie zmienić faktu, że w Prusach Zachodnich lewy brzeg Wisły aż po półwysep Hel, włącznie z nim samym, jest zamieszkały przez ludność bez wątplenia polską... mamy roszczenia do polskich powiatów Górnego i Średniego Śląska – żadnego niemieckiego powiatu! do Poznania, polskich Prus Zachodnich i polskich powiatów Prus Wschodnich.

Wybrane hasła uzupełnił również wykazami poległych w powstaniach śląskich w powiatach należących dziś do Śląska Opolskiego zaczerpnięte z *Księgi poległych w powstaniach* podanej do druku przez Edwarda Długajczyka w 2005 roku. Warto przypomnieć, że tylko z powiatu strzeleckiego poległo 169 osób. Z powiatu kozielskiego – 31, olesko-kluczborskiego – 87, opolskiego – 67, prudnickiego – 10.

Znajdujemy więc w tej pozycji hasła związane z plebiscytem z 20 marca 1921 roku, jego ustanowieniem, prawnym oprzyrządowaniem, przygotowaniem, wykazem doradców polskich i niemieckich przy Powiatowych Międzysojuszniczych Biurach Plebiscytowych, przebiegiem plebiscytu na wyznaczonych terenach oraz wynikami w powiatach i gminach opolskich oraz powiecie głubczyckim. W części *Powstania* przytoczono hasła syntetycznie prezentujące przyczyny ich wybuchu, przebieg i efekty. Ale zasadniczą część pracy wiąże się z powiatami i miejscowościami, w których odbywał się plebiscyt w 1921 roku, toczyły się powstańcze walki i skąd wywodzili się ich uczestnicy. W tym wiele biografów działaczy plebiscytowych i powstańców z ich późniejszymi, często bardzo dramatycznymi losami w czasie II wojny światowej. Jednym słowem, jest to książka o wybijaniu Śląska Opolskiego, drogi do Polski.

Samoistną wartością omawianej książki prof. Michała Lisa jest napisane przez niego dwudziestostronkowe wprowadzenie do niej. Przypomina ono, w oparciu o ówczesny stan wiedzy historycznej i bazując na pruskiej dokumentacji, argumentację jaką delegacja odradzającej się Polski przekazała konferencji pokojowej w Paryżu o polskości żądanego terytorium, domagając się włączenia w jej granice m.in. polskich powiatów Górnego Śląska. Przypomniano wówczas fakt włączenia Śląska w granice państwa polskiego już w fazie jego organizacji pod koniec X wieku, podległość Kościoła polskiej metropolii. Wskazano na najstarszą dokumentację języka używanego przez żyjącą tu społecz-

ność oraz nazewnictwa związanego z miejscem życia, nazw osad, miast i rzek. Mimo oddzielenia dzielnic od językowego i kulturowego pnia w XIII/XIV w. społeczność w znacznej jej masie zachowała język polski w komunikacji i modlitwie, pielęgnując polskie zwyczaje i obyczaje oraz folklor. Ze Śląska wywodziło się wiele osób, które wpisały się złotymi zgłoskami w narodowe dzieje.

Na początku XX wieku według pruskiej dokumentacji na Górnym Śląsku, głównie na wsiach, panował język polski z czym Niemcy nie potrafili sobie poradzić. Podejmowane przez nich reformy, w tym utworzenie rejencji opolskiej ze stolicą w Opolu, wchodzącej w skład prowincji śląskiej we Wrocławiu, miały służyć przyspieszeniu germanizacji, nieoczekiwanie jednak przyczyniały się do wzmocnienia sprzeciwu przed wynarodowieniem. Pojawili się ludzie umacniający swym działaniem świadomość polskiej odrębności Ślązaków: J. Lompa, J. Szafranek, J. Wajda, K. Miarka i wielu innych. Ślązacy mieli posłów w Reichstagu, w tym W. Korfanteo. Ostatni przed I wojną światową spis ludności przeprowadzony w rejencji opolskiej w 1910 roku wykazał, że na 2 mln 208 tys. mieszkańców, 1 mln 170 tys. osób podało język polski jako ojczysty. Przywołuję bardzo wybiórczo za prof. M. Lisem argumenty za polsnością Śląska, której nie dało się przez wieki wytepić, gdyż w naszych czasach, przy próbach różnego definiowania patriotyzmu, jakoś rzadko po nie sięgamy. Dlatego ich przypomnienie przez prof. M. Lisa uważam za ważne. Tym bardziej, że Ślązacy bywają nawet uważani za Polaków gorszej, a nawet podejrzej, kategorii.

Polecając obie, moim zdaniem ważne, dla naszej świadomości książki muszą wyrazić żal, że ukazały się one we wręcz mikroskopijnych nakładach. Pocięciem może być to, że dojrzeła ponoć decyzja, aby je dodrukować by wystarczyło chociaż dla bibliotek, w których powinny być dostępne dla szerszego grona zainteresowanych. ■

Górny Śląsk i Ślązacy w latach 1740–1950 – w oczach Polaków i Niemców. Michał Lis i Aleksandra Trzecińska-Polus. Wstęp i opracowanie Michał Lis. Instytut Śląski w Opolu. Opole 2020, s. 288.

Śląska Opolskiego droga do Polski. Wybór i wprowadzenie Michał Lis. Instytut Śląski w Opolu. Opole 2021, s. 263.

Szkła kolorowe. Humoreski

WŁADIMIR AZOW

Przełożył MARIAN KISIEL

Dyplom

– Student Wydziału Weterynarii – przedstawił się młody człowiek.
– Bardzo mi miło! – powiedział Człowiek Naiwny. – Ja też lubię zwierzęta. Wie pan, mam dwa jamniki: Toddi i Tobby... Jeden bie...
– Nienawidzę zwierząt! – przerwał mu młody człowiek.
– Nie chcę oglądać żadnych zwierząt, może prócz jarząbków duszonych w śmietanie.
– Dlaczego więc zapisał się pan na Wydział Weterynarii? – zdziwił się Człowiek Naiwny.
– Cóż w tym dziwnego! – wykrzyknął młody człowiek. – Zapisałem się na Wydział Weterynarii dlatego, ponieważ nie dostałem się na Leśny.
– A, więc jest pan miłośnikiem lasu! – powiedział Człowiek Naiwny. – Bardzo, bardzo pięknie. Uwielbiam las... mieszkać w lesie, oddychać aromatem sosny – jakież to cudowne... W młodości i ja marzyłem o karierze leśniczego...
– Nienawidzę lasu! – przerwał mu młody człowiek. – Las, według mnie, jest dobry tylko wtedy, kiedy zamienia się w drwa...
– Więc dlaczego?... – zapytał Człowiek Naiwny.
– Dlaczego chciałem się dostać na Leśny? Dlatego, że nie udało mi się dostać na Elektrotechniczny.
– Rozumiem! – powiedział Człowiek Naiwny. – Porywa pana sukces elektryczności... O, elektryczność – to cały świat... To jest to, co może porwać młodą duszę pragnącą wiedzy... Wszak w rękach elektrotechnika jest klucz do szczęścia ludzkości, do rozwiązania kwestii społecznych... O, elektryczność jest w stanie zw...
– Nienawidzę elektryczności! – przerwał mu młody człowiek. – I nigdy się nią nie interesowałem. Rozdział „Elektryczność” został przeze mnie wydarty z podręcznika fizyki.
– ?
– Chciałem zapisać się na Wydział Elektrotechniczny, ponieważ nie udało mi się dostać na Wydział Budownictwa.
– Rozumiem. – powiedział Człowiek Naiwny. – Marzył pan o pracy budowniczego. To szlachetne i ciekawe zajęcie. Zbudować duży, trwałe most, czyż nie jest tym samym, co zbudowanie sobie pomnika?
– Nienawidzę budów! – przerwał mu młody człowiek.
– I nigdy nie rozumiałem tej dziwnej ambicji budowniczych... Dla mnie mogłyby nie istnieć żadne mosty... Czyż nie można przejść brodem? Chciałem zapisać się na Wydział Budownictwa, ponieważ nie udało mi się dostać na Technologiczny.
– Rozumiem! – wykrzyknął Człowiek Naiwny. – Jest pan, zapewne, jednym z tych wielu zakochanych w fabryce, w tym piekle, które jest razem z czyścikiem... O, rozumiem zainteresowanie fabryką... Ja sam w młodości nie mogłem przejść obojętnie obok ogromnej fabryki... Ciągnęło mnie do tej świątyni pracy, gdzie w trudzie człowiek wykuwa nowy kształt...
– Nienawidzę fabryki – przerwał mu młody człowiek. – Jaka z nich korzyść, z tych fabryk? Tylko sadza! Żeby się wszystkie zawałyły, przekłęte. Tylko zakażają powietrze, zatrują wodę. Chciałem zapisać się na Technologiczny, ponieważ nie udało mi się dostać do Wojskowej Akademii Medycznej.

– Ach, w tym rzecz! – wykrzyknął Człowiek Naiwny. – Chciał pan poświęcić się cierpiącej i schorowanej ludzkości? O, to najszlachetniejsze z zadań, najbardziej honorowa ze służb... Leczyć, widzieć jak chory przykuty do łóżka ciężką niemocą, zaczyna zdrowieć... Widzieć radosne twarze jego rodziny... Wysłuchiwać słów wdzięczności od matki uratowanego przez siebie dziecka... Jakież godny pozadzroszczenia los... Rozumiem pana, młody człowieku...
– Nienawidzę całej tej łacińskiej kuchni i zamieszania z chorymi! – przerwał mu młody człowiek. – Nuda. I ten brud! – ?
– Chciałem zapisać się do Wojskowej Akademii Medycznej, ponieważ nie udało mi się dostać na Wydział Języków Wschodnich.
– Rozumiem – wykrzyknął Człowiek Naiwny. – Wschód! O, ten Wschód – ten sen, ta bajka, to marzenie... Chciał pan rozwiązać wschodnią zagadkę, głębiej zajrzeć w półsenne oczy tego tajemniczego giganta, nazywanego się Wschodem...
– Niczego pan nie rozumie! – zdenerwował się w końcu młody człowiek. – Jakby się pan urwał z księżycą, naprawdę! Po prostu chcę zdobyć dyplom wyższego wykształcenia, a jakiego konkretnie, czy to nie wszystko jedno, naprawdę?
Człowiek Naiwny poczuł się zakłopotany.

Idiota

– Dlaczego z Kijowa wysiedlają Żydów?
Pytający był na oko człowiekiem zupełnie normalnym. Miał niegłupią twarz. Z oczu błyskała nawet jakaś inteligencja.
– Jak to dlaczego, odpowiedziałem. – Dlatego, że są Żydami. Wzruszył ramionami.
– Wiem, że są Żydami – powiedział. – Ale ja pytam, dlaczego wysiedlają Żydów?



foto arch.

Wprawdzie nie miał głupiej twarzy, ale jakoś dziwnie słuchało się ponownie tego głupiego pytania.

– Żydzi – wyjaśniłem mu jeszcze raz. – Żydowskiej wiary. Oto dlaczego ich wysiedlają.

– A dlaczego ich nie wysiedlili wcześniej?

– Przeczyli – wyjaśniłem. – Byli zajęci. Ale teraz mają więcej czasu, więc zaczęli wysiedlać.

– To znaczy, że mieli prawo mieszkać w Kijowie – powiedział. – Dlaczego więc ich wysiedlają?

– Przecież oni są Żydami – wykrzyknąłem.

– No tak – powiedział – wiem, że Żydami. Ale ja pytam, dlaczego naruszono prawo?

– Ale przecież w odniesieniu do Żydów! – wykrzyknąłem. Jego głupota zaczęła mnie już drażnić.

– Pan mnie nie rozumie – powiedział ze spokojem. – Ja pytam, dlaczego ludzi wysiedlają, a pan twierdzi, że oni są Żydami. Niech pan odpowie na moje pytanie!

– Przecież panu na nie odpowiadam – krzyknąłem. – Mówię do pana po rosyjsku: wysiedlają ich dlatego, z powodu i za to, że są Żydami.

– Żydów wysiedlają dlatego, że są Żydami?

– No, oczywiście! W końcu pan to zrozumiał!

– Niczego nie rozumiałem. Zrozumiałem tylko, że wysiedleni nie są katolikami i nie są protestantami, ale Żydami. Ale za co tych ludzi wysiedlają, na Boga, nie rozumiem.

– Przecież Żydzi nie mają prawa mieszkać w Kijowie.

– Ale przecież dotąd mieszkali!

– A czy nie mieszkali wystarczająco długo? Wcześniej mieszkali, a teraz, proszę, do widzenia.

– Dlaczego?

– Znowu dlaczego? Dlatego, że są Żydami!

– Ale przecież byli Żydami i wtedy, kiedy mieli prawo do zamieszkania?

– I za to samo ich wysiedlają, że byli i pozostali Żydami.

– To znaczy, że naruszono prawo! To znaczy, że nie mają prawa wysiedlać!

– Kogo? Żydów?

– No tak, Żydów. Przecież mówimy o Żydach.

– Nie chce pan zrozumieć! Żydów zawsze można wysiedlić.

– Dlaczego?

– No dlatego, że są Żydami!

– Dlatego, że są Żydami, można ich wysiedlać?

– Jasna sprawa! Każde dziecko to rozumie.

– Ale dlaczego można ich wysiedlać, kiedy mają prawo mieszkać i przez tyle lat mieszkali?

Zagotowało się we mnie.

– Jest pan idiotą! – krzyknąłem. – Przecież dlatego, że są Żydami.

Poczuł się urażony. Pobladł cały i odszedł ode mnie. Ale nie żałuję. No jakże nie jest idiotą, skoro nie rozumie tak prostych rzeczy?

Z dziejów walki z pijaństwem

– Czwarteczkę wina – poprosił Jan bez Pamięci.

– Nie ma wina! – powiedziała bufetowa, wyjmując spod kontuaru butelkę, na której etykiecie z trupa czaszką wydrukowano wielkimi literami: „Trucizna”. – Jest tylko trucizna. Jakiej trucizny życzy pan sobie czwartkę? Państwowej czy stołowej?

– Z czerwoną czaszką niech pani da – powiedział Jan bez Pamięci. – Jak się truć, to się truć.

– Jak pan śmie! – obraziła się sprzedawczyni. – Tu nie karcza, a państwowy sklep z winami. Tutaj ludzi się nie truje. Powinno się wezwać policjanta i odesłać pana do aresztu.

– Ale na etykiecie wydrukowano, że trutka i zamiast orła jest szkielec – powiedział Jan bez Pamięci.

– Po pierwsze – z naciskiem zauważyła sprzedawczyni – nie jest to szkielec, a głowa Adama, i to jest znak Minister-

stwa Finansów, za którego znieważenie odpowie pan z paragrafu. A po drugie, żadna trutka tu nie figuruje. Tu napisane jest wyraźnie: trucizna, i nie należy tego słowa rozumieć dosłownie, ale jako troskę o narodową trzeźwość.

Posmutniawszy, Jan bez Pamięci wsunął do kieszeni butelkę i pospiesznie wyszedł na ulicę. Pomimo zmiany nazwy państwowego wina na państwową truciznę, brama, w której miał zwyczaj rozpijać nabyte w sklepie trunki, znajdowała się na starym miejscu, a policjant, jak zwykle, starał się nie widzieć tego, co działo się w bramie.

Jan bez Pamięci odprawiwszy się równie szybko, jak szybko się zawstydził, schylił się pod gościnną krokwią, niemal instynktownie wyciągnął z butelki korek, i odchyliwszy głowę do tyłu, od razu wlał w gardło całą zawartość butelki.

Splunął, to w zupełności zastępowało mu zakąskę, otarł usta rękawem i powiedział:

– Gdyby pić taką truciznę częściej, to i żal byłoby umierać.

I poszedł z powrotem do sklepu, żeby wymienić pustą szklę po truciznie na pieniądze.

– Poproszę trucizny czwarteczkę – powiedział Jan bez Pamięci.

– Nie ma żadnej trucizny – odpowiedziała sprzedawczyni, wyciągając spod kontuaru butelkę, na której etykiecie, gdzie pokazano piekielną gehennę, wydrukowano wielkimi literami: „Grzech śmiertelny”. – Jest tylko grzech śmiertelny. Jakiego chce pan grzechu śmiertelnego czwartkę? Państwowego czy stołowego?

– Niech pani da zgrzeszyć z czerwoną główką – powiedział Jan bez Pamięci.

– Niech się pan nie wyraża! – fuknęła bufetowa. – To nie jest miejsce schadzek, ale państwowy sklep z winami. Tutaj się nie grzeszy, ale wydaje rektyfikowany grzech śmiertelny w interesie narodowej trzeźwości, czterdziestostopniowej mocy, bez żadnego oszustwa.

Jan bez Pamięci udał się do znajomej bramy, w której wcześniej rozpijał wino państwowe, potem państwową truciznę, i z zadowoleniem wygulgotał państwowy grzech śmiertelny.

W państwowych sklepach z winami, w celu odwiedzenia od pijaństwa Jana bez Pamięci, ostatnio sprzedawano: Nalewkę z pluskw i karaluchów; w miejscu dawnego orła – z etykietą pluskwy i karalucha.

Czarna śmierć z etykietą na pół stgnącego trupa.

Ziarny śmierć; w miejscu dawnego orła – z etykietą p. Mienszykowa pod postacią zmokłej kury.

Tymczasem Jan bez Pamięci brał i zanosił do bramy i karaluchówkę, i czarną śmierć, i mienszykówkę.

Wtedy wszyscy zrozumieli, że taka walka z pijaństwem nie ma sensu i Duma Państwowa postanowiła powrócić do tego, co było wcześniej. ■

Władimir Azow, właśc. Władimir Aleksandrowicz Aszkinazi (1873–1941 albo 1948), rosyjski pisarz, felietonista, tłumacz literatury amerykańskiej. Przed Rewolucją Październikową współpracował z petersburskim „Satyrikonem”, gdzie publikował farsy, skecze, humoreski. Aresztowany w 1919, siedem lat później wyemigrował do Francji. W latach 30. XX wieku związany z paryską lożą masońską Jupiter. Opublikował tom Szklę kolorowe. Opowiadania satyryczne (Sankt-Petersburg 1911), z którego pochodzą prezentowane tu humoreski.

O twórczości Tadeusza Króla. Magnetyczna potrzeba wędrowki

STANISŁAW BAJ

Tadeusz Król, malarz z bogatym doświadczeniem w sztuce graficznej, znajdujący się pod ogromnym wrażeniem struktur fragmentów pejzażu, gry światła w nich zawartego i koloru, który nadaje im niezwykle brzmienie. Struktury pejzażu są dla artysty znakomitym pretekstem do malarskich interpretacji, w których ujawniają się jego duże możliwości warsztatowe, głównie sensualne. Treść obrazów jest tu frapującym dywanem przyrody, który jedynie naprowadza widza, zwabia, sygnalizując swoje bogactwo, ale głównie odkrywa niepowtarzalny język plastyczny artysty, jego różnorodne możliwości, specyfikę, wirtuozerię.

Dominuje w owych strukturach gra światła, jednocześnie nierozzerwalnie zespolony z nią jest kolor, tak jakby owe wartości bez siebie nie mogły istnieć. Karmią się one nawzajem swoją zawartością, witalnością, niepowtarzalnością malarskiego obrazu i poetyki autora. Obie wartości, a także wizualność obrazu i wyraz autorskiej interpretacji pejzażu, to jednocześnie przestrzeń malarstwa jako medium wyjątkowego, zasadniczo różniącego się od innych i wciąż żywego.

Tak postrzegane malarstwo pobudziło wyobraźnię twórcy, sprawiło iż ruszył w świat tego żywiołu sztuki. Będąc grafikiem, czyli znając pewne rygory warsztatowe, a także potrafiąc być konsekwentnym, mając cierpliwość, nawet przewidywalność i zdolność do namysłu – w malarstwie Tadeusz Król wybrał swobodę malarskiego wyrazu, a nawet pewne twórcze nieokiełznanie, co dało znakomite rezultaty w postaci pulsujących witalnością płócien.

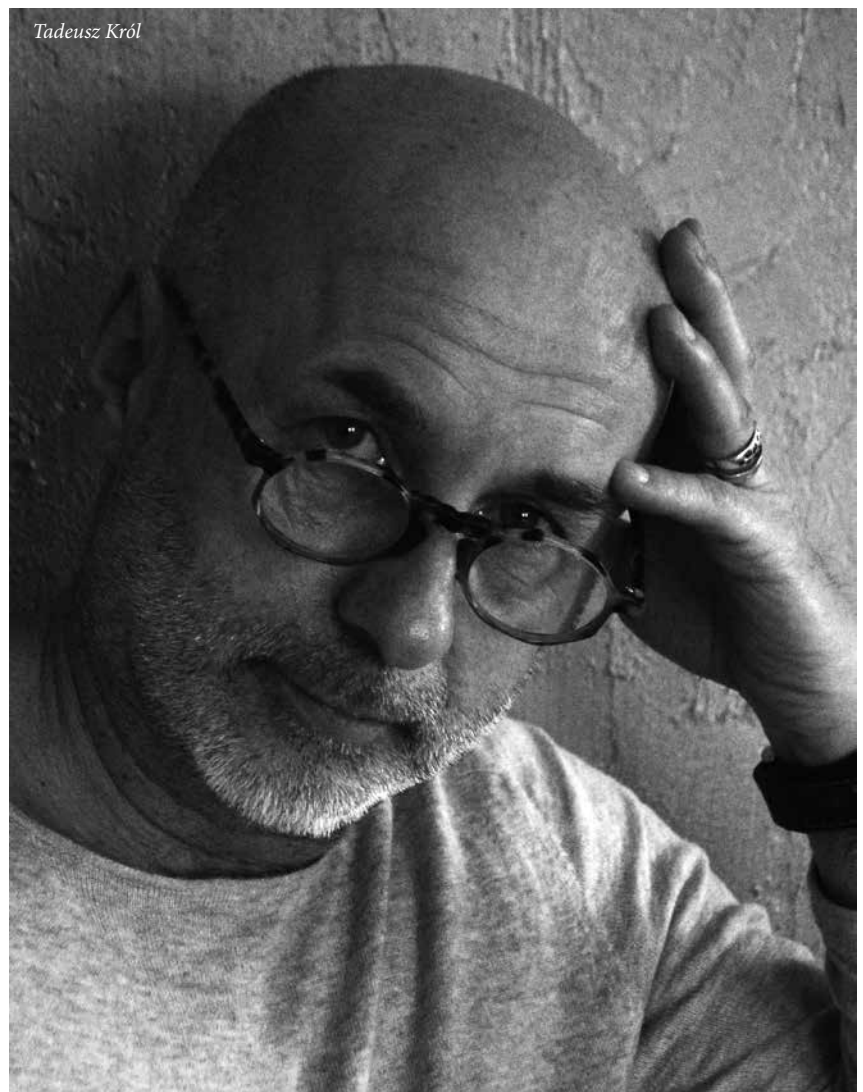
Zachwył nad światłem, nad kolorem, w rezultacie nad stwórczym żywiołem fizyczności materii, fizyczności świata – jest w malarstwie artysty dobitnym urealnieniem całego powabu świata, a jednocześnie zaproszeniem pod jego szklistą, pogmatwaną powierzchnię, pod którą przeczuwa się istnienie świata innego, tajemniczego źródła jego początku, pierwotnego sensu.

Chcąc skierować większą uwagę na istotny kierunek swoich malarskich poszukiwań, artysta bardzo rozważnie rezygnował z dokładnej lokalizacji miejsca

malowanego pejzażu. Jedyne, co może ogólnie wyznaczać owo miejsce, to obecność pór roku, lata czy zimy – gdzieś tu blisko nas, ale to uogólnienie wprowadza w uniwersalny, otwarty przekaz, w samo malarstwo.

Autor obrazów właśnie malarstwem próbuje skierować swoje i odbiorcy emocje, przeczcucia w głąb niepoznanego do końca, niezakłóconego trwania przyrody. Jeżeli widać w niej ludzki ślad, to dawny, w postaci zarosłych niegdyś kolein drogi, co tym dobitniej, bez sentymentu, wprowadza nastrój pustki metafizycznej. Takie realizacje dają ma-

larzowi możliwość i szansę twórczego odczytania tajemniczego rytmu przyrody, momentami przecież bezwzględnego; są próbą odkrycia za pomocą malarstwa jego istoty. Witalność światła w obrazach, kolor często nasycony, czysty, sprawiają, że wyczuwa się w nich swobody, wręcz zniewalający, który nas wciąga, zaprasza, byśmy – powodowani magnetyczną potrzebą wędrowki, jak w aurze filmu „Stalker” Andrieja Tarkowskiego – weszli w ten świat, w świat malarza, świat wędrowki w nieznanym. Z ciekawością świata, ciekawością siebie i jednak z nadzieją. ■





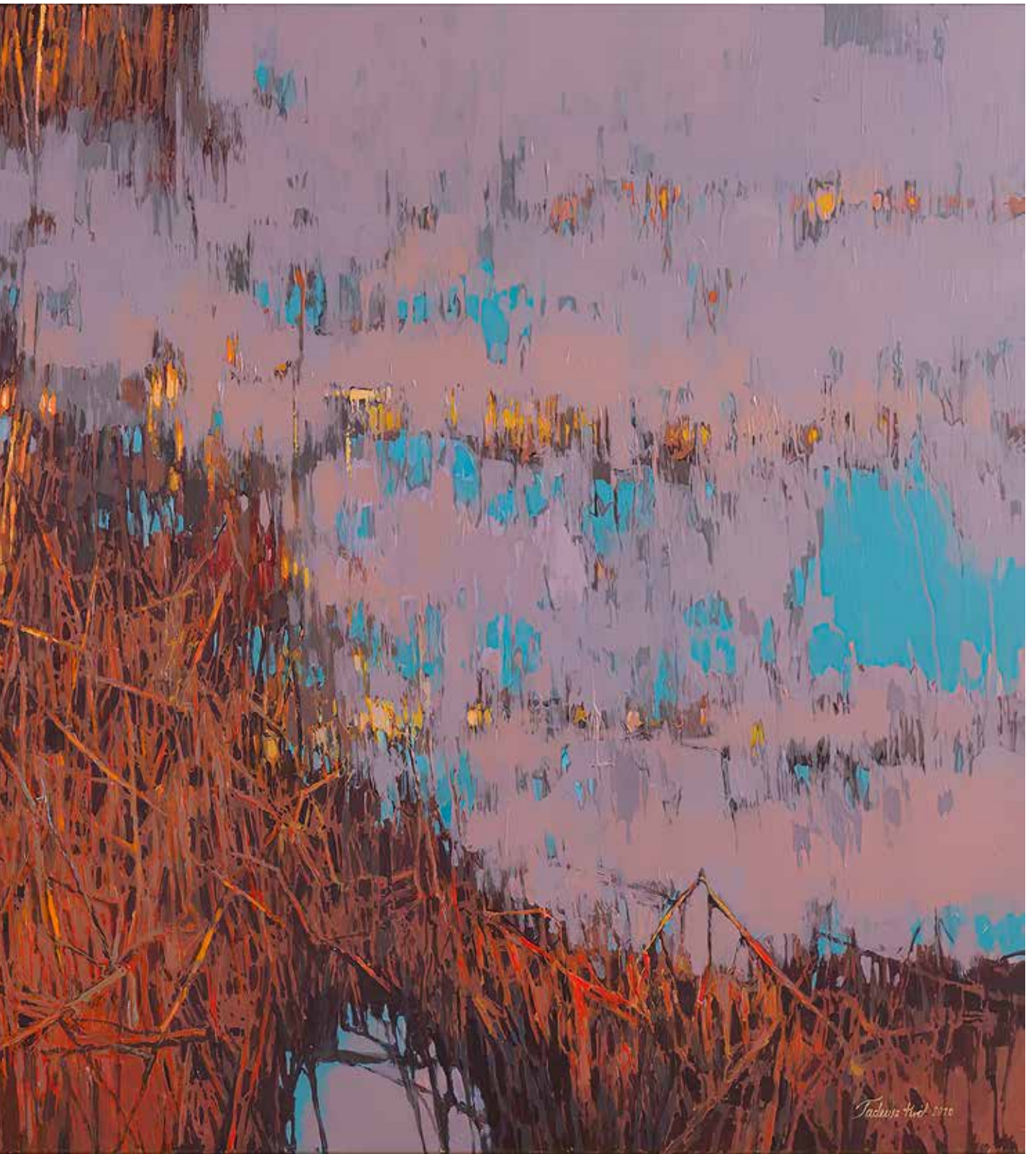
Tadeusz Król, „Trzy strumienie”, 100x160cm, akryl, 2020



Tadeusz Król, „Styczeń w lesie”, 140x180cm, akryl, 2020



Tadeusz Król, „Rozlewisko”, 100x180cm, akryl, 2020





Tadeusz Król, „Letnie południe II”, 140x100cm, akryl, 2020

Między ciszą a krzykiem

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Sonia Brauhoff

for. arch.

Ta muzyka rodzi się z ciszy. Powolutenku, powolutenku, powoli. Najpierw ledwie domyślamy się, że jest dźwięk, to raczej idea dźwięku niż on sam, akustyczny fenomen. Jest czy go nie ma? Jednak jest. Ledwie słyszalny, ale stały. Nabiera charakteru, ewoluuje w kierunku stopniowo poznawalnej barwy, rozwija się jak roślina. To niski, ciepły dźwięk, z którego emanują spokój, ale i zapowiedź dramatu – bo tak właśnie działają ciche, rozciągnięte dźwięki basu: można o nich mówić, iż niosą w sobie napięcie spokoju przed zawieruchą, burzą, dramatem natury i, być może, poszczególnego istnienia? Po jakimś czasie już wiemy – to wiolonczela. Pojawiają się kolejne dźwięki, łączą się z wiolonczelą – to są fortepian i harfa, najpierw na tej samej wysokości, stopniowo faktura zagęszcza się, pojawiają się dźwięki coraz wyższe, coraz ich więcej. Jeden po drugim ostrości nabierają gesty muzyczne złożone z kilku nut biegnących w górę, albo też powtarzanych motywów. Dochodzi do wyładowania emocji, po czym migotliwe figury harfy i niepokojące akordy fortepianu tworzą szerszą szeroko zakrojonej, lirycznej, lecz i szlachetnie bolesnej, pnącej się uparcie w górę melodii wiolonczelowej. Po chwili fortepian i harfa przejmują na siebie ciężar uwagi, wiolonczela niecierpliwie, uparczywie powtarza pewien dźwięk, jest coraz goręcej, ponownie dochodzi do krzyku, by naraz przemieścić nas do innego świata, gdzie śledzimy proces rozrzedzania faktury, zamierania muzyki – to jakby lustrzane odbicie początku tej niesamowitej, zajmującej noweli utkanej z brzmienia. Wreszcie wszystko rozsnuwa się w nicności, jak mgła w powietrzu nad ranem. Powyższy literacki opis, nie mający oczywiście żadnych ambicji analitycznych, odnosi się do *In principio...* z 2015 na harfę, wiolonczelę i fortepian, utworu, który wymyśliła, zaprojektowała i kunsztownie przeprowadziła w partyturze Sonia Brauhoff. Sama kompozytorka tak mówi o utworze: *Inspiracją do powstania In principio... był Prolog Ewangelii wg św. Jana. Kompozycja jest jednoczęściowa, wyróżnić w niej można jednak trzy wyraźne ogniwa – każde nawiązuje do innego fragmentu biblijnego tekstu. Pierwsze do słów: Na początku było Słowo, Słowo było u Boga*

i Bogiem było Słowo. *Środkowe: W Nim było życie, a życie było Światłością ludzi. Ostatnie: A Światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła. Podstawę formotwórczą utworu stanowi kilka charakterystycznych myśli muzycznych, będących dźwiękowym odzwierciedleniem nowego życia rozwijającego się pod sercem matki, z którym kompozytorka łączy stworzenie świata i człowieka, o których mowa w Prologu. In principio... zgodnie z zamiarem autorki powinno przynieść słuchacza w przestrzeń wiecznego spokoju i nieskończoności. I tak się rzeczywiście dzieje.*

W muzyce Soni Brauhoff lubię przede wszystkim szczerość niewymuszonej, medytacyjnej a zarazem gorącej ekspresji, niemal bez wyjątku inspirowanej przez Pismo lub religijną poezję najwyższej próby (Jana Pawła II, ks. Jana Twardowskiego); przejrzystość instrumentacji – nawet w odcinkach pisanych dla większej ilości muzyków nie przygniata masowość brzmienia, za którą często kryje się brak orkiestracyjnych umiejętności (w tłumie wszystko brzmi „dobrze!”); a szczególnie ekonomia środków. Kompozytorka potrafi skonstruować dłuższe przebiegi opierając się na materiale ograniczonym do kilku nut, albo drobnych znaków fakturalnych, mimo to zawsze jest w stanie, nawet w formach rozbudowanych, jak np. w doskonałych *Septem verba...* na orkiestrę symfoniczną z 2019, utrzymać napięcie przebiegu od początku do końca. Sonia Brauhoff nie stroni od muzycznej symboliki i aluzji do barokowej teorii afektów (*Affektenlehre*), naturalnie w tym przypadku filtrowanej przez dzisiejszą świadomość twórczą. Np. w dramatycznym dziele na chór i perkusję *Mój Bóg jest głodny* z 2016 w partiach perkusji wiodącą rolę odgrywają instrumenty drewniane, marimba i paszczki (*temple blocks*) symbolizujące drzewo Krzyża, do czego dochodzą odpowiednio formowane frazy zespołu chóralnego. Jej styl, bo to niewątpliwie jest własny styl, można nazwać romantyzmem sonorystycznym, gdzie dobrze już utwierdzone współczesne techniki i środki kompozytorskie, znane z wczesnych dzieł Pendereckiego, Góreckiego, Kilara, Schaeffera służą muzyce, której źródła emocjonalne wypływają z muzyki romantycznej

i późnoromantycznej, choć niekoniecznie z (rozszerzonej) tonalności – muzyka Soni Brauhoff to wysoce przekonywująca synteza tego, co było z tym, co staje się tradycją na naszych oczach. Nowa Muzyka wypracowała sobie cały arsenał środków, które przejęli nawet bardziej zachowawczo zorientowani twórcy – i temu nikt chyba w tym momencie nie przeczy.

Sonia Brauhoff przysłała na świat w Kędzierzynie-Koźlu w roku 1986, studiowała kompozycję w katowickiej Akademii pod kierunkiem Aleksandra Lasoń. Studia uzupełniała we Wrocławiu i we Włoszech. Oprócz kompozycji zajmują ją pisarstwo (wysokiej próby) i wysoce świadome macierzyństwo, co sama często podkreśla i co jest szlachetną cechą jej charakteru. Nazwisko Soni Brauhoff nie figuruje w spisie członkiń i członków Związku Kompozytorów Polskich. Nie wiem czy to przeoczenie, czy świadoma decyzja. Ja przyjąłbym ją od razu, bez stażu kandydackiego.

Puryści mogą się znęcać nad tą muzyką, nad jej hiperemocjonalną opisowością, patetycznymi gestami, religijnym żarem, wreszcie, tak, sąsiedztwem z granicami dobrego smaku (których kompozytorka nigdy wszak nie przekracza). Wolę jednak tę szczerą wersję romantycznej estetyki niż jakiegokolwiek – znowu coraz modniejsze – irytyujące rżężenie, pochrząkiwanie, papiskiwanie, po których wysłuchaniu mam zawsze ochotę wysłać autorom klasyczny już rysunek Andrzeja Mleczki, gdzie widzimy roznamietnionego nosorożca ściskającego żyrafę, zaś ta, chyba bardziej zadziwiona tym aktem niż przerażona, krzyczy patrząc ku niebu: „Obywatelu, nie pieprz bez sensu!”. Doprawdy zbyt wielu mamy kompozytorów, którzy piszą muzykę „pod kogoś”, byle nie własną. Wtedy od razu wychodzą na wierzch brak erudycji, pustka wrażliwości, jałowość wyobraźni – czyli wszystko to, czego nie można zarzucić Soni Brauhoff. ■

Odszczepieniec

PETER WIESCHOLEK

Według artykułu Friedricha Gedike „Historia Josefa Steblitzkiego, byłego rajcy miasta Mikołowa na Górnym Śląsku, znanego w królestwie całym jako Żyd Josef Abraham”.
Fabularyzacja na podstawie własnego tłumaczenia.

Miasto Mikołów tylko jeden raz w swej prawie 800-letniej historii znalazło się na łamach najważniejszych ogólnokrajowych gazet. Stało się to dokładnie 235 lat temu...

Mikołów nazywał się wtedy Nicolai O/S i leżał na peryferiach Królestwa Prus.

Powodem tej niespodziewanej chwili sławy górnośląskiego miasteczka był niewiarygodny uczynek jednego z jego mieszkańców, 59-letniego rzeźnika Josefa Steblitzkiego. Człowiek ów, będąc według oficjalnego orzeczenia lekarskiego w pełni władz umysłowych, dokonał konwersji z religii katolickiej na judaizm. Dobrowolność swej decyzji niejako udokumentował własnoręcznie dokonanym obrzezaniem. W roku 1785 za podobny czyn można było zapłacić śmiercią, a to na podstawie ciągle jeszcze obowiązującego prawa o apostazji z roku 1709, z czasów kiedy Śląsk był jeszcze częścią Monarchii Habsburgów.

Niezwykłą historię Josefa Steblitzkiego opisał między innymi znany wówczas w całym królestwie teolog i pedagog Friedrich Gedike. Jego duży artykuł w berlińskim miesięczniku *Berlinische Monatsschrift*, jak pisze sam autor: „oparty wyłącznie na oficjalnych źródłach urzędowych i niezafałszowanych wypowiedziach uczestników wydarzenia” ukazuje czytelnikowi cały przebieg tej bulwersującej sprawy. Od dokładnej charakterystyki bohatera, a więc podsumowania jego biografii oraz próby analizy charakterologicznej, aż po urzędowe dochodzenie zainicjowane na podstawie zgłoszenia prze-

stępstwa. Zgłoszenia owego dokonał (na prośbę mikołowskiej rady miejskiej) sam książę Fryderyk von Anhalt-Köthen z Pszczyny.

O owym dochodzeniu, kierowanym przez pszczyńskiego radcę prawnego *Komisariusza* Kosmałę, opowiada poniższa fabularyzacja...

Josef Steblitzki vel Josef Abraham (1726–1806) – mikołowski rzeźnik, rajca miejski

Marianna Steblitzki z domu Steierin – żona

Friedrich Gedike (1754–1803) – teolog, pedagog, urzędnik królewski w Berlinie. Wydawca czasopisma

Komisariusz Kosmala – radca prawny z Pszczyny

Abraham Samson – prawdopodobnie mikołowski kantor
Oraz nieznan z nazwiska pszczyński lekarz powiatowy (*Kreisphysikus*).

Pszczyna, 1 marca 1786

/odpowiedź radcy Kosmali na list berlińskiego wydawcy Friedricha Gedike/

Kancelaria Głównego Konsystorza Kościoła Krajowego w Berlinie

Na ręce Wysoko Urodzonego, Wielmożnego Pana Gedike
Wielce Wielmożny Panie,

pismo pańskie otrzymałem i świadom wagi poruszonych w nim sprawy niezwłocznie przesyłam zamówione przez Pana materiały. Dotyczą one prowadzonego w zeszłym roku a kierowanego przeze mnie osobiście dochodzenia przeciwko Josefowi Steblitzkiemu vel Josefowi Abrahamowi z Mikołowa na Górnym Śląsku. Pisze Pan, że ta szeroko w prasie całego Królestwa komentowana sprawa nie jest dla Pana wcale tak prosta i jednoznaczna (przede wszystkim w sferze teologicznych rozważań jak i samych urzędowych decyzji) i pozostawiając do tej pory wiele pytań bez należytych odpowiedzi, wymaga rzetelnego potraktowania. Także ja, choć *laicus theologicus* przecież, pewny jestem, że prowadzone przez Pana wydawnictwo, a więc Berlińskie Pismo Miesięczne, z racji swej reputacji jak i ogólnokrajowego zasięgu odpowiednim jest miejscem do wyjaśnienia wielu związanych z tą sprawą nieporozumień!

Pozostając z należytym Pańskiej Osobie szacunkiem,
Komisariusz Kosmala

Brzeg, 3 października 1785

/z pisma wewnętrznego Górnośląskiej Królewskiej Pruskiej Rządowej Komisji Prawnej w Brzegu/

... tak więc zgodnie z podjętą decyzją, w oparciu o cytowane wcześniej i oficjalnie złożone w naszym urzędzie



doniesienie o apostazji, rzekomo popełnionej przez niejakiego Josefa Steblitzkiego, rajcy miejskiego z Mikołowa na Górnym Śląsku, zlecam przeprowadzenie odpowiedniego co do meritum sprawy dochodzenia *Komisariusowi* Kosmali z Pszczyny.

Podpis nieczytelny

Mikołów, 16 listopada 1785

Mikołów, 4 listopada 1785

/z zeznań Marianny Steblitzki/

Nazywam się Marianna z domu Steierin, jestem katoliczką i lat mam przeszło 50. Już trzydziesty mija rok jak żyję u boku męża mego, z nim to spędziłam te dwoje dzieci, co jeszcze przy życiu się ostały. Syna Johanna Antona Steblitzki, lat 28, tymczasowo jako rajca miejski tu na miejscu, jak i córkę, lat 25, za arendarza Chiträusa w Rybniku wydaną.

Co zaś się sprawy dotyczy, to nie mam pewności całkowitej jakoby mąż mój prawdziwym stał się Żydem. Ale wiem też, że od zeszłorocznego święta Archanioła Michała (*Michaelisfest*) oprócz kawy i mleka nic z potraw, które mu przygotowuję i sama spożywam do ust nie bierze, za to każdego dnia na posiłek do owdowiałego rabina Salomona się udaje. Brody swej więcej nie goli, jedynie strzyże za pomocą nożyc. Co sobota z Żydami w synagodze przebywa, a modlitwę poranną w domu odmawia, z głową rzemieniem obwiązaną. Podczas śpiewania tych psalmów często na skrzypcach sobie przygrywa i nikogo do izby nie wpuszcza. A gdy czasami porankiem z domu wychodzi to i może z innymi Żydami poranną modlitwę odbywa? Tego nie wiem.

Czas już dłuższy, pewnie od lat kilku przed tym świętem Michała przy mnie nie sypia. Taki sam też mniej więcej czas się do mnie (jak mąż do żony) nie zbliżył...

Czy zaś faktycznie mąż mój obrzędu obrzezania dokonał, gdzie miało się to stać i czy któryś z Żydów był mu w tym pomocny, na te pytania nie jestem w stanie odpowiedzieć. Na kilkanaście dni przed ichnim Świętem Pojednania, także *Jom Kippur* przez nich zwanym, mąż mój nic mi nie mówiąc zniknął z domu i wrócił dopiero po trzech dniach. Pomimo moich pytań nie udzielił mi żadnej informacji co do miejsca swego pobytu. Skarżył się jedynie na bóle brzucha i głowy, które jednak po 5 dniach ustąpiły.

Na wspomnianej uroczystości (a było to dokładnie dnia 14 września tego roku) mąż mój wystąpił w białych szatach przed licznie zgromadzonymi Żydami. I od tego dnia był już przez wielu w naszym mieście jako Żyd postrzegany.

Poza tym mogę powiedzieć, że mąż już od zawsze był pilnym w czytaniu Biblii. Kilka razy słyszałam jak mówił, że obrzezanie jest warunkiem koniecznym dla zbawienia duszy.

W kościele naszym ostatni i raz był przy tegorocznych obchodach święta Zesłania Ducha Świętego. Kiedy był ostatnio przy spowiedzi świętej nie mogę niestety powiedzieć.

Zajęciem któremu mój mąż najchętniej się oddaje jest czytanie Pisma Świętego, szczególnie Starego Testamentu...

Na męża mego w ciągu wszystkich tych wspólnych małżeńskich lat skarżyć się nie mogę. Mąż mój nigdy do pijaństwa się nie skłaniał. Potrzeby rozwodu nie widzę. I ja, i mój mąż jesteśmy już w tym wieku, że podniety młodości oraz pożądanie małżeńskiego obcowania dawno już bezpowrotnie przeminęły. Z całego serca pragnę razem z mężem moim ostatnich dni naszych

dożyć, by z czystym sumieniem stanąć przed Najwyższym Sędzią! Bez strachu, że mnie Sąd Ostateczny o niedopatrzenia małżeńskie obwiniać będzie...

/z prywatnych zapisków Kosmali/

Ja: Czyli Steblitzki wielokrotnie w waszej synagodze przebywał?

Abraham Samson: Wielmożny Pan Radca wie przecież, że gmina nasza mała! Synagogi prawdziwej nie mamy. Spotykamy się w domu moim. A właściwie teraz już domu syna mego. Oczywiście za urzędowym pozwoleniem...

Ja /przerywam/: To nie jest sprawą tego dochodzenia, tu idzie o Josefa Steblickiego, a właściwie Josefa Abrahama!

Abraham Samson: Dla nas on to dalej Steblitzki, Panie Radco...

Ja: Przecież to teraz Żyd!

Abraham Samson /widzę, że bardzo nerwowo/: Dla nas to *Goj!*

Ja /jak umiem stanowczo/: Nie opowiadajcie tu głupot! Obrzezany przecież...

Abraham Samson /bardzo głośno, mniemam nawet, że bez należytego respektu przed urzędem moim!/: Ale przez siebie samego! To z naszymi przepisami sprzeczne! Wszystko zrobił źle! Nie szukał porady u nas, ale do Polski jeździć miał czas. Do Krakowa i Oświęcimia. To stamtąd posłali mu tego polskiego Żyda. Gdyby przyszedł do mnie, to bym mu powiedział co musi zrobić. Do Amsterdamu miał jechać, tam jedynie mają prawo dorosłych obrzezać. Legalnie, w zgodzie z religią naszą. A nie tak. Po kryjomu, bez dokumentu...

Ja /co by go uspokoić/: Wiecie przecież, że głos serca od dokumentu ważniejszy. On teraz Żydem jest, za głosem serca swego!

Abraham Samson /nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że jakby ze mnie kpiąc/: Pan Radca Wielmożny na ważnym urzędzie przecież zasiada, to i siłą prawną dokumentu rozpoznać i uznać musi! Sam się obrzezał? Dobrze, to by jeszcze przeszło...! Ale gdzie zanurzenie w *mykwie*, gdzie egzamin przed *bejt Dinem*? Gdzie dokument z podpisami? Bez certyfikatu konwersja wagi mieć nie może. To nie moje wymysły, to święte przesłanie *Talmudu*...

Mikołów, 31 października 1785

/z zeznań lekarza powiatowego/

Niniejszym zaświadczam, że zostałem wezwany do Mikołowa przez *Komisariusza* Kosmałę z Pszczyny celem zbadania Josefa Stebnickiego, tutejszego rzeźnika, lat około 60. Po dokładnym zbadaniu pacjenta oświadczam, co następuje: pacjent jest w pełni zdrowy, nie wykazuje żadnych oznak typowych dla *Delirium*, jedyne co można stwierdzić to pewna skłonność do melancholii, do czego pacjent sam się przyznaje. Wskazuje na to również cała postać pacjenta, chudość ciała nadzwyczajna, błądostw twarzy przechodząca w odcień żółtości... Według słów własnych pacjenta, w wieku dziecięcym doznał on groźnego upadku z wysokości tak, że zachodziło podejrzenie poważnych zmian w mózgu. Faktycznie przy badaniu głowy stwierdziłem nadzwyczaj mocno rozwiniętą *protuberantia* przy jednoczesnym cofnięciu obu *ossa*

bregmatis, sprawiające wręcz wrażenie pewnej wklęsłości. Uporczywy, suchy kaszel dopełnia wyłaniający się po badaniu obraz aktualnej kondycji zdrowotnej pacjenta.

Wyniki badań podpisem własnoręcznym i stemplem moim jako *Kreisphysikus* zatwierdziłem

Mikołów, 16 listopada 1785

/z prywatnych zapisków Kosmali/

Ja: No i jak to w końcu do tego obrzezania doszło?

Abraham Samson: Steblitzki mówi, że ten polski Żyd, którego nazwiska nie zna, dał mu mały nożyk i poinstruował go dokładnie, co i jak! Pomyśleć, prawdziwy *Mochel* lata całe musi się ceremonii uczyć, a tu taki *Goj* po krótkiej instrukcji już wszystko ma wiedzieć?

Ja /zniecierpliwiony/: Skąd właściwie wiecie to wszystko tak dokładnie, przecież was przy tym nie było?

Abraham Samson: Wielmożny Panie Radco, toż Steblitzki sam mi to wszystko opowiadał. Dał po wszystkim temu obcemu Żydowi 2 dukaty. Potem zaś tydzień albo dwa był chory, nic dziwnego przecież, jak się nie ma pojęcia co się robi...

Ja /przerywam zdenerwowany/: Panie Salomon, raz jeszcze wam mówię, że macie odpowiadać wyłącznie na moje pytania! Co było dalej?

Abraham Samson: Aha, ten polski Żyd dał mu jeszcze nowe imię. Będziesz się od dziś nazywał Josef Abraham, tak mu powiedział...

Ja /sam zdziwiony moja cierpliwością/: No a potem?

Abraham Samson: No a potem przyszło święto *Jom Kippur* i Steblitzki pojawił się w moim domu ubrany w biały chałat. Całe miasto go widziało!

Ja: Biały chałat? A co to oznacza?

Mikołów, 25 października 1785

/z prywatnych zapisków Kosmali/

...ta rozmowa przez urząd nasz polecona /jak i potem zatwierdzona jako część znacząca w dochodzeniu/ być nie mogła! Tak więc *privatus* choć przecież nie *secretum* rozmowę z wielbnym ojcem przeprowadziłem, żeby zdanie kościoła naszego w takiej niezwyklej sprawie poznać.

Najsamprzód stwierdzić muszę, iż choć przypuszczam, że tutejszy mikołowski kler decyzji Steblitzkiego w żaden sposób nie popiera i popierać nie może, to aż takiej zapiekłej krytyki spodziewać się nie mogłem! Ale też nie były mi znane wszystkie szczegóły, jak na przykład jego 6-letnia abstynencja od sakramentu spowiedzi świętej. No cóż, Steblicki w swym zeznaniu jedynie o tej sprawie napomknął! Mamy tutaj do czynienia z pewnym *dilemą*: wielbny ojciec twierdzi, że 6-letnia abstynencja na preferencji żydowskiego obrządku i wynikającej z tego niechęci do katolickich sakramentów polega, Steblitzki zaś o niechęci mówić nie chce i powody w niedopuszczeniu do sakramentów widzi. Winnym zaś tego czyni on nasz kościół powszechny, a konkretnie mikołowski kler...

Już podczas tej rozmowy myśl pewna mnie naszała i do tej pory zajmuje: może i lepiej się stało, że Rejencja mi kontaktów z mikołowskim klerem zabroniła. Tym sposobem szanse na łagodne potraktowanie tego biedaka niepomierne większymi się stały!

Tak samo rozmowa z owdowiałym mikołowskim rabinem Salomonem akceptacji urzędu mego nie znalazła!

Choć w tym przypadku wielkich rewelacji i tak by nie było! Już po kilku minutach jasnym dla mnie się stało, że kontakty jego ze Steblitzkim, choć przyjacielskie, to jednak wyłącznie na teologicznych rozważaniach się opierały i protokołowanie jego wypowiedzi nic do meritum sprawy by nie wniosło...

Ale prywatnie dla mnie samego po rozmowie z Salomonem pewne rzeczy jaśniejszymi się stały. Wiem nareszcie, że biały chałat, w którym cały Mikołów widział Steblitzkiego, miał oznaczać czystość jego zamiarów. No i że myśli się Abraham Samson kiedy twierdzi, że samoobrzezanie siły prawnej mieć nie może.

Już sam prorok Abraham sam własnoręcznie obrzezać się musiał, jako że w Pierwszej Księdze Mojżesza (rozdział 17 werset 13) obrzezanie wyszczególnione jest jako warunek konieczny duszy zbawienia. On też i żona jego Sara pierwszymi konwertytami przecież byli!

Myślę, że pomału czas mi zaprzestać całej tej sprawy...

Biały jest też kolor śmiertelnej koszuli u Żydów... Może to miał Steblitzki na myśli, że niby ten dzień to jakby śmierć, a po niej nowe, prawdziwe życie...?

Pszczyna, 1 czerwca 1786

/z listu radcy Kosmali do Friedricha Gedike/

Jeszcze na jedno pragnę uwagę Waszej Wielmożności skierować. Można w naszych oświeconych czasach konwersji przeróżnych dokonywać. Nie ma tygodnia, może nawet dnia, żeby gdzieś tam w naszym rozległym Królestwie jakiś Żyd nie wyraził formuły czyniącej go w świetle prawa chrześcijaninem. Ludziom oświeconym powszechnie znane jest pełne tolerancji stanowisko miłościwie nam panującego króla, Jego Najjaśniejszej Wysokości Fryderyka. Myślę, że i Wasza Wielmożność znajduje jego wiekopomne słowa, cytuje „U mnie może wierzyć każdy w co chce, byle wiara ta prawdziwą była! Godnymi umieszczenia w każdej szkole, w każdym urzędzie naszego Królestwa...

Ale, choć długo nad tym myślałem, nie mogę zrozumieć celu takowej prezentacji! W jasny dzień w białym chałacie przez całe miasto kroczyć? Po co to wszystko? Mógł przecież ów chałat dopiero w przedsionku synagogi przywdziać!

Jak już Waszej Wielmożności pisałem, Steblitzki zrobił na mnie wrażenie człowieka rozsądnego, lecz moje pytania co do celu takiego upublicznienia swej konwersji pozostawił bez odpowiedzi... Tak samo zresztą, jak moje insynuacje co do niejasności obowiązującego aktualnie stanu prawnego, kiedy to jeszcze niedawno przestępstwo takie śmiercią karano! Tak jakby cała ta sprawa kogo innego dotyczyła, nie zaś jego właśnie, rzeźnika z Mikołowa na Górnym Śląsku!

Może przyjmował z góry, że w naszych oświeconych czasach prawdopodobieństwo takiej *draconian poena* dzięki Bogu znikomym jest bardzo...? No cóż, ale odstępstwa Rejencji od zastosowania konsekwencji w formie innej kary, choćby cielesnej, nie mógł być przecież tak do końca pewnym!

Wiele rozmyślałam o tym postępku, za którym w końcu żadna spekulacja stać nie może! Korzyści z tej konwersji nie ma Steblitzki żadnej, a jedynie szkody wszelakie. Nie ma przecież na świecie religii innej, co tak pogardzana by była jak właśnie mojżeszowa! I narodu tak wzgardzonego przez inne jak żydowski...

Pochlebiam sobie łaskawe przyjęcie przez Waszą Wielmożność kolejnego już mojego listu. Tym samym powołuję się na listy wcześniejsze, gdzie o pewnym mikołow-

skim Żydzie (Salomonem zwanym) była już mowa. Urząd mój nie polecił mi owego Żyda przesłuchać. Ale, ośmielony długą już naszą korespondencją, zdradzić muszę Waszej Wielmożności, że prywatnej rozmowy z owym Salomonem nikt mi przecież nie zabronił!

Sięgnąłem przeto do mych prywatnych zapisków, ale na temat rozmowy owej jest tam jedynie zdań kilka. Steblitzki bez wątpienia przykładał wielką wagę do słów tego Żyda. Ale zdawał się jedynie na jego osąd w tej czy innej kwestii teologicznej. Z gruntu więc mylnym było me przypuszczenie, że to Salomon właśnie zasiał ziarno zwątpienia w słusność wiary ojców naszych w to łatwowieczne serce.

Ważne decyzje, konkretnymi postępkami owocujące, podejmował nasz Steblitzki w pełni samodzielnie!

Jestem tego pewien. Może on i melancholik, ale w żadnym wypadku słabeusz bez charakteru...

/z prywatnych zapisków Kosmali/

Mikołów, 16 listopada 1785

Abraham Samson: ...i jeszcze jest coś, co czyni konwersję Steblitzkiego niepełną i dla nas niewiarygodną!

Ja: A cóż takiego?

Abraham Samson: On nigdy z katolicką religią nie zerwał! Kto wie czy to nie szpieg jakiś?

Ja /już naprawdę zdenerwowany na te brednie/: Jeszcze chwila, a każę was do porządku przywołać! Powagą urzędu który reprezentuję!

Abraham Samson /stanowczo, z wielką siłą/: Panie Radco, on sam mówi przecież, że wiele jest dróg do prawdy prowadzących. Czyli i chrześcijańskiej drogi nie wyklucza... A konwertyta musi chrześcijaństwem gardzić! Jak każdy Żyd z urodzenia! A właściwie jeszcze bardziej...

Berlin, listopad 1786

/z listu Friedricha Gedike do Radcy Kosmali/

Wielce Szanowny Panie Radco,
miło mi donieść, iż artykuł, który bez pańskiej nieocnionej pomocy nigdy by powstać nie mógł, ukaże się w najnowszym numerze (bożonarodzeniowym) Berlińskiego Piśmie Miesięcznego!

Oczywiście zadbam osobiście o to, by jeszcze przed Świętami (o ile kurierzy naszej Pruskiej Poczty Królewskiej zdążą) jeden egzemplarz mojego pisma znalazł się na pańskim biurku w Pszczynie!

Przyznam też, że historia Josefa Steblitzkiego z górnośląskiego miasteczka Mikołów bardzo mnie zajęła, choć ciągle jeszcze nie jestem pewien, czy wszystko z mej strony w sprawie *inquisitio et investigatio veri* dokonane zostało... Tym bardziej, że informować się trudno, gdyż dostępna w tej materii literatura nadzwyczaj skromną być mi się zdaje!

O ileż łatwiej analizować sytuacje odwrotne. Myśli i zamiary Żyda czy Żydówki na chrześcijańską religię przechodzących, dalekie są od szlachetnych pobudek à la Steblitzki. Nie tyle wiara gorąca za tymi konwersjami stoi, co dla niego oczekiwane profity, a dla niej najczęściej chęć dogodzenia żądaniom chrześcijańskiego ukochanego.

Za to ileż heroizmu w decyzji Steblitzkiego się kryje, ileż siły ducha ona wymaga... Heroizmu, zapyta Pan Radca? Kiedy czyn zaiste nie tylko zrozumienia naszego znaleźć nie może, ale wręcz odstręczającym się jawi? Tak właśnie, z całą mocą odpowiem! Heroizmu ze strony *homo vulgaris*, zwykłego człowieka, który naszego współczucia jest god-

nym jak mało kto inny... Ale niestety nie współczucie, nie empatia spotykają tego biedaka.

Pogarda współziomków, utrata wielu mieszczańskich przywilejów – oto nagrody za jego heroizm!

Tyle, że dzięki Bogu kary sądowej uniknąć mu się udało, że mądry nasz władca w dobroci swej przeogromnej nie tylko od kary owej odstąpił, to jeszcze gwarancjami bezpieczeństwa przez mikołowski *Juden-Toleranz-Amt* opatrzyć Steblitzkiego kazał...

Bądź szczęśliwy dobry człowieku, bądź szczęśliwy Steblitzki, że dane ci żyć w takim kraju jak królestwo nasze, pod rządami Najjaśniejszego Pana Naszego Fryderyka, który właściwie Fryderykiem Jedynym (*per rationem* mądrości swej) nazwanym by być musiał...

Nazywam się Josef Steblitzki, a to po ojcu moim który był rzeźnikiem w mieście Mikołowie na Górnym Śląsku. Urodziłem się w roku 1726. Choć świętej pamięci ojciec mój grosza na szkoły nie skąpił i zawsze powtarzał, że dzieci jego są losu lepszego godnymi niż on sam, edukacja moja na szóstej klasie (*Rethorik*) się skończyła. Wróciłem więc do Mikołowa, by w warsztacie mojego biednego ojca naukę czeladniczą podjąć.

W wieku lat 32 ożeniłem się z Marianną z domu Steirer i miałem z nią czworo potomstwa z którego to jedynie syn mój Anton i córka Anna przy życiu się ostały.

Co do *meritum* sprawy to przysięgam przed Bogiem Wszchemogącym, że wszystko co zeznałem, prawdą i samą prawdą jest. Wszystko też, co mi w tej sprawie ważnym być się zdawało, przesłuchującemu mnie *Komisariusowi* Kosmali wiernie opowiedziałem.

I tak prawie już sześćdziesiątego roku życia doczekałem. Warsztatu rzeźniczego prowadzić więcej nie muszę. Prawdą jest, że praca ta nigdy serca mego nie zdobyła, ale przecież pozwoliła mi i rodzinie mojej na w miarę dostatnie życie. A i mieszkańcy miasta naszego osobę mą znali i honorowali. Wiele lat dany był mi przywilej w tutejszej Radzie Miejskiej zasiadać, a nawet pieczę nad kasą miasta sprawować. A teraz *ad meritum*:

Już dwadzieścia lat mija od momentu, jak pojawiła się u mnie osobliwa afekcja do żydowskiego obrządku, do religii mojżeszowej! A później wiara szczerą w to, że po długim czasie poszukiwań znalazłem drogę zbawienia duszy mojej. Po długim i dogłębnym *studium* nad Pismem coraz żarliwsze stało się me pragnienie pełnego uczestnictwa w tym jedynym prawdziwym obrządku. A przecież już prorok Izajasz w rozdziale 24 werset 5 mówi, że nikt bez obrzezania Królestwa Niebieskiego nie dostąpi. Również Chrystus dał się obrzezać i w Nowym Testamencie wzywa wszystkich do naśladownictwa postępowania jego.

Nigdy nie twierdziłem, że pozostanie przy religii katolickiej zawiedzie duszę mą na zatracenie. Ale już dawno zrozumiałem, że tylko przejście na religie mojżeszową gwarantuje duszy mej zbawienie i życie wieczne.

W zeszłym roku odważyłem się wyciągnąć konsekwencje z nakazu zawartego w Piśmie i dokonałem samoobrzezania.

Nikt mnie do tego nie namówił, ani tym bardziej zmusił. Wiem, że zrozumienie czynu mego nie jest łatwe. Że może on nie zyskać aprobaty ani wśród chrześcijan, ani nawet samych Żydów... Ale nie żałuję tego kroku...

Boleję jedynie nad konsekwencjami całej tej sprawy, które rodzina moja poniosła, a może i dalej ponosić zmuszoną będzie. Wiem, że wiele jest egoizmu w moim poszukiwaniu jedynej prawdy. Rozmawiałem wiele na ten temat z przyjacielem moim, rabinem Salomonem. On twierdzi jednak, że każdy ma prawo do osobistego szczęścia. To mądry Żyd, wierzę temu co mówi. I jestem nareszcie szczęśliwy...

NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:
Anna Gaitoer

Jurajski Festiwal Sztuki i Wina

CZĘSTOCHOWA. Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie i Jurajska Gmina Olsztyn byli organizatorami skapanego słońcem, piątej edycji Jurajskiego Festiwalu Sztuki i Wina. Na rynku w Olsztynie w trzeci weekend lipca spotkali się miłośnicy dobrej muzyki i wina, regionalnych specjałów, rękodzieła i wyrobów rzemieślniczych. Impreza rozpoczęła się od przekazania klucza do Olsztyna Bachusowi, a kończyła każdego dnia koncertami na festiwalowej scenie. Gwiazdą był Stanisław Soyka, a różnorodny program wypełniły także: występy zespołów góralskich ROMBAŃ i ZAWATERNIK, koncerty Młodzieżowej Orkiestry Dętej Gminy Olsztyn SEMPRE i zespołu CIZZZ BIG BAND oraz recital Karoliny Mrugalskiej i Grzegorza Kierata. Było także gotowanie z obleganym przez publiczność Remigiuszem Rączką i prelekcja dietetyczki Anety Mazurek „50 twarzy wina”. Twórcze animacje i warsztaty artystyczne dla całych rodzin prowadzili: Fabryka Kultury, Teatr Scena Kalejdoskop oraz instruktorzy Regionalnego Ośrodka Kultury w Częstochowie. Ogromnym zainteresowaniem cieszyło się wicie wianków, tworzenie papierowych wachlarzyków i kwiatów oraz malowanie żywej rzeźby i puszczanie wielkich baniek mydlanych. Imprezie towarzyszyły IV Jurajskie Zawody Balonowe, wystawa fotograficzna Sławomira Jodłowskiego „Toskania”, ogólnopolski Konkurs Fotograficzny „Balonowa Jura” i Ve-spianiały Złot. Całość zakończył koncert grupy Siergiej Wowko-trub Gypsy Swing Quartet.

VII Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej SOLA MUSICA

CZĘSTOCHOWA. W ramach VII Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej SOLA MUSICA organizowanego przez Parafię Ewangelicko-Augsburską we współpracy z Regionalnym Ośrodkiem Kultury w Częstochowie oraz Ośrodkiem Promocji Kultury „Gaude Mater” odbywać się będą o godz. 17.00 koncerty w dniach: 01.08. br („Muzyka polska – wczoraj, dziś, jutro”); 08.08.br („Z muzycznej międzypoki”); 15.08.br („Od czasu – do czasu”) w Kościele Ewangelicko-Augsburskim Wniebowstąpienia Pańskiego w Częstochowie.

Nagrody za wydarzenia muzealne

KATOWICE. Marszałek Województwa Śląskiego przyznał nagrody za wydarzenia muzealne w roku 2020 w dziedzinach: wystawy, publikacje książkowe, inicjatywy edukacyjne, konserwacja zabytków. W kategorii WYSTAWY nagrody przyznano:
Nagroda główna (5 000 zł) – Muzeum Górnośląskie w By-

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO -
KULTURALNY

tomiu za wystawę Stanisław Szukalski i Szczep Szukalszczyków herbu „Rogate Serce”

Nagroda główna (5 000 zł) – Muzeum w Gliwicach za wystawę *Fedruje Śląski krajobraz...* Rafał Malczewski – Antoni Wiczorek – Jan Bułhak

Wyróżnienie – Muzeum Historii Katowic za wystawę *Dwu- rnik. Totalnie*

Wyróżnienie – Muzeum Zamkowe w Pszczynie za wystawę *Im gorsze – tym lepsze. 55 lat działalności Działu Konserwacji Dzieł Sztuki Muzeum Zamkowego w Pszczynie, 1965-2020*

Wyróżnienie – Muzeum w Gliwicach za wystawę *Śląsk w obrazach fotograficznych Jana Bułhaka*

Wyróżnienie – Muzeum w Tarnowskich Górach za wystawę *W tasi się nie mieści. Torebki damskie od XIX wieku do współczesności.*

Sprawozdania finansowe

KATOWICE. Zarząd Województwa Śląskiego przyjął w dniu 30.06.2021 sprawozdania finansowe 18 instytucji kultury dla których województwo śląskie jest organizatorem.

Szesnaście instytucji wykazało w sprawozdaniu za rok 2020 zysk netto, najwyższe wartości zysku netto odnotowały:

Biblioteka Śląska: 2 559 255,16 zł

Teatr Śląski: 1 648 964,38 zł

Teatr Rozrywki: 1 526 280,74 zł

Muzeum Śląskie: 1 071 771,95 zł

Stratę netto odnotowały tylko dwie instytucje:

Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie: - 20,43 zł

Instytucja Filmowa Silesia Film: - 46 449,61 zł

Zamek Cieszyń

CIESZYN. Zarząd Województwa Śląskiego wyraził się zgodę na powołanie Pani Magdaleny Chorąży-Suchy na stanowisko dyrektora Zamku Cieszyń z dniem 1 sierpnia 2021 r.

Zawody balonowe

KATOWICE. 3-4 lipca 2021 Na Polach Marsowych w Parku Śląskim odbyły się zawody balonów na ogrzane powietrze. 19 profesjonalnych załóg baloniarzów rywalizowało o puchar Marszałka Województwa Śląskiego Jakuba Chełstowskiego.

Zawodnicy muszą przebyć wyznaczony dystans nie tylko jak najszybciej, ale też wykazać się nie lada zwinnością, zrzucając na końcu trasy marker w postaci ciężarka ze wstążką najbliższej znaku wyznaczonego na ziemi.

Konkurencji jest jednak więcej i mają dość osobliwe nazwy, takie jak np. „hare and hound” (pogoń za lisem). Polega ona na tym, że jeden z balonów startuje ze wspólnego miejsca 10-15 min przed resztą i jego celem jest zgubić innych pilotów, aby jak najmniejsza liczba balonów doleciała do punktu jego lądowania.

Nylonowe lub poliestrowe powłoki balonów mają imponujące rozmiary (nawet 3 600 m³). Oprócz charakterystycznego elementu tzw. czaszy, balony składają się z kosza ratanowego (to dzięki niemu wytrzymują liczne uderzenia podczas lądowania) oraz systemu zasilania (palników, węży i butli z gazem propan-butan lub propanem technicznym).

Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”

FOLK SOLUTION. W poszukiwaniu nowych form artystycznej ekspresji Zespół „Śląsk” przygotował kolejny projekt, który łączy muzykę elektroniczną, taniec współczesny i inspiracje kulturą ludową. Po „Soft Power” i „Exodusie” kierownik baletu i choreograf Zespołu „Śląsk” Michał Zubkow stworzył spektakl „Folk Solution”. Twórcy widowiska zadali sobie py-



tania: „Czy sztuka oparta na tradycji ludowej nadal jest aktualna? Jak polski folklor funkcjonuje w warunkach współczesności? Czy znajomość dziedzictwa historyczno-kulturowego, które ma korzenie w kulturze ludowej, jest konieczna w tworzeniu nowych form widowisk artystycznych?”

Próba odpowiedzi na te pytania zainspirowała nowy projekt Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny. Zarówno w podkładzie dźwiękowym, jak i w choreografii widowiska współistnieją dwie niezależne warstwy. Jedną z nich ilustruje współczesny świat przepełniony kakofonią industrialnych dźwięków i podporządkowany monotonii mechanicznych ruchów. Druga nawiązuje do tradycyjnego folkloru, nasyconego emocjami i historycznymi wątkami, które od wieków z pokolenia na pokolenie były przekazywane w muzyce, tańcu i śpiewie ludowym. Premiera widowiska: 31 lipca 2021 podczas Festiwalu Tauron Nowa Muzyka w Katowicach. festiwalnowamuzyka.pl

„Atlas Pamięci” w Parku Śląskim

CHORZÓW. Od 1 do 25 lipca w Parku Śląskim prezentowano kontenerową wystawę pt. „Atlas Pamięci”, poświęconą 40. rocznicy powstania NSZZ „Solidarność”. Wystawę ulokowano na Dużej Łące, obok Hali Kapelusze. Każdy z czterech kontenerów poświęcony został jednemu z najważniejszych porozumień sierpniowo-wrześniowych: gdańskiemu, szczecińskiemu, jastrzębskiemu i katowickiemu. Wydarzenia związane z powstaniem NSZZ „Solidarność” przybrały formę wizualno-dźwiękowych impresji, a architektonicznym motywem przewodnim układu kontenerów zostały nieregularne, pulsujące prostopadłościennie formy. Ich struktura i kolor nawiązuje do konstrukcji charakterystycznych dla zakładów przemysłowych. Dzięki wyjątkowemu podejściu do prezentowania burzliwej historii kraju – wykorzystaniu multimedialnych i nowoczesnych technologii – wystawa „Atlas pamięci” stała się atrakcyjna dla każdej grupy wiekowej. Zlokalizowanie wystawy w kontenerach i stworzenie z nich „miasteczka wystawowego”, umożliwiło ideom „Solidarności” dotarcie do szerokiej publiczności.

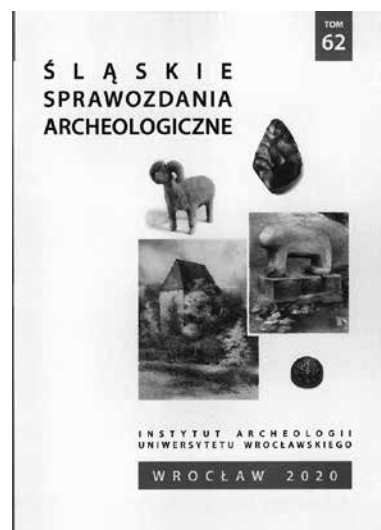
Ekspozycja została zrealizowana przez Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego wraz z Instytucją Kultury Ars Camerae Silesiae Superioris. Za treści merytoryczne odpowiada Śląskie Centrum Wolności i Solidarności, współorganizator wystawy. Organizatorzy pragną pokazać, że walka z totalitaryzmem, która rozpoczęła się strajkami robotników, doprowadziła do powstania nowego, demokratycznego społeczeństwa. Wystawę dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu, pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach zadań: „Wystawa na 40-lecie Solidarności” oraz „Atlas Pamięci – Wystawa na 40-lecie Solidarności – architektura zewnętrzna”. Wystawa ma charakter objazdowy i wkrótce będzie obecna w kilku miastach. /KCh/



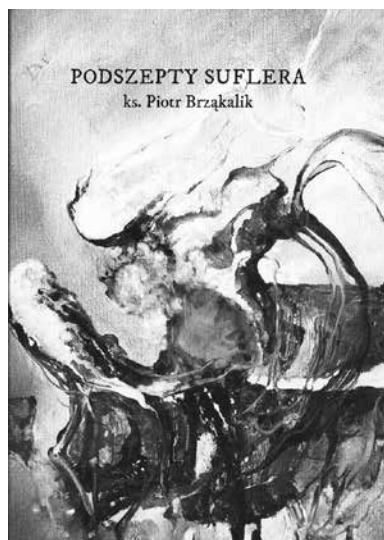
Wytrych. Wolna Inicjatywa Artystyczna. Wydanie specjalne 7 (23) Maj 2020. Wierszem w czas pandemii. Patronat: Teatr Ziemi Rybnickiej, Halo Rybnik, Fundacja Kocham Życie.



Siedemdziesiąt pięć lat archeologii w Uniwersytecie Wrocławskim. Wydawca: Instytut Archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2020.



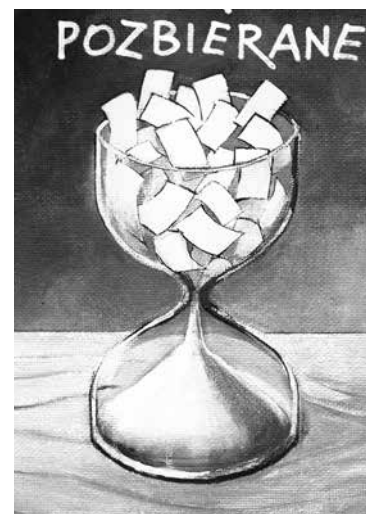
Śląskie Sprawozdania Archeologiczne. Tom 62. Wydawca: Instytut Archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2020.



ks. Piotr Brząkałik, Podszepty suflera. Felietony wygłoszone na antenie Radia eM 107,6FM 2017-2018. Wydawca: Księgarnia św. Jacka Sp. z o. o., Katowice 2021.



Trzech na jednego. Rozmowy „Zdania”. Pod redakcją Edwarda Chudzińskiego. Wydawca: Imago, Kraków 2021.



Harry Duda, Wiersze pozbierane. Wydawca: Wydawnictwo Cywilizacja Miłości, Opole 2020.



Andrzej Linert, Jerzego Adama Brandhubera obrazy Auschwitz. Wydawca: Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, Oświęcim 2021.



Sebastian Fikus, Górnośląskie miejsca pamięci. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.



A K C J A

I L U

S T R A

C J A

CZYLI
KREATYWNE LATO
Z BIBLIOTEKĄ
1.07-31.08.2021

BEZPŁATNE ZAJĘCIA
DLA DZIECI
W WIEKU 6-15 LAT

obowiązuje
limit miejsc
i/lub zapisy

www.biblioteka.sosnowiec.pl

 mbpsosnowiec

 mbp_sosnowiec

 mbp_sosnowiec

ORGANIZATOR



PATRONAT HONOROWY

Prezydent
Miasta Sosnowca
Arkadiusz Chęciński



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury,
Dziedzictwa Narodowego
i Sportu pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

PARTNERZY



PATRONI MEDIALNI



SPONSORZY

